

**RAYMOND  
CHANDLER**

**TAJEMNICA  
JEZIORA**

powieść kryminalna

Dom Wydawniczy



JOTA

# Raymond Chandler

## Tajemnica jeziora

Tytuł oryginału:

*The Lady in the Lake 1943*

Edited by Eskel

### Rozdział I

Gmach Treolar stał i stoi przy ulicy Olive, tuż koło ulicy Szóstej w zachodniej części miasta. Chodnik przed frontem budynku wykonany był z białych i czarnych płyt kauczukowych. Właśnie zdejmowali te płyty, by zdać je rządowi, a blady mężczyzna bez kapelusza, zapewne administrator, nadzorował robotę i miał taką minę, jakby mu przy tym pękało serce.

Przeszedłem koło niego pod arkadą sklepów branzowych i dotarłem do ogromnego hallu w czerni i złocie. Gillerlain Company mieściła się na szóstym piętrze od frontu, za podwójnymi wahadłowymi drzwiami ze szkła oprawionego w metal koloru platyny. Poczekalnia firmy była wyłożona chińskimi dywanami i miała szaro srebrne ściany. Stały tu kanciaste, ale starannie wykończone meble, abstrakcyjne rzeźby na piedestałach, a w rogu, w trójkątnej oszklonej gablocie znajdowała się wystawa specyfików. Na galeriach i schodkach, wyspach i cyplach z połyskliwego lustrzanego szkła znalazła się chyba każda fantazyjna buteleczka i słoik, jakie kiedykolwiek zostały wyprodukowane. Były tu kremy, pudry, mydła i wody toaletowe na każdą porę roku i na każdą okazję. Były tu perfumy o wysokich, cieniutkich flaszeczkach, które wyglądały tak, jakby można je było zdmuchnąć jednym tchnieniem, i perfumy w małych pastelowych fiolkach przewiązanych atłasowymi wstążeczkami jak małe dziewczynki na lekcji tańca. Perła tej wystawy w przysadkowatej bursztynowej butelce wyglądała bardzo skromnie i prosto. Ustawiono ją pośrodku gabloty na poziomie oczu, zostawiając wokół sporo wolnego miejsca. Etykieta na butelce głosiła: Gillerlain Regal — szampan perfum. Coś takiego rzeczywiście warto kupić. Jedna kropelka w zagłębieniu szyi wystarczy, żeby na kobietę posypały się perły niby letni deszcz.

Przyjemna mała blondynka siedziała skromnie w spokojnym kątku za barierką, przy małej centralce telefonicznej. Przy niskim biurku naprzeciw drzwi urzędowała wysoka, szczupła, czarnowłosa dziewczyna, której nazwisko, według obsadzonej w ramki wizytówki brzmiało: panna Adrienne Fromsett.

Miała na sobie stalowoszary kostium, granatową bluzkę i męski krawat w nieco jaśniejszym odcieniu. Krawędzie złożonej chusteczki w kieszonce na piersiach wydawały się tak ostre, że można by chyba kroić nimi chleb. Poza łańcuszkową bransoletką nie nosiła żadnej biżuterii. Jej ciemne włosy uczesane z przedziałkiem opadały w luźnych, ale wyraźnie wystudiowanych falach. Miała gładką cerę o odcieniu kości słoniowej, raczej surowy zarys brwi i wielkie ciemne oczy, które wyglądały tak, jakby potrafiły spoglądać ciepło we właściwym czasie i we właściwym miejscu.

Położyłem swoją wizytówkę, tę bez pistoletu maszynowego, w rogu na jej biurku i spytałem o pana Derace Kingsleya.

Spojrzała na wizytówkę i spytała:

—Czy pan był umówiony?

—Nie byłem umówiony.

—Na ogół pan Kingsley nie przyjmuje nikogo, kto nie był umówiony.

Na ten temat nie mogłem się sprzeczać.

—A pan w jakiej sprawie, panie Marlowe?

—W osobistej.

—No tak. Czy pan Kingsley zna pana?

—Nie sądzę. Możliwe, że słyszał moje nazwisko. Może pani powiedzieć, że przychodzę z polecenia porucznika M'Gee.

—A czy pan Kingsley zna porucznika M'Gee?

Położyła moją kartę koło stosu świeżo napisanych na maszynie listów, pochyliła się do tyłu, wyciągnęła jedną rękę na biurku i stuknęła lekko małym złotym ołówkiem.

Uśmiechnąłem się do niej. Mała blondynka przy centralce nadstawiła podobne do muszelki ucho i uśmiechnęła się nikłym przelotnym uśmieszkiem. Wyglądała na dziewczynę wesołą i ciekawą, ale na niezbyt pewną siebie, jak nowa kotka w domu, gdzie niezbyt lubią koty.

—Mam nadzieję, że zna — powiedziałem — ale zapewne najłatwiej byłoby to ustalić po prostu pytając go.

Gwałtownie postawiła inicjały na trzech listach, żeby nie rzucić we mnie przyciskiem. Odezwała się znowu, nie podnosząc głowy:

—Pan Kingsley ma konferencję. Poślę pana wizytówkę, gdy tylko będzie to możliwe.

Podziękowałem jej, odszedłem i usiadłem na krześle z chromowanej stali i skóry, które było o wiele wygodniejsze, niż na to wyglądało. Czas mijał i cisza zapadała. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Elegancka ręka panny Fromsett poruszała się po papierach, a od czasu do czasu dolatywał przytłumiony głos kociaka przy centralce i lekki trzask włączanych i wyłączanych wtyczek.

Zapałem papierosa i przysunąłem biurową popielniczkę do krzesła. Minuty przechodziły bezszelestnie, przykładając palce do ust. Obejrzałem sobie salę. Z takiego umeblowania nic nie można wywnioskować. Może zarabiają miliony, a może w tej właśnie chwili szeryf pieczętuje im kasę.

W pół godziny i trzy albo cztery papierosy później za biurkiem panny Fromsett otworzyły się drzwi i ukazało się dwóch roześmianych mężczyzn. Trzeci mężczyzna przytrzymał drzwi i śmiał się z nimi. Serdecznie potrząsnęli sobie dłonie i dwaj mężczyźni przemaszerowali przez biuro i wyszli. Trzeci pozbył się uśmiechu z twarzy i wyglądał tak,

jakby nigdy w życiu się nie śmiał. Był to wysoki facet w szarym garniturze i najwyraźniej nie pozwalał nikomu na żadne głupstwa.

— Jakieś sprawy? — spytał ostrym dyrektorskim tonem.

Panna Fromsett powiedziała miękko:

— Niejaki pan Marlowe chce się z panem zobaczyć. Z polecenia porucznika M'Gee. W sprawie osobistej.

— Nigdy o nim nie słyszałem — warknął wysoki mężczyzna. Wziął moją kartę, nawet nie rzucił na mnie okiem i wrócił do swojego gabinetu. Drzwi zamykały się pneumatycznie wydając przy tym dźwięk podobny do „fuj”. Panna Fromsett obdarzyła mnie słodkim smutnym uśmiechem, a ja odwzajemniłem się, nieprzyzwoicie puszczając do niej oko. Ssałem kolejnego papierosa i znowu upłynął pewien czas. Zaczynałem być dobry na Gillerlain Company.

Dziesięć minut później drzwi otworzyły się znowu. Pan i władca wyszedł w kapeluszu na głowie i warknął, że idzie do fryzjera. Ruszył przez dywany pełnym rozmachu krokiem sportowca, ale w pół drogi do drzwi zrobił ostry zwrot w tył i podszedł do miejsca, gdzie siedziałem.

— Chce pan ze mną mówić? — szczechnął.

Miał około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu, i był raczej kościsty. Oczy szare jak granit, z błyskami chłodnego światła. Nosił garnitur z doskonałej szarej flaneli w wąskie białe paseczki i nosił go elegancko. Jego maniery wskazywały, że potrafi być bardzo twardy w postępowaniu z innymi.

Wstałem.

— Jeśli pan jest Derace Kingsley.

— A kim, u diabła, mam być?

Nie odpowiedziałem i podałem mu moją drugą wizytówkę, na której był wypisany zawód. Zamknął ją w swojej łapie i rzucił na nią ponure spojrzenie.

— Kto to jest M'Gee? — parsknął.

— To tylko kolega, którego znam.

— Jestem zachwycony — powiedział spoglądając na pannę Fromsett. To jej się podobało. To jej się bardzo podobało.

— A może jeszcze coś pan potrafi o nim powiedzieć?

— Owszem. Nazywają go fiołkowy M'Gee — powiedziałem. — W związku z tym, że żuje pastylki na gardło, które pachną fiołkami. Jest to tęgi mężczyzna o falujących srebrzystych włosach i słodkich małych usteczkach, jakby stworzonych do całowania dzieci. Kiedy go widziałem ostatnio, był ubrany w przyjemny niebieski garnitur, brązowe buty o szerokich noskach, szary filcowy kapelusz i palił opium w krótkiej fajce.

— Nie podobają mi się pańskie maniery — powiedział Kingsley głosem, którym można byłoby rozbić kokosowy orzech.

— Nie szkodzi. Nie mam ich na sprzedaż — odparłem.

Żachnął się, jakbym mu podsunął pod nos zdechłą przed tygodniem makrełę. Po chwili odwrócił się do mnie plecami i rzucił przez ramię:

— Daję panu dokładnie trzy minuty. Licho wie, dlaczego.

Przebiegł koło biurka panny Fromsett do drzwi, pchnął je i puścił mi w twarz. Pannie Fromsett to się również podobało, ale odniosłem wrażenie, że w głębi jej oczu czai się teraz chytry uśmieszek.

## Rozdział II

Gabinet był taki, jakim gabinet być powinien: długi, mroczny i spokojny, z klimatyzacją, okna zamknięte, a szare weneckie żaluzje opuszczone do połowy, dla powstrzymania lipcowego żaru. Szare story pasowały do szarego obicia. W rogu stała wielka czarno srebrna kasa ogniotrwała i długi rząd niskich szaf na segregatory, również zharmonizowanych z otoczeniem. Na ścianie wisiała olbrzymia kolorowana fotografia jakiegoś starszego faceta z ostrym nosem i bokobrodami, w wysokim sztywnym kołnierzyku. Jabłko Adama, które wystawało z kołnierzyka, wyglądało bardziej kanciasto niż podbródki wielu ludzi. Na płycie pod fotografią był napis: „Matthew Gillerlain 1860 — 1934”.

Derace Kingsley pomaszerował szybko za swe warte osiemset dolarów dyrektorskie biurko i umieścił swą tylną część w wielkim skórzanym fotelu. Sięgnął po cygaro z wykonanej z miedzi i mahoniu szkatułki, obciął je i przypalił od wielkiej miedzianej zapalniczki stojącej na biurku. Zajmował się tym dłuższy czas. O mój czas się nie troszczył. Kiedy skończył te przygotowania, oparł się wygodnie, wydmuchnął małą chmurkę dymu i powiedział:

— Jestem człowiekiem interesu. Nie mam zwyczaju się wygłupiać. Z pańskiej wizytówki wynika, że jest pan licencjonowanym detektywem. Chcę widzieć jakiś dowód.

Wyciągnąłem portfel i podałem mu różne dowody. Spojrzał na nie i pchnął je z powrotem po blacie biurka. Celuloidowa ramka z fotokopią mojej licencji spadła na podłogę. Nie trudził się nawet, żeby przeprosić.

— Nie znam M’Gee — rzekł. — Znam szeryfa Petersena. Pytałem o nazwisko odpowiedniego człowieka. Przypuszczam, że to pan ma nim być.

— M’Gee służy w hollywoodzkim oddziale urzędu szeryfa — powiedziałem. — Może pan to sprawdzić.

— Nie trzeba. Myślę, że się pan nada, tylko niech pan ze mną nie błaznuje. I niech pan sobie zapamięta, że jak ja wynajmuję człowieka, jest to mój człowiek. Robi dokładnie to, co mu powiem, i trzyma gębę na kłódkę. Albo szybko wylatuje! Jasne? Sądzę, że nie ujmuję sprawy zbyt brutalnie.

— Może lepiej na ten temat nie będziemy dyskutowali? — spytałem.

Zmarszczył się. Powiedział ostro: — Jakiej pan chce zapłaty?

— Dwadzieścia pięć dolarów dziennie i koszty. Osiem centów za każdą milę przejechaną w moim wozie.

— Absurd — powiedział. — O wiele za dużo. Równe piętnaście dziennie. To aż nadto. Pokryję za benzynę w granicach zdrowego rozsądku. Ale żadnych wycieczek dla przyjemności!

Wydmuchnąłem małą szarą chmurkę dymu papierosowego i rozpędziłem ją ręką. Nie powiedziałem nic. Zdaje się, że był zdziwiony, iż nie powiedziałem nic.

Pochylił się nad biurkiem i pokazał na mnie cygarem.

—Jeszcze pana nie wynająłem — powiedział. — Ale jeśli wynajmę, praca jest absolutnie poufna. Żadnych rozmów na ten temat z pańskimi kumplami z policji. Zrozumiano?

—A jaka to ma być praca, panie Kingsley?

—Co to pana obchodzi? Pan wykonuje wszelkiego rodzaju zadania wywiadowcze, tak czy nie?

—Nie wszelkiego rodzaju. Tylko uczciwe sprawy.

Wpatrzył się we mnie przymrużonymi oczami, zaciskając usta. Jego szare oczy były teraz zupełnie ciemne.

—Między innymi nie prowadzę spraw rozwodowych — powiedziałem. — A jako ekspert otrzymywałem sto dolarów.

—Dobrze, dobrze — powiedział niespodziewanie miękkim głosem. — Dobrze, dobrze.

—A jeśli chodzi o tę brutalność — powiedziałem — większość klientów zaczyna w ten sposób, że albo wylewa mi łzy na koszulę, albo wrzeszczy na mnie, żeby pokazać, kto jest panem. Ale zazwyczaj kończą bardzo rozsądnie ... o ile jeszcze żyją.

—Dobrze, dobrze — powtórzył tym samym miękkim głosem i nadal patrzył na mnie. — Czy wielu z nich pan traci? — zapytał.

—Niewielu, jeśli mnie właściwie traktują.

—Może cygarko? — zaproponował.

Wziąłem cygarko i wsadziłem je do kieszeni.

—Chcę, żeby pan znalazł moją żonę — powiedział. — Zaginęła przed miesiącem.

—Dobrze. Znajdę pana żonę.

Stukał po biurku obiema rękami.

—Wydaje mi się, że pan ją znajdzie — oświadczył. Potem uśmiechnął się. — Od czterech lat nikt mnie tak nie usadził jak pan — dodał.

Nie powiedziałem nic.

—Niech to diabli — rzekł. — Podoba mi się to. Zupełnie mi się podoba.

Pociągnął dłonią po swoich gęstych czarnych włosach.

—Wyjechała równy miesiąc temu — powiedział. — Z domku, który mamy w górach. Koło Puma Point. Zna pan Puma Point?

Odparłem, że znam Puma Point.

—Nasz domek stoi trzy mile od wsi, częściowo dojeżdża się tam drogą prywatną. Stoi przy prywatnym jeziorze. Nazywa się ono Jezioro Jelonków. Jest tam tama, którą zbudowaliśmy w celach irygacyjnych. Mam tę posiadłość do spółki z dwoma przyjaciółmi. Jest dość duża, ale nie zagospodarowana i oczywiście nie będzie jeszcze zagospodarowana przez pewien czas. Moi przyjaciele zbudowali tam domki. Ja też mam domek i niejaki Bill Chess mieszka tam bezpłatnie ze swoją żoną w drugim domku i dogląda posiadłości. Jest to inwalida wojenny żyjący z renty. To byłoby wszystko. Moja żona przybyła tam w połowie maja, wyjeżdżała dwa razy na weekendy, wyjechała 12 czerwca na jakąś zabawę i nigdy już się więcej nie pokazała. Od tego czasu jej nie widziałem.

—Co w związku z tym pan robił? — spytałem.

—Nic. Absolutnie nic. Nawet tam nie pojechałem.

Czekał, aż zapytam dlaczego.

Zapytałem:

—Dlaczego?

Cofnął fotel, żeby otworzyć zamkniętą szufladę. Wyciągnął złożony papier i podał go mnie. Rozłożyłem go i zobaczyłem, że jest to blankiet telegraficzny. Był wypełniony w El Paso czternastego czerwca o godzinie dziewiątej dziewiętnaście rano, zaadresowany do Derace Kingsleya, 965 Carson Drive, Beverly Hills. Przeczytałem: „WYJEŹDŹAM OTRZYMAĆ MEKSYKAŃSKI ROZWÓD STOP WYCHODZĘ ZA CHRISA STOP NAJLEPSZEGO I DO WIDZENIA CRYSTAL”

Położyłem to po mojej stronie biurka, a on podał mi dużą i bardzo ostrą fotografię amatorską na glansowanym papierze, która przedstawiała mężczyznę i kobietę siedzących na piasku pod plażowym parasolem. Mężczyzna był ubrany w slipy, a kobieta w coś, co wyglądało na bardzo wyzywający biały kostium kąpielowy. Była to szczupła blondynka, młoda, ładnie zbudowana i uśmiechnięta. Mężczyzna był silnym, ciemnym, przystojnym facetem ze wspaniałymi barami i nogami, o bujnej ciemnej czuprynie i białych zębach. Sześć stóp standardowego typu rozbijacza rodzin. Ramiona do uścisków i inteligentna twarz. Trzymał w ręku ciemne okulary i uśmiechał się do obiektywu zawodowym i beztroskim uśmiechem.

—To jest Crystal — powiedział Kingsley — a to jest Chris Lavery. Może go sobie mieć, a on może ją mieć i do diabła z nimi.

Położyłem zdjęcie na telegramie.

—W porządku, więc o co chodzi? — zapytałem.

—W górach nie ma telefonu — ciągnął dalej Kingsley — i nie było nic szczególnego w tym, że ona tam wyjechała. Póki nie przyszedł telegram, nie zaprzętałem sobie głowy. Telegram bardzo mało mnie zdziwił. Crystal i ja od lat jesteśmy poróżnieni. Ona żyje swoim życiem, a ja żyję swoim. Ma swoje własne pieniądze i to mnóstwo. Około dwudziestu tysięcy rocznie od rodziny, która posiada wartościowe pola naftowe w Texasie. Crystal bawi się i wiem, że Lavery był jednym z jej kochanków. Mógłbym się nieco zdziwić, że chce wyjść za mąż akurat za niego, ponieważ ten facet jest po prostu zawodowym uwodzicielem. Ale na razie wszystko wyglądało najzupełniej prawdopodobnie. Rozumie pan?

—A potem?

—Nic przez dwa tygodnie. Nagle hotel Prescott w San Bernardino skomunikował się ze mną podając do wiadomości, że packard zarejestrowany na nazwisko Crystal Grace Kingsley stoi w hotelowym garażu i nikt po niego się nie zgłasza. Spytałem, co z nim robić. Powiedziałem, żeby stał dalej, i posłałem im czek. W tym również nie było nic szczególnego. Myślałem, że jeszcze nie wróciła, a jeśli w ogóle wyjechała samochodem, to w takim razie samochodem Lavery’ego. Jednak przedwczoraj spotkałem Lavery’ego przy Klubie Atletycznym, tu za rogiem. Powiedział, że nie wie, gdzie jest Crystal.

Kingsley rzucił na mnie szybkie spojrzenie i wyciągnął butelkę i dwa kieliszki z kolorowego szkła. Nalał i podsunął mi jeden z kieliszków. Spojrzał na swój pod światło i dodał wolno: — Lavery powiedział, że z nią nie wyjeżdżał, że nie widział jej od dwóch miesięcy i w ogóle nie utrzymuje z nią jakiegokolwiek łączności.

—Pan mu uwierzył?

Kiwnął głową, zmarszczył się, wypił swój kieliszek i odstawił go na bok. Skosztowałem z mojego. Była to szkocka whisky. Nienadzwyczajna szkocka whisky.

—Jeśli mu uwierzyłem — powiedział Kingsley — a prawdopodobnie niesłusznie, to nie dlatego, że jest to człowiek, któremu trzeba wierzyć. Wprost przeciwnie. Właśnie dlatego, że

jest on kawał sukinsyna, który uważa, że to jest sprytnie uwodzić żony swoich przyjaciół i chwalić się tym. Na pewno pyszniłby się jak kogut, gdyby mu się udało, żeby moja żona z nim uciekła i zostawiła mnie na lodzie. Znam tych samców, a jego w szczególności, aż za dobrze.. Załatwiał różne interesy dla naszej firmy i przez cały czas miał tu kłopoty. Nie mógł się powstrzymać od urzędniczek. A poza tym wszystkim był ten telegram z El Paso i ja powiedziałem mu o nim, więc dlaczego miałby kłamać?

—Ona mogła go przegonić — powiedziałem. — To by trafiło go w jego czułe miejsce, jego kompleks Casanovy.

Kingsley rozjaśnił się na chwilę, ale nie bardzo. Potrząsnął głową.

—Nadal wierzę mu więcej niż w połowie — powiedział. — Musi pan udowodnić, że się mylę. Między innymi dlatego zażądałem pańskiej pomocy. Ale istnieje jeszcze jeden bardzo niepokojący punkt. Mam tu bardzo dobrą posadę, ale nic poza tym. Nie mogę sobie pozwolić na żadne skandale. Szybko bym stąd wyleciał, gdyby moja żona miała do czynienia z policją.

—Z policją?

—Między innymi swoimi zajęciami — powiedział Kingsley ponuro — moja żona przy okazji znajduje czas, by kraść różne rzeczy w domach towarowych. Sądzę, że jest to ten sam rodzaj poczucia niezwykłości, jakie ma, gdy sobie podpije, ale to się zdarza, i miewaliśmy już bardzo brzydkie sceny w różnych sklepach. Jak dotychczas udawało mi się powstrzymać właścicieli od złożenia meldunku na policji, ale gdy zrobi coś takiego w obcym mieście, gdzie nikt jej nie zna... — podniósł ręce i opuścił je z trzaskiem na biurko — to może skończyć się więzieniem, prawda?

—Czy kiedy zdejmowali jej odciski palców?

—Nigdy nie była aresztowana — oświadczył.

—Nie o tym myślałem. Czasami w dużych domach towarowych stawiają jako warunek niezłożenia meldunku wyrażenie zgody na zdjęcie odcisków palców. To odstrasza amatorów i pozwala na uzupełnienie akt kleptomaniów, które mają w swoich wydziałach ochrony. Gdy ktoś kilka razy zostanie złapany w ten sposób, wtedy wytaczają sprawę.

—O ile wiem, nic podobnego się nie zdarzyło.

—Dobrze, sądzą, że na razie możemy nie kłopotać się o ten aspekt szopenfeldziarski — powiedziałem. — Gdyby została aresztowana, poddaliby ją rewizji. Nawet jeśli policjanci zapiszą ją pod przybranym nazwiskiem do rejestru policyjnego, najprawdopodobniej się z panem skomunikują. A i ona sama oczywiście zacznie krzyczeć o pomoc, kiedy znajdzie się w tarapatkach.

Postukałem palcem w niebiesko-biały blankiet telegraficzny.

—To było wysłane przed miesiącem. Do tego czasu sprawa byłaby już rozstrzygnięta. Jeśli to pierwsze przestępstwo, usłyszałyby tylko parę przykrych słów od sędziego i dostała wyrok z zawieszeniem.

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek, by dodać sobie ducha.

—Jak pana słucham, to lepiej się czuję — powiedział.

—Poza tym mogło się zdarzyć wiele innych rzeczy — dodałem. — Że wyjechała z Lavery'm i że się poróżnili. Że wyjechała z jakimś innym mężczyzną, a depesza jest wysłana dla kawału. Że wyjechała sama albo z kobietą. Że się przepiła, a teraz kuruje się w jakimś prywatnym sanatorium. Że znalazła się w jakiś kłopotach, o których nie mam pojęcia. Że ją zamordowano.



—Na miłość boską, niech pan tego nie mówi! — wykrzyknął Kingsley.

—Dlaczego nie? Musi pan to wziąć pod uwagę. Mam dość słabe wyobrażenie o pani Kingsley, ale o ile się orientuję, jest młoda, ładna, lekkomyślna i narwana. Pije i robi niebezpieczne rzeczy, gdy pije. Jest frajerką dla mężczyzn i może się zadać z jakimś nieznajomym, który okaże się bandytą. Zgadza się?

Potaknął: — Każde słowo.

—Ile pieniędzy mogła mieć ze sobą?

—Lubiła nosić ze sobą dużo pieniędzy. Ma własne konto bankowe. W innym banku niż ja. Mogła podjąć każdą sumę.

—Dzieci są?

—Nie

—Czy pan prowadził jej interesy?

Potrząsnął głową.

—Nie ma żadnych — z wyjątkiem wypisywania czeków, podejmowania pieniędzy i wydawania ich. Nigdy nie inwestuje nawet pięciu centów. A z jej pieniędzy z pewnością nie ma żadnych korzyści, jeśli panu o to chodzi. — Zrobił przerwę i dodał: — Proszę nie myśleć, że nie próbowałem. Jestem tylko człowiekiem jak każdy inny, a to nic przyjemnego patrzeć, jak dwadzieścia tysięcy rocznie idzie jak przez sito na whisky i kochanków typu tego Chrisa Lavery

—W jakich stosunkach jest pan z jej bankiem? Mógłby pan dostać wykaz czeków, jakie zrealizowała w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

—Nie dadzą. Swego czasu próbowałem otrzymać informację tego rodzaju, kiedy zdawało mi się, że ją ktoś szantażuje. Nic mi nie powiedzieli.

—My to będziemy mogli załatwić — powiedziałem — i może nam się to uda. To by znaczyło, że trzeba iść do biura zaginionych osób. Pan by wolał tego uniknąć?

—Gdybym nie wolał tego uniknąć, to bym pana, nie wzywał.

Kiwnąłem głową, zebrałem moje eksponaty i wsadziłem je do kieszeni.

—W całej sprawie może być więcej punktów, niż w tej chwili widzę — rzekłem. — Ale zacznę od rozmowy z Lavery'm, a potem pojedę do Jeziora Jelonków i tam również trochę popytam. Potrzebuję adresu Lavery'ego i kartki do pańskiego człowieka w tej posiadłości.

Wziął papier listowy z szuflady, napisał parę słów i wręczył mi go.

Przeczytałem: „Drogi Billu. Polecam ci pana Filipa Marlowe, który chciałby obejrzyć naszą posiadłość. Pokaż mu domek i udziel mu wszelkiej pomocy, jakiej zażąda. Derace Kingsley”.

Złożyłem to i wsadziłem do koperty, którą zaadresowałem, kiedy czytałem list.

—A jak jest z innymi domkami? — spytałem.

—Stoją puste w tym roku. Jeden z właścicieli jest w służbie rządowej w Waszyngtonie, a drugi w Fort Leavenworth. Ich żony wyjechały razem z nimi.

—Teraz adres Lavery'ego — powiedziałem.

Wpatrywał się w jakiś punkt nad moją głową.

—W Bay City. Znalazłbym dom, ale zapomniałem adresu. Sądzę, że panna Fromsett będzie go mogła panu dać. Nie potrzebuje wiedzieć, po co to panu potrzebne. Może się o to spyta. I pan mówił, że pan chce sto dolarów?

—Ach, nie — rzekłem. — To ja tylko tak sobie powiedziałem, kiedy pan zaczął mi wymyślać.

Uśmiechnął się. Wstałem i zawahałem się chwilę przy biurku patrząc na niego. Po chwili spytałem:

—Pan nie wie nic—... nic ważnego?

Popatrzył na swój kciuk.

—Nie. Nic nie ukrywam. Jestem zaniepokojony i chcę wiedzieć, gdzie ona jest. Jestem diabelnie zaniepokojony. Jeśli pan się czegokolwiek dowie, proszę do mnie telefonować o każdej porze, obojętnie w dzień, czy w nocy.

Obiecałem, że to zrobię, podaliśmy sobie ręce i wyszedłem do drugiego chłodnego pokoju, gdzie panna Fromsett siedziała elegancko za swoim biurkiem.

—Pan Kingsley przypuszcza, że pani mogłaby mi dać adres Chrisa Lavery — powiedziałem i wpatrzyłem się uważnie w jej twarz.

Sięgnęła bardzo powoli po oprawioną w brązową skórę książkę adresową i przewracała kartki. Gdy się odezwała, jej głos był przytłumiony i chłodny.

—Mamy tu adres: ulica Altair 623 w Bay City. Telefon: Bay City 12523. Pan Lavery nie był u nas od roku. Mógł się przeprowadzić.

Podziękowałem jej i poszedłem w stronę drzwi. Stąd spojrzałem jeszcze raz. Siedziała bardzo spokojnie, położywszy ręce na biurku, wpatrując się w przestrzeń. Dwie czerwone plamy paliły się na jej policzkach. W jej oczach widać było zamyślenie i gorycz.

Odniosłem wrażenie, że wspomnienie pana Chrisa Lavery nie było dla niej przyjemne.

### Rozdział III

Ulica Altair leżała u wierzchołka trójkąta stanowiącego zakończenie głębokiego wąwozu. Na północy rozciągało się chłodne niebieskie zwierciadło zatoki aż do cypla koło Malibu. Od południa widać było panoramę miasta przybrzeżnego, Bay City, rozciągającego się na płaskowyżu nad autostradą.

Była to krótka uliczka, nie miała więcej niż trzy czy cztery przecznice, i kończyła się wysokim żelaznym płotem zamykającym wielką posiadłość. Ponad złoconymi szpicami płotu widziałem drzewa i krzaki, zielen trawnika oraz część podjazdu, ale samego domu nie dostrzegalem. Domy były tu przeważnie ładnie utrzymane i dość duże, ale kilka rozproszonych na krawędzi wąwozu bungalowów wyglądało nędznie. Na ostatnim odcinku ulicy, kończącym się przy żelaznym płocie, stały tylko dwa domy, prawie dokładnie naprzeciw siebie. Mniejszy miał numer 623.

Przejechałem koło niego, wykręciłem na wybrukowanym półkolu zamykającym ulicę i wróciłem parkując wóz przy sąsiednim placu. Dom stał ukośnie na zboczu, drzwi frontowe znajdowały się nieco poniżej poziomu ulicy, na dachu taras, sypialnie mieściły się w suterenie, a garaż był niby rogowa łuzna na stole bilardowym. Szkarłatny bluszcz wspinał się po frontowej ścianie, a płaskie kamienie chodnika obrastał koreański mech. Drzwi były wąskie i zakończone ostrym łukiem. Pod zamkiem znajdowała się żelazna kołatka. Zaczęłem nią stukać.

Żadnej odpowiedzi. Nacisnąłem guziczek dzwonka, słyszałem, jak brzęczy niezbyt daleko, i czekałem, ale nic się nie działo. Wziąłem się znowu do kołatki. Nadal nic. Poszedłem do garażu i uchyliłem drzwi. Zobaczyłem, że wewnątrz stoi samochód z białymi pasami na oponach. Wróciłem do drzwi.

Ładny czarny cadillac wyskoczył z garażu po przeciwnej stronie ulicy, cofnął się, zakręcił, przejechał koło domu Lavery'ego, zwolnił, a chudy mężczyzna w ciemnych okularach spojrzał na mnie ostro, jakbym popełnił coś niewłaściwego znajdując się tutaj. Odpowiedziałem mu stalowym spojrzeniem, i pojechał swoją drogą.

Zacząłem znowu pracować kołatką. Tym razem uzyskałem rezultaty. Mały judasz w drzwiach otworzył się i zobaczyłem pięknego faceta o jasnych oczach, który wyjrzał przez kratki okienka.

—Co to za hałasy, cholera! — krzyknął.

—Pan Lavery?

Odpowiedział, że jest panem Lavery, no i co z tego. Podałem wizytówkę przez kraty. Po chwili jasne oczy pojawiły się znowu.

—Bardzo mi przykro. Nie są mi potrzebne usługi żadnego detektywa — rzekł.

—Pracuję dla Derace Kingsleya.

—Do diabła z wami oboma — powiedział i zatrzaskał okienko.

Oparłem się o dzwonek, wolną ręką wyciągnąłem papierosa i właśnie zapalałem zapałkę, gdy drzwi gwałtownie otworzyły się i ukazał się wysoki facet w kąpielowych spodenkach, sandałach i w białym włochatym płaszczu kąpielowym. Wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na mnie.

Zdjąłem kciuk z dzwonka i wyszczerzyłem do niego zęby w uśmiechu:

—No i co? Spietraliśmy się?

—Zadzwoń pan jeszcze raz — powiedział — a polecisz pan na ulicę.

—Niech pan nie będzie dziecinny — odparłem. — Wie pan doskonale, że ja muszę z panem pomówić, a pan ze mną.

Wyjąłem niebiesko-biały telegram z kieszeni i podsunąłem mu go pod oczy. Przeczytał z kwaśną miną. Zagryzł wargi i warknął:

—Och, na miłość boską, włącz pan!

Przytrzymał mi drzwi, a ja przeszedłem koło niego i znalazłem się w mrocznym przyjemnym pokoju, którego podłoga pokryta była kosztownym morelowym dywanem chińskim. Były tu głębokie fotele, pewna ilość małych kulistych lamp, wielki fortepian w rogu, długa i bardzo szeroka kanapa, kominek z miedzianą kratą i kantami wykładanymi białym drzewem. Za kratą palił się ogień zasłonięty częściowo wielkim krzakiem kwiatów manzanity. Krzak zaczynał miejscami żółknąć, ale jeszcze był bardzo ładny. Na stole stała butelka Vat 69 i szklanki na tacy, a na małym orzechowym stoliku ze szklanym blatem umieszczono miedziane wiaderko na lód. Pokój zajmował całą szerokość domu i kończył się małym portykiem, przez który widać było trzy wąskie okna i kawałek bariery klatki schodowej z białego metalu.

Lavery zatrzaskał drzwi i usiadł na kanapie. Wyciągnął papierosa ze srebrnej cygarnicy, zapalił i spojrzał na mnie poirytowanym wzrokiem. Usiadłem naprzeciw i obejrzałem go sobie. Był nie mniej przystojny niż na zdjęciu. Miał potężny tors i wspaniałe biodra. Oczy orzechowe, z białkami o szarym odcieniu. Długie włosy lekko mu się kręciły nad skroniami.

Opalona skóra świeciła idealną czystością. Był to ładny kawałek ciała, ale dla mnie nie przedstawiał nic poza tym. Mogłem zrozumieć, że kobiety tak za nim latały.

—Dlaczego pan nam nie powie, gdzie ona jest? — spytałem. — I tak ją w końcu znajdziemy, a jak pan nam teraz powie, to nie będziemy robić panu przykrości.

—Trzeba byłoby kogoś więcej niż prywatnego łapacza, żeby mógł mi robić przykrości.

—Nie koniecznie. Prywatny łapacz, może dokuczyć każdemu. Jest wytrwały i przyzwyczajony do fochów. Płacą mu za jego czas i może wykorzystywać go równie dobrze na robienie przykrości człowiekowi, jak i na inne sprawy.

—Słuchaj pan — rzekł pochylając się na przód i wymierzając na mnie papieros. — Wiem, co jest w tym telegramie ale to bujda. Nie pojechałem do El Paso z Crystal Kingsley. Nie widziałem jej od dawna – na długo przed datą tej depechy. Nie miałem z nią żadnego kontaktu. Mówiłem o tym Kingsleyowi.

—On jest obowiązany panu wierzyć.

—Dlaczego miałbym mu kłamać?

Wydał się mocno zdziwiony.

—A dlaczego miałby pan nie kłamać?

—Słuchaj pan — powiedział poważnie — tak się może panu wydawać, ale pan jej nie zna. Kingsley nie jest do niej przywiązany sznurkiem. Jeśli mu się nie podoba jej postępowanie, ma na to lekarstwo. Ci władczy mężowie budzą we mnie wstręt.

—Jeśli pan nie pojechał z nią do El Paso, to dlaczego wysłała ten telegram?

—Nie mam zielonego pojęcia.

—Powiedzmy — odezwałem się i wskazałem na krzak mazanity przy kominku. — To przywiózł pan z Jeziorka Jelonków.

—Pełno tego tu rośnie na wzgórzach — powiedział pogardliwie.

—Ale tutaj nie ma takich ładnych kwiatów.

Roześmiał się.

—Byłem tam. W drugiej połowie maja, jeśli chce pan wiedzieć. Przypuszczam, że i tak pan to wyniucha. Właśnie ostatni raz się z nią widziałem.

—Nie miał pan zamiaru się z nią żenić?

Wydmuchił dym i odezwał się przez gęstą chmurę:

—Myślałem o tym, owszem. Ona ma pieniądze. Pieniądze są zawsze użyteczne. Ale nie bardzo mam ochotę uzyskać je w ten sposób.

Kiwnąłem głową, ale nie powiedziałem nic. Spojrzał na krzak mazanity i pochylił się, by wydmuchił dym w powietrze, ukazując mocny zarys szyi. Po chwili, kiedy nadal nic nie mówiłem, zaczął się kręcić. Spojrzał na kartę, którą mu poprzednio dałem, i powiedział: — Tak więc pan wynajmuje się do grzebania w brudach? Oplaca się?

—Nie można narzekać. Dolar tu, dolar tam.

—I wszystkie dość śmierdzące.

—Niech pan słucha, panie Lavery, nie potrzebujemy się ze sobą kłócić. Kingsley myśli, że pan wie, gdzie jest jego żona, ale nie chce mu powiedzieć. Albo przez złośliwość, albo przez wzgląd na delikatność.

—A który z tych powodów woli? — zaśmiał się piękny mężczyzna.

—Wszystko mu jedno, byleby dostał informację. On niezbyt troszczy się o to, co pan i ona robicie razem, dokąd jeździecie albo czy ona się z nim rozwodzi, czy nie. Chce po prostu mieć pewność, że wszystko jest w porządku i że ona nie znalazła się w jakichś tarapatach.

Lavery wyglądał na zainteresowanego.

—Tarapatach? W jakiego rodzaju tarapatach?

Ssał to słowo na swych brązowych wargach, jakby je smakował.

—Może pan nie zna tego rodzaju tarapatów, o jakich on myśli.

—To niech mi pan o nich powie — powiedział sarkastycznie.

—Ogromnie lubię słuchać o jakimś rodzaju tarapatów, jakiego nie znam.

—Pan pięknie postępuje — powiedziałem — nie ma pan czasu na rzeczową rozmowę, ale zawsze ma pan czas na żarty. Jeśli pan uważa, że chcemy pana wkopać w sprawę o przekroczenie granicy stanu z kobietą, to się pan myli.

—Stuknij się pan w czoło, mądralo. Musielibyście mi udowodnić, że płaciłem za nią bilet.

—Ten telegram mógłby mieć pewne znaczenie — ciągnąłem uparcie. Zdawało mi się, że już mówiłem to przedtem i to wiele razy.

—Prawdopodobnie to tylko kawał. Ona lubi robić takie żarty. Zawsze są głupie, a niektóre złośliwe.

—W tej depeszy nie widać tego.

Strząsnął niedbale popiół z papierosa na szklaną płytę stołu. Spojrzał na mnie spode łba i natychmiast odwrócił oczy.

—Ja z nią zerwałem — odezwał się zwolna. — Możliwe, że w ten sposób chciała mi dokuczyć. Miałem przyjechać do niej na weekend. Nie przyjechałem. Miałem jej dosyć.

Powiedziałem: — Uhm — i wbilem w niego wzrok. — Nie bardzo mi się to podoba. Podobałoby mi się lepiej, gdyby pojechał pan z nią do El Paso, tam się z nią poróżnił i zostawił ją. Czy nie mógłby pan tego ująć w ten sposób?

Zaczerwienił się mocno pod opalenizną.

—Niech to diabli — zaklął. — Mówiłem panu, że nigdzie z nią nie wyjeżdżałem. Nigdzie! Może pan będzie łaskaw to sobie zapamiętać.

—Zapamiętam, jeśli będę w to wierzył.

Pochylił się, żeby zdusić papierosa. Wstał naturalnym ruchem, bez pośpiechu, ściągnął pasek płaszcza kąpielowego i podszedł do samego końca otomany.

—Dobrze — rzekł jasnym, ostrym głosem. — Wynoś się pan! Zwiewaj! Dość już mam tego gładzenia. Marnuje pan mój czas i swój własny, zakładając, że ten ostatni jest coś wart.

Wstałem i uśmiechnąłem się do niego.

— Mój czas nie jest wiele wart. Akurat tyle, ile mi za niego płacą. Nie wiem, czy bym coś zarobił, gdyby pan miał jakąś małą nieprzyjemność w jakimś domu towarowym. Powiedzmy przy pończochach albo przy stoliku z biżuterią.

Popatrzył na mnie bardzo uważnie, podnosząc brwi i ściągając usta.

—Nie rozumiem — rzekł, ale coś się kryło w jego głosie.

—To wszystko, co chciałem wiedzieć — odparłem. — I dziękuję za wysłuchanie. Przy okazji: czym się pan teraz zajmuje... od czasu jak pan opuścił firmę Kingsleya?

—A diabli panu do tego?

—Właściwie nic mi do tego. Ale oczywiście, zawsze się mogę dowiedzieć — rzekłem i troszeczkę podszedłem do drzwi, ale niezbyt daleko.

—Na razie nie pracuję nigdzie — stwierdził chłodno. — Oczekuję każdego dnia, że mnie powołają do marynarki.

—To bardzo prawdopodobne.

—Tak. No, cześć, panie łapacz. I nie trudź się pan z przychodzeniem drugi raz. Nie będzie mnie w domu.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Zaczynały się przy progu od wilgoci. Spojrzałem na niego. Stał ze zwężonymi oczami, pełen tłumionej wściekłości.

—Możliwe, że przyjdę — powiedziałem — ale nie po to, żeby opowiadać dowcipy. Przyjdę tu wtedy, kiedy znajdę coś, co wymaga omówienia.

—Więc pan myśli nadal, że ja kłamię? — krzyknął ze wściekłości.

—Ja sędzę, że pan nie powiedział wszystkiego. Zbyt dobrze znam się na ludziach, żeby tego nie spostrzec. Może to nie mój interes. Ale jeśli to będzie mój interes, to bardzo prawdopodobne, że znowu będzie pan mnie wyrzucał.

—Z przyjemnością — odparł. — A następnym razem weź pan z sobą kogoś, kto pana odwiezie do domu. Na wypadek gdybyś pan wylądował na nosie i poniósł mały wstrząs mózgu.

Potem bez żadnego związku i powodu splunął na dywan.

To mną wstrząsnęło. Wyglądało to zupełnie tak, jakby w jakimś zaułku pękł gładki asfalt i wylał spod niego bandyta. Albo jakby jakaś bardzo wytworna kobieta zaczęła się niespodziewanie wypowiadać w czteroliterowych wyrazach.

—Do widzenia, przystojniaku — powiedziałem i zostawiłem go stojącego bez ruchu.

Zamknąłem drzwi, a musiałem je dobrze popchnąć, by się zamknęły. Wyszedłem na ulicę. Stałem na chodniku patrząc na dom po przeciwnej stronie.

## Rozdział IV

Był to duży dom, otynkowany na różowo, przy czym kolory wyblakły i nabrały przyjemnego pastelowego odcienia. Ramy okienne pomalowane były matową zielenią. Dach pokryty zielonymi płytami. Frontowe drzwi osadzone głęboko i otoczone mozaiką z różnokolorowych płytek. Przed frontem znajdował się klomb, a z tyłu otynkowany mur z żelaznymi prętami u góry, które zaczęły rdzewieć od wilgoci ciągnącej znad zatoki. Z lewej strony był garaż na trzy samochody, z drzwiami otwierającymi się od podwórka. Betonowy chodnik prowadził stąd do bocznych drzwi domu.

Na filarze bramy przymocowana była brązowa tablica z napisem: „Albert S. Almore, doktor medycyny”.

Kiedy stałem patrząc na ten dom, zza rogu wynurzył się czarny cadillac. Zwolnił i zaczął zjeżdżać na bok, by mieć miejsce do zakręcenia do garażu, ale ponieważ mój wóz przeszkadzał w tym manewrze, cadillac pojechał do końca ulicy i zakręcił na małym placyku przed ozdobnym żelaznym płotem. Wrócił zwolna i wjechał do próżnego trzeciego garażu.

Chudy mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych szedł chodnikiem do mieszkania niosąc doktorską walizeczkę. W pół drogi zwolnił kroku, by mi się przyjrzeć. Podszedłem do mego wozu. Mężczyzna otworzył kluczem drzwi domu i znowu spojrzał na mnie.

Wsiadłem do chryslera i siedziałem tam paląc i zastanawiając się, czy warto wynająć kogoś do śledzenia Lavery'ego. Zdecydowałem, że nie warto w obecnym stanie rzeczy.

Firanki poruszyły się przy oknie koło drzwi, przez które wszedł dr Almore. Rozsuwała je jego chuda ręka i uchwyciłem połysk światła na jego okularach. Przez chwilę przytrzymał firanki, a potem opadły one znowu.

Spojrzałem na dom Lavery'ego. Stąd mogłem widzieć, że przy wejściu do służby były schodki z malowanego drzewa, prowadzące na betonowy chodnik, a dalej znajdowały się betonowe schody do znajdującego się poniżej zaułka.

Spojrzałem znowu na dom doktora Almore zastanawiając się leniwie, czy zna Lavery'ego, i na ile go zna. Prawdopodobnie powinien go znać, ponieważ na tym odcinku ulicy stały tylko dwa domy. Ale ponieważ jest lekarzem, nie będzie chciał mi nic o nim powiedzieć. Gdy patrzyłem, firanki z lekka rozsunęły się, a potem całkowicie ściągnięto je na bok. W środkowym segmencie potrójnego okna, które zasłaniały, nie było siatki. W oknie stał doktor Almore wpatrując się z natężeniem w mój samochód. Otrząsnąłem przez okno popiół z papierosa, a on odwrócił się gwałtownie i usiadł przy biurku. Doktorska walizeczka stała przed nim. Siedział sztywno, stukając palcami w blat biurka. Jego ręka wyciągnęła się do telefonu i cofnęła się znowu. Zapalił papierosa, gwałtownie potrząsnął zapalką i znowu zaczął wpatrywać się we mnie. Zainteresowało mnie to przede wszystkim dlatego, że Almore był lekarzem. Lekarze należą w zasadzie do najmniej ciekawych ludzi. Jeśli są internistami, słyszą tyle sekretów, że starczy im na całe życie. Wydawało się, że doktor Almore jest mną zainteresowany. Więcej niż zainteresowany – zaniepokojony.

Sięgnąłem by przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy frontowe drzwi Lavery'ego otworzyły się. Szybko cofnąłem rękę i znów rozparłem się na siedzeniu. Lavery wyszedł szybko, rzucił okiem na ulicę i skręcił do swego garażu. Był ubrany tak, jak go ostatnio widziałem. Miał na ręku włochaty ręcznik i matę na ramieniu. Słyszałem, jak otwiera drzwi garażu i drzwi samochodu, a potem – warczenie i kaszel ruszającego wozu. Wyjechał tyłem na ulicę, wyrzucając białe spaliny z rury wydechowej. Był to mały zgrabny kabriolet ze składanym dachem, wystawała sponad niego ciemna, gładka głowa młodego mężczyzny. Miał teraz parę słonecznych okularów w bardzo szerokiej białej oprawie. Kabriolet mignął po jezdni i zniknął za rogiem.

Nie było to dla mnie nic ciekawego. Pan Christopher Lavery wybierał się w jakiś kąt nad szerokim Pacyfikiem, by leżeć na słońcu i pokazywać dziewczynom to, co im się na pewno podobało.

Znowu zwróciłem uwagę na doktora Almore. Stał przy telefonie, ale nie rozmawiał, trzymał tylko słuchawkę przy uchu, palił i czekał. Potem pochylił się naprzód, jak to się zwykle robi, gdy w słuchawce znowu odzywa się głos. Postąpił tak trochę, odwiesił słuchawkę i zapisał coś na leżącym przed nim bloczku. Potem ciężka księga z żółtymi okładkami pojawiła się na jego biurku i otworzył ją prawie w środku. Gdy to robił, jeszcze raz spojrzał przez okno, prosto na chryslera.

Znalazł w książce szukane miejsce, pochylił się i pojawiły się nad nim szybkie chmurki dymu. Znowu coś zapisał, odsunął książkę i znowu chwycił za telefon. Nakręcił numer, poczekał, i zaczął mówić szybko, kiwając głową i wymachując w powietrzu papierosem.

Skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Usiadł wygodnie i tak trwał rozmyślając nad czymś, z wzrokiem utkwionym w blacie biurka, nie zapominając jednak co pół minuty

spojrzeć w okno. Czekał, i ja czekałem z nim razem, bez żadnego sensu. Doktorzy bardzo dużo telefonują i rozmawiają z wielu ludźmi. Doktorzy wyglądają ze swych frontowych okien, doktorzy marszczą czoła, doktorzy okazują nerwowość, doktorzy miewają sprawy, nad którymi muszą myśleć z napięciem. Doktorzy są tylko ludźmi jak inni, urodzonymi do trosk, walczącymi w ciężkiej i długiej walce o byt, podobnie jak i my wszyscy.

Ale coś mnie zaintrygowało w sposobie jego zachowania się. Spojrzałem na zegarek, zdecydowałem, że czas byłoby coś przegryźć, zapaliłem następnego papierosa i nie ruszyłem się z miejsca.

Trwało to około pięciu minut. Po czym zielony samochód wyskoczył zza rogu i podjechał w moją stronę. Zatrzymał się przed frontem domu doktora Almore'a. Na samochodzie drżała wysoka antena radiowa. Potężny mężczyzna, ciemny blondyn, wysiadł i podszedł do frontowych drzwi doktora Almore'a. Nacisnął dzwonek i pochylił się, by zapalić zapałkę o schodek. Po czym podniósł głowę i spojrzał na ulicę, dokładnie w to miejsce, gdzie siedziałem w samochodzie.

Drzwi się otworzyły i wszedł do środka. Niewidzialna ręka opuściła firanki w gabinecie doktora Almore'a. Siedziałem i wpatrywałem się w spłowiałe od słońca wzory firanek. Znowu upłynął pewien czas.

Frontowe drzwi otworzyły się i potężny mężczyzna przemaszerował sztywno po schodach i przez bramę. Wyrzucił niedopałek papierosa, przygładził włosy. Wzruszył ramionami, potarł podbródek i przeszedł ukośnie przez ulicę. Jego kroki brzmiały leniwo i jakoś niezwykle w panującej ciszy. Firanki doktora Almore poruszyły się znowu. Doktor Almore stał w swoim oknie i czekał.

Wielka piegowata łapa pojawiła się na opuszczonym oknie samochodu przy moim łokciu, a tuż nad nią duża, ostro zarysowana twarz. Mężczyzna miał błękitne oczy o metalicznym odcieniu. Przyjrzał mi się dokładnie i zapytał głębokim, ostrym głosem:

—Czeka pan na kogoś?

—Nie wiem — powiedziałem. — Może.

—Pytam się.

—No, niech to diabli — zawołałem. — Więc to jest odpowiedź na tę pantomimę!

—Jaką pantomimę? — Wbił we mnie twarde nieprzyjazne spojrzenie swych bardzo niebieskich oczu.

Pokazałem papierosem na drugą stronę ulicy.

—Nerwowy chłopczyk i telefon. Dzwoni na policję, jak tylko dowiedział się mojego nazwiska z Auto Clubu, a potem sprawdził je prawdopodobnie w książce adresowej. O co chodzi?

—Prawo jazdy!

Popatrzył na mnie złowrogo, a ja odplaciłem mu równą monetą.

—Czy wy, koledzy, już z natury postępujecie tak ostro, czy tylko przy sprawdzaniu dokumentów? — spytałem.

—Jeśli będę potrzebował postępować ostro, to się pan o tym dowie.

Pochyliłem się naprzód, przekręciłem kluczyk stacyjki i nacisnąłem na starter. Motor zaskoczył i zaczął pracować na luzie.

—Zgaś ten motor — krzyknął złowrogo i postawił nogę na stopniu.

Zgasilem motor, oparłem się na siedzeniu i spojrzałem na niego.



—Do cholery — warknął — chcesz, żebym cię wyciągnął i rozłożył na bruku?

Wydobyłem portfel i podałem mu go. Wyjął celuloidową ramkę, spojrział na prawo jazdy, potem odwrócił ją i spojrział na fotokopię mojej licencji. Lekceważąco wepchnął to do portfela i zwrócił mi go. Schowałem dokumenty. On sięgnął do swojej kieszeni i wyciągnął niebiesko–złotą odznakę policyjną.

—Degarmo, detektyw–porucznik — powiedział swym grubym brutalnym głosem.

—Bardzo mi przyjemnie, panie poruczniku.

—Bzdury. Teraz powiedz, dlaczego tu się kręcisz i szpiegujesz doktora Almore.

—Nie szpieguję doktora Almore, jak pan to ujął, poruczniku. Nigdy nie słyszałem o doktorze Almore i nie znam żadnego powodu, dla którego miałbym go szpiegować.

Odwrócił głowę, żeby splunąć. Jakoś miałem dzisiaj szczęście do plujących facetów.

—Więc co tu robisz? My nie lubimy łapaczy. Nie mamy ani jednego w mieście.

—Naprawdę?

—Naprawdę. No więc gadaj, jeśli nie chcesz pojechać do komisariatu i dostać na poty.

Nie odpowiedziałem.

—Jej rodzice cię wynajęli? — spytał nagle.

Potrząsnąłem głową.

—Ostatni facet, który tego próbował, skończył na robotach przymusowych, kochasiu.

—Sądzę, że słusznie — rzekłem — tylko o co chodzi? Próbował czego?

—Próbował doić z niego forszę.

—Szkoda, że nie wiem jak — odparłem. — On wygląda na łatwego gościa do dojenia.

—Tego rodzaju gadanie może ci przypadkiem zaszkodzić.

—Dobra jest — powiedziałem. — Ujmę to inaczej. Nie znam doktora Almore, nigdy o nim nie słyszałem i nie jestem nim zainteresowany. Przyjechałem tu, żeby odwiedzić przyjaciela, i oglądałem krajobraz. Jeśli robię coś poza tym, to w każdym razie nic, co by pana mogło interesować. Jeśli się to panu nie podoba, najlepiej byłoby pojechać na komendę i zobaczyć się z dyżurnym.

Ciężko poruszył stopą na błotniku i spojrział z powątpiewaniem.

—To jest prawda? — spytał zwolna.

—Jak kryształ.

—Ach, diabli, ten facet jest pomyłony — odezwał się nagle i spojrział przez ramię na dom. — Powinien iść do doktora. — Roześmiał się bez żadnej wesołości w śmiechu. Zdjął nogę ze stopnia i przyglądał swe sztywne włosy.

—No dobra, uciekaj — powiedział. — Tylko nie wścibiaj nosa w nasze sprawy, to nie będziesz miał żadnych wrogów.

Znowu nacisnąłem starter. Gdy motor chodził na luzie, spytałem:

—Jak się czuje Al Norgaard?

Wytrzeszczył na mnie oczy. — Znasz Ala?

—Tak. Pracowałem z nim nad jedną sprawą dwa lata temu, kiedy Wax był szefem policji.

—Al jest w policji wojskowej. Chciałbym tam być — rzekł gorzko.

Zaczął odchodzić i nagle ostro zawrócił na pięcie.

—No dalej, uciekaj, póki się nie rozmyśliłem — warknął.

Ciężko przeszedł przez ulicę do bramy posiadłości doktora Almore. Nacisnąłem sprzęgło i odjechałem. W drodze do miasta wsłuchiwałem się we własne myśli. Kręciły się tu i tam jak chude, nerwowe dłonie doktora Almore poruszające firanki.

Wróciwszy do Los Angeles zjadłem obiad i poszedłem do mego biura, by zobaczyć, czy jest jakaś korespondencja. Zadzwoiłem stąd do Kingsleya.

—Widziałem Lavery'ego. Tak mnie zwymyślał, że wyglądało to szczerze. Próbowałem go troszkę przycisnąć, ale nic z tego nie wyszło. Nadal przypuszczam, że oboje się pokłócili i rozeszli, a on ma nadzieję, że mu się uda to jeszcze naprawić.

—W takim razie musi wiedzieć, gdzie ona jest — powiedział Kingsley.

—Może, ale nie musi. Poza tym dość ciekawa rzecz zdarzyła mi się na tej ulicy, gdzie mieszka Lavery. Naprzeciwko stoi dom, który należy do doktora Almore.

Powiedziałem mu pokrótce, co zaszło.

Przez chwilę milczał, a potem spytał:

—To był doktor Albert Almore ?

—Tak?

—Przez pewien czas był lekarzem Crystal. Przychodził do nas kilka razy, kiedy ona była... no, kiedy za dużo wypija. Uważam, że za bardzo lubi robić zastrzyki. Jego żona ... chwileczkę ... coś było z jego żoną. Ach, tak, popełniła samobójstwo.

—Kiedy?

—Nie przypominam sobie. Już dość dawno. Nie utrzymywałem z nimi stosunków towarzyskich. Co pan zamierza teraz robić?

Oświadczyłem, że wybieram się do Jeziora Pumpy, chociaż zbliża się już wieczór i jest trochę późno na wyjazd.

Odpowiedział mi, że mam mnóstwo czasu, bo w górach dzień trwa o godzinę dłużej.

Odparłem, że to świetnie, i odłożyłem słuchawkę.

## Rozdział V

San Bernardino smażyło się i błyszczało, w popołudniowym upale. Gorące powietrze wprost parzyło mi język. Jechałem dysząc, zatrzymałem się na chwilę, by kupić butelkę czegoś mocniejszego na wypadek, gdybym zasłabł, zanim dojadę do gór. Potem zacząłem się wspinać po wielkiej pochyłości. Na przestrzeni piętnastu mil droga wzniosła się o pięć tysięcy stóp, ale nadal nie było bynajmniej chłodno. Trzydzieści mil górskiej jazdy doprowadziło mnie do wysokich sosen i miejscowości zwanej Bubbling Springs. Mieścił się tu sklep w drewnianym budynku i pompa benzynowa, a człowiek czuł się tu jak w raju. Od tego miejsca przez całą drogę było już chłodniej.

Na tamie przy jeziorze stały posterunki wojskowe — po jednym wartowniku na każdym końcu, i jeden pośrodku. Gdy podjechałem bliżej, pierwszy wartownik kazał mi zamknąć wszystkie okna samochodu. W odległości około stu jardów od grobli przeciągnięta była na wodzie lina z korkowymi pływakami, która nie dopuszczała bliżej łodzi spacerowych. Poza tymi szczegółami nie widać było, żeby wojna dotarła do Jeziora Pumpy.

Czołna krażyły po niebieskiej wodzie, parkotały długie łódki z przyczepnymi motorkami, a ślizgacze pełne ładnych dziewcząt wzbijały smugi piany i robiły nagłe zwroty, zaś dziewczęta piszczały i zanurzały dłonie w wodzie. Na fali wzbijanej przez ślizgacze chwiały się łódki ludzi, którzy płacąc dwa dolary za kartę wędkarską usiłują zaoszczędzić dziesięć centów na rybę.

Droga wiła się wśród wysokich granitowych wysypisk, wpadała na łąki pokryte szorstką trawą, na których rosły resztki dzikich irysów, białego i purpurowego łubinu, lwiej paszczy, kolumbiny i krokusów oraz suchych krzaków. Wysokie, żółte sosny strzelały w jasnobłękitne niebo. Droga obniżała się znowu do poziomu jeziora i krajobraz napełnił się dziewczętami w śmiesznych spodniach i w wiejskich chusteczkach oraz sandałach na grubej podeszwie. Ludzie na rowerach przemykali się ostrożnie po szosie, a od czasu do czasu jakiś gość z wystraszoną miną grzmiał na skuterze.

Na milę przed wsią szosa rozszczepiała się i węższa jej odnoga skręcała znowu w góry. Tablica z niemalowanego drzewa pod drogowskazem głosiła: Jeziorko Jelonków 1 mila. Skręciłem na tę drogę. Na przestrzeni pierwszej mili stały rozproszone po zboczach domki, ale potem nie było już nic. Później ujrzałem jeszcze jedno skrzyżowanie, od którego biegła w bok bardzo wąska droga. Stał tu słup z napisem: „Jeziorko Jelonków. Droga prywatna. Obcym wstęp wzbroniony.”

Skierowałem chryslera na tę drogę i jechałem ostrożnie między ogromnymi skałami z nagiego granitu, minąłem mały wodospad, jechałem przez gęstwinę czarnych dębów, żelaznego drzewa, manzanity i ciszy. Sójka zaskrzeczała na gałęzi, a wiewiórka wymyślała mi i uderzała gniewnie łapką w sosnową szyszkę. Dzieciół o szkarłatnej główce przestał obstukiwać korę i spojrzał na mnie paciorkowatym okiem, a później schował się za pień i spojrzał drugim. Podjechałem do bramy i kolejnej tablicy z napisem.

Za bramą na przestrzeni dwustu jardów droga wiła się między drzewami i nagle pojawiło się przede mną małe owalne jezioro otoczone drzewami, skałami i dziką trawą, jak kropla rosy zatrzymana na pomarszczonym liściu. U bliższego końca jeziora była betonowa grobla ze sznurową poręczą, a z boku tkwiło stare młyńskie koło. W pobliżu znajdował się mały domek z pni sosnowych, nie oskrobanych z kory.

Z drugiej strony jeziora, w dość dużej odległości, gdyby jechać tam drogą, ale blisko, gdy się szło przez groblę, stał nad wodą spory domek z czerwonego drzewa, a nieco dalej — w pewnej odległości od obu domków — dwie pozostałe chaty. Wszystkie trzy były zamknięte i spokojne, z zasłonami w oknach. Największy dom miał weneckie żaluzje z zaciągniętymi zasłonami pomarańczowożółtego koloru i duże okna, wychodzące na jezioro.

Na drugim końcu jeziora było coś, co wyglądało na molo i pawilon dla orkiestry. Na ścianie pawilonu wisiała drewniana tablica, na której wypisano wielkimi białymi literami: Obóz K i l k a r e. Nie miało to moim zdaniem żadnego sensu w tym otoczeniu, więc wysiadłem z wozu i poszedłem do najbliższej chatki. Skądś dolatywał stuk siekiery.

Zapukałem do drzwi domku. Stuk siekiery umilkł. Gdzieś odezwał się męski głos. Usiadłem na kamieniu i zapaliłem papierosa. Zza chaty doleciał mnie odgłos kroków, nierównych kroków. Pojawił się mężczyzna o pomarszczonej twarzy i czarniawej skórze, z siekierą w rękę. Był krępy i niezbyt wysoki, i utykał przy chodzeniu, wyrzucając lekko do przodu prawą nogę przy każdym kroku i stawiając stopę płaskim łukiem. Miał ciemny od nieogolonego zarostu podbródek, niebieskie oczy, skołtunione włosy, które kręciły mu się nad

uszami i wyraźnie wymagały strzyżenia. Ubrany był w niebieskie cągowe spodnie i niebieską koszulę, rozpiętą pod muskularną szyją. Papieros zwisał mu z kącika ust. Mówił z twardym miejskim akcentem.

—No?

—Pan Bill Chess ?

—To ja.

Wstałem, wyciągnąłem list polecający Kingsleya i wręczyłem mu go. Przez chwilę zezował na list, potem pokuśtykał do chatki i wrócił w okularach na nosie. Starannie przeczytał kartkę dwa razy. Wsadził ją do kieszeni koszuli, zapiał kieszeń na guzik i wyciągnął rękę.

—Bardzo mi miło pana poznać, panie Marlowe.

Podaliśmy sobie ręce. Miał dłonie jak raszpla do drzewa.

—Pan chce obejrzeć domek Kingsleya? Bardzo chętnie panu pokażę. Chyba go nie sprzedaje, na miłość boską?

Wpatrywał się we mnie uporczywie i pokazywał kciukiem na drugą stronę jeziora.

—Kto wie — powiedziałem. — W Kalifornii wszystko jest na sprzedaż.

—Czyja o tym nie wiem? To tamten z czerwonego drzewa. Roboty stolarskie z górskiej sosny, dach z płyt spilśnionych, kamienne fundamenty i ganki, łazienka i natrysk, weneckie żaluzje, duży kominek, piec naftowy w głównej sypialni — a, bracie, bardzo jest potrzebny na wiosnę i jesienią — wszystko pierwszorzędne. Kosztuje około ośmiu tysięcy, a to są pieniądze jak na górską chatę. Prywatny zbiornik wodny na wzgórzu.

—A jak z elektrycznością i telefonem? — spytałem po to tylko, żeby być uprzejmym.

—Elektryczne światło, oczywiście. Nie ma telefonu. Teraz nie można dostać. A nawet gdyby było można, przeprowadzenie linii tutaj kosztuje masę forsy.

Patrzył na mnie swymi niebieskimi oczami, a ja patrzyłem na niego. Mimo ogorzałej twarzy wyglądał na pijaka. Miał zgrubiały połyskliwy naskórek, zbyt wyraźne żyły i jasny blask w oczach.

—Czy ktoś tu jeszcze mieszka? — spytałem.

—Nikt. Pani Kingsley była tu parę tygodni temu. Potem odjechała. Myślę, że wróci w najbliższych dniach. On nic o tym nie mówił?

Udałem zdziwienie:

—A po co? Czy ona wyjeżdża razem z domem?.

Zmarszczył się, a potem potrząsnął głową i ryknął śmiechem. Jego śmiech przypominał łoskot traktora. Rozdzierał ciszę leśną na strzępki.

—Jezu, ale to kawał! — sapał. — Czy ona wyjeżdża razem ... — pozwolił sobie na jeszcze jeden wybuch śmiechu. a potem jego usta zatrzasnęły się szczelnie jak pułapka.

—Tak, to jest ładny domek — powtórzył przyglądając mi się uważnie.

—Łóżko wygodne? — spytałem.

Pochylił się naprzód i uśmiechnął.

—Zdaje się, że pan szuka guza — rzekł.

Wytrzeszczyłem na niego oczy i otworzyłem usta.

—Nie pojmuję — powiedziałem. — Wcale nie szukam czegoś takiego.

—Skąd mam wiedzieć, że łóżka są wygodne? — warknął pochylając się lekko, tak, że mógłby mnie trafić prawym prostym, gdyby miał ochotę.

—Nie wiem, dlaczego by pan miał nie wiedzieć — odparłem. — Zresztą nie musi mi pan mówić. Sam mogę sprawdzić.

—Tak — burknął wściekle — myśli pan, że ja nie wyczuję hinta, jak tylko go zobaczę? Bawiłem się z nimi w chowanego prawie w całym kraju. Guzik dla pana, kolego. I guzik dla Kingsleya. To on sobie wynajmuje tajniaka, żeby tu przyjeżdżał i sprawdzał, czy ja nie noszę jego pidżamy, co? Słuchaj, pan, mogę mieć sztywną nogę i w ogóle, ale jakie kobiety jeszcze by na mnie poleciały ...

Wyciągnąłem rękę mając nadzieję, że jej nie urwie i nie wyrzuci do jeziora.

—Pan się niepotrzebnie denerwuje — tłumaczyłem. — Nie przyjechałem tutaj, żeby badać pańskie życie miłosne. Nigdy nie widziałem pani Kingsley. A pana Kingsleya zobaczyłem po raz pierwszy dziś rano. O cóż, u diabła, chodzi?

Opuścił oczy i potarł dłonią po ustach tak gwałtownie, jakby sam chciał się skaleczyć. Potem podniósł rękę do oczu, zacisnął ją w pięść, otworzył znowu i popatrzył na palce. Troszkę drżały.

—Przepraszam, panie Marlowe — powiedział zwolna. — Troszkę sobie podgazowałem ostatniej nocy i mam kaca jak sto tysięcy diabłów. Byłem tu sam przez cały miesiąc i już zaczynam gadać do siebie. Miałem takie jedno przejście.

—A może mała szklaneczka by coś pomogła?

Jego oczy zmieniły się nagle i błysnęły:

—A ma pan?

Wyciągnąłem butelkę i trzymałem ją w ten sposób, że mógł zobaczyć zieloną naklejkę nad korkiem.

—Nie zasłużyłem na to. Jak Boga kocham, że nie zasłużyłem. Niech pan poczeka, zaraz przyniosę dwie szklanki. A może wejdzie pan do środka?

—Wolę tutaj. Podoba mi się ten krajobraz.

Machnął swą sztywną nogą, wszedł do chaty i wrócił niosąc dwie szklaneczki. Usiadł obok mnie na skale. Czuć było od niego zaschłym potem.

Odkręciłem metalową zakrętkę, naląłem mu solidną porcję, a sobie malutką. Stuknęliśmy się i wypiliśmy. Spróbował wódki językiem i twarz mu się rozjaśniła.

—Pierwszorzędna whisky — zawołał. — Sam nie wiem, dlaczego się tak odezwałem. Zdaje mi się, że jak człowiek tak siedzi tutaj, to dostaje kręcka. Żadnego towarzystwa, nie ma prawdziwych przyjaciół, nie ma żony.

Wpatrywałem się w błękitną wodę jeziora. Pod zwisającą skałą wyskoczyła na powierzchnię ryba, błysnęła i na wodzie zaczęły się rozszerzać kręgi. Lekki powiew poruszył wierzchołkami sosen tak, że zaszemrały cicho jak przybrzeżna fala.

—Opuściła mnie — powiedział wolno. — Miesiąc temu. W piątek dwunastego czerwca. Ten dzień będę zawsze pamiętał.

Zeszywniałem, ale nie do tego stopnia, żeby nie dolać whisky do jego pustej lampki. W dniu dwunastego czerwca pani Crystal Kingsley rzekomo miała udać się do miasta na zabawę.

—Ale pan nie będzie chciał o tym słuchać — dodał, a w jego spłowiałych niebieskich oczach widniała wielka ochota, aby o tym mówić, tak obszernie, jak to tylko możliwe.

—To wprawdzie nie mój interes — powiedziałem. — Ale jeśli pan ma ochotę ...

Kiwnął z rozmachem głową. — Dwóch facetów spotyka się na ławce w parku i zaczyna mówić o Bogu — rzekł. — Zauważył pan to kiedy? Faceci, którzy nie rozmawialiby o Bogu z najlepszym przyjacielem.

—Znam to — potwierdziłem.

Wypił i spojrzał na dragą stronę jeziora.

—To była piękna kobieta — odezwał się miękko. — Czasami miała trochę za ostry język, ale to była piękna kobieta. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Ja i Muriel. Spotkałem ją w restauracji w Riverside rok i trzy miesiące temu. To nie była tego rodzaju knajpa, gdzie człowiek może się spodziewać, że spotka dziewczynę podobną do Muriel, ale tak się właśnie zdarzyło. Wzięliśmy ślub. Kochałem ją. Wiedziałem, że mi z nią dobrze. Ale byłem za wielkim łajdakiem, żeby z nią żyć przyzwoicie.

Poruszyłem się trochę, żeby mu przypomnieć, iż nadal tu jestem, ale nie powiedziałem nic bojąc się przerwać ten potok słów. Siedziałem nie tknąwszy whisky. Lubię sobie popić, ale nie wtedy, kiedy ludzie używają mnie w charakterze pamiętnika.

Ciągnął dalej smutno: — Wie pan, jak to jest w małżeństwie ... w każdym małżeństwie. W krótkim czasie facet taki jak ja, taki kawał łobuza jak ja, chce sobie podskoczyć na dziewczynki. Ma ochotę na jakąś inną kobietkę. Może to jest paskudne, ale tak to jest.

Spojrzał na mnie, a ja mu przytaknąłem.

Wyszczył do reszty dragą szklaneczkę. Podałem mu butelkę. Na sośnie usiadła niebieska sójka i skakała z gałęzi na gałąź, nie poruszając skrzydłami i nie zatrzymując się ani na chwilę dla równowagi.

—Tak — ciągnął dalej Bill Chess. — Wszyscy, co siedzą w górach, są na pół pomyleni, i ze mną robi się to samo. Tu jest mi dobrze. Mieszkanie za darmo, dobra renta co miesiąc, połowę odłożonych pieniędzy mam ulokowane w pożyczkach wojennych. Ożeniłem się z taką ładną blondyneczką, że ładniejszej chyba pan nie widział, a przez cały czas miałem nie po kolei w głowie i nie wiedziałem o tym. I wpadłem w takie coś — wskazał twardo na domek z czerwonego drzewa po drugiej stronie jeziora. Pociemniał w późnym popołudniowym świetle. — Na własnym podwórku przed własnymi oknami zaplątałem się z taką babą, która nie znaczyła dla mnie więcej niż złamany patyk. Jezu, jakim człowiek może być durniem.

Wypił trzecią szklaneczkę i postawił butelkę na kamieniu. Wyłowił papierosa z kieszeni koszuli, potarł zapałkę o paznokciec kciuka i wypuścił gwałtownie kłęb dymu. Oddychałem przez otwarte usta tak cicho jak włamywacz za firanką.

—Do diabła — powiedział w końcu — pan może pomyślał, że jak robiłem jakiś odskok, to poszukałem gdzieś dalej od domu i wybrałem sobie przynajmniej jakiś inny typ kobiety. Ale wcale tak nie było. Ta mała trzpiotka naprzeciwko jest blondynką jak Muriel, ten sam wzrost i figura, ten sam typ, nawet oczy prawie tego samego koloru. Ale bracie, jaka jednocześnie różna! Ładna oczywiście, ale nie ładniejsza, a dla mnie nawet przez pół tak nie ładna. No tak, paliłem właśnie śmiecie tego ranka i tak się zajmowałem swoją robotą jak rzadko kiedy. A ona przychodzi do mnie w eleganckiej pidżamie tak przeźroczystej, że widać było przez materiał różowe brodawki jej piersi, i mówi tym swoim rozlazłym nic nie wartym głosem: — Napij się, Bill. Nie pracuj tak ciężko w taki piękny ranek. — A ja za bardzo lubię pić, więc idę do kuchni i wypijam jednego. A potem wypijam jeszcze jednego i jeszcze

jednego, a potem jestem w pokoju. A im bliżej do niej podchodzę, tym więcej łóżka widzę w jej oczach.

Przerwał i omiółt mnie twardym spojrzeniem.

—Pan ranie zapytał, czy łóżka w tamtym domu są wygodne, a ja się zacząłem wściekać. Pan nic nie miał na myśli. A ja po prostu miałem za dużo wspomnień. Tak... łóżko, w którym leżałem, było bardzo wygodne.

Przerwał, a ja nie odpowiedziałem nic. Słowa przebrzmiały i zapanowała cisza. Pochylił się, chwycił butelkę z kamienia i zaczął się w nią wpatrywać. Wyglądało na to, że w jego duszy toczy się walka. Jak zwykle zwyciężyła whisky. Pociągnął długi gwałtowny łyk z butelki, a potem dokładnie zakręcił kapsel, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Chwycił kamyczek i cisnął go w wodę.

—Wróciłem przez groblę — mówił wolno, głosem zachrypłym od alkoholu. — Czułem się gładko, jak nowy tłok w cylindrze. Coś skorzystałem. Nieprawda, jak my mężczyźni często się mylimy w takich małych sprawach? Nie skorzystałem nic. Nic w ogóle. Słucham, co Muriel mi mówi, a ona nawet nie podnosi głosu! mówi rzeczy o mnie samym, jakich sobie nawet nie wyobrażałem. O, tak, ładnie na tym wyszedłem!

—Więc opuściła pana — podsunąłem, gdy zamilkł znowu.

—Tej samej nocy. Nawet mnie tu nie było. Czułem się zbyt podle, żeby się solidnie nie zaprawić. Wskoczyłem do mego forda, pojechałem na północ od jeziora, wziąłem sobie do towarzystwa dwóch nicponi takich jak ja i puściliśmy się na całego. Nie powiem, żeby mi to pomogło. Około godziny czwartej nad ranem wróciłem do domu, a Muriel zniknęła. Spakowała się i zniknęła, nie zostawiając nic, poza kartką na toalecie i śladem kremu na poduszce.

Z obdrapanego, starego portfela wyciągnął kartkę papieru z oślimi uszami i podał ją mnie. Była to liniowana stronica z notesu, zapisana ołówkiem. Przeczytałem:

„Przykro mi. Bill, ale miłsza mi śmierć, niż dalsze życie z tobą. Muriel”.

Oddałem mu kartkę. — A co z tamtą? — spytałem wskazując wzrokiem na drugą stronę jeziora.

Bill Chess podniósł płaski kamyczek i próbował puścić kaczkę po wodzie, ale mu się nie udało.

—Nic z tamtą — powiedział. — Spakowała się i wyjechała tej samej nocy. Nie widziałem jej do tej pory. Wcale nie chcę jej widzieć. Od Muriel nie było ani słowa przez cały miesiąc, ani jednego słowa. Nie mam pojęcia, gdzie ona w ogóle jest. Możliwe, że z jakimś facetem. Mam nadzieję, że traktuje ją lepiej niż ja.

Wstał, wyjął klucze z kieszeni i potrząsnął nimi.

—No, jeśli pan chce iść na drugą stronę i zobaczyć domek Kingsleya, nie ma żadnych przeszkód. Dziękuję również za poczęstunek. Proszę. — Podniósł butelkę i wręczył mi ją wraz z tym, co w niej zostało.

## Rozdział VI

Zeszliśmy po stoku nad brzeg jeziora, a potem na wąską koronę grobli. Bill Chess wymachiwał przede mną swoją sztywną nogą, trzymając się linowej poręczy umocowanej na żelaznych kołkach. W jednym miejscu woda przelewała się przez beton leniwym strumieniem.

— Wypuściłem dziś trochę wody za pomocą tamtego koła — powiedział przez ramię. — Tylko do tego jednego ten grat się nadaje. Trzy lata temu zbudowali tu dekoracje. Kręcili film. Tamten mały falochron po drugiej stronie to też ich robota. Większość z tego, co zbudowali, rozebrali z powrotem, ale Kingsley poprosił ich, żeby zostawili falochron i młyńskie koło. To dodaje nastroju.

Wszedłem razem z Billem po szerokich drewnianych schodach na ganek domku Kingsleya. Otworzył drzwi z klucza i weszliśmy jakby do ciepłarni. Zamknięte pomieszczenie było prawie gorące. Światło przesączone między deszczułkami żaluzji rzucało wąskie smugi na podłogę. Salon był duży i wesoły, wyściełany dywanami. Stały tu specjalne meble o metalowych złączach, wisiały kretonowe zasłony. Podłoga z sekwojowego drzewa, mnóstwo lamp i mały wbudowany w ścianę bar w jednym rogu, obstawiony okrągłymi stołkami. Pokój był miły i czysty, i nie wyglądał na to, że opuszczono go w pośpiechu.

Obejrzelismy sypialnię. W dwóch pokojach stały po dwa łóżka, a w jednym wielkie podwójne łóżko, przykryte kremową kapą w kolorowe desenie. To była sypialnia właścicieli, jak mi powiedział Bill Chess. Na fornirowanej toaletce leżały różne artykuły toaletowe wraz z akcesoriami z zielonej emalii i chromowanej stali oraz cały komplet kosmetycznych fidrygałek. Dwa słoiki z kremem miały złotą falistą markę fabryczną Gillerlain Company. Cała ściana sypialni składała się z szaf z rozsuwanymi drzwiami. Otworzyłem jedną i zajrzałem do środka. Wyglądało na to, że jest pełna kobiecych ciuchów tego rodzaju, jakie się nosi na lotnisku. Bill Chess obserwował mnie z kwaśną miną, kiedy między nimi grzebałem. Zatrasnąłem drzwi i otworzyłem głęboką szufladę. Było w niej przynajmniej pół tuzina butów wyglądających na zupełnie nowe.

Zamknąłem szufladę i wyprostowałem się.

Bill Chess stanął twardo przede mną, wysunąwszy podbródek, opierając na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie.

— Po co pan przeglądał jej suknie? — spytał mnie gniewnie.

— Mam powody — powiedziałem. — Na przykład ten, że pani Kingsley nie wróciła do domu, kiedy stąd wyjechała. Jej mąż nie widział jej od tej pory. Nie wie, gdzie ona jest.

Opuścił pięści.

— Tajniak — warknął. — Pierwsza myśl jest zawsze słuszna. Wyperswadowałem ją sobie. Człowieku, wypowiadałem się przed tobą! Niewinna dziewczyna, szlag by trafił! Ale ze mnie dureń!

— Potrafię uszanować zaufanie jak każdy inny — powiedziałem i wyminąwszy go wszedłem do kuchni.

Był tam duży zielono-biały piec kuchenny, zlew w obramowaniu z lakierowanej na żółto sosny, automatyczny grzejnik do wody w służbówce, a po drugiej stronie kuchni było przejście do wesołej jadalni z wieloma oknami i pięknym kompletem śniadaniowym z plastyku. Na półkach stały kolorowe naczynia i szkło, i komplety cynowych mis.

Wszystko było w wzorowym porządku. Żadnych tam brudnych firanek ani talerzy na suszarce, ani nie umytych szklanek czy porozrzucanych pustych butelek. Ani śladu mrówek



czy much. Jeśli nawet pani Kingsley prowadziła cygańskie życie, nie zostawiła za sobą żadnego bałaganu.

Wróciłem do salonu i wyszedłem na ganek czekając, aż Bill Chess zamknie drzwi. Gdy to zrobił i zwrócił się do mnie z ponurą miną, powiedziałem:

—Nie prosiłem, żeby pan otwierał przede mną swoje serce, ale nie przeszkadzałem w tym. Kingsley nie potrzebuje wiedzieć, że jego żona namówiła pana do grzechu, jeśli za tym wszystkim nie kryje się jeszcze coś, czego w tej chwili nie mogę stwierdzić.

—Idź pan do cholery. — burknął nie rozchmurzając twarzy.

—Dobra, pójdę do cholery. Czy jest jakaś możliwość, żeby żona pana i żona Kingsleya wyjechały razem?

—Nie rozumiem.

—Jak pan pojechał topić swoje troski, mogły się pokłócić, a potem pogodzić i wyplakać się w swoich ramionach. Później pani Kingsley mogła zabrać ze sobą pańską żonę. Pańska żona miała swój własny samochód?

Brzmiało to głupio, ale on wziął to zupełnie poważnie.

—Bzdury. Muriel nie płakała w niczyich ramionach. W ogóle nigdy nie płakała. A gdyby się chciała przed kimś wyplakać, nie wybierałaby sobie takiej latawicy. Jeśli zaś chodzi o komunikację, to miała własnego forda. Trudno byłoby jej jeździć w moim, ponieważ mam w nim pedały dopasowane do mojej sztywnej nogi.

—Tak mi to tylko przeleciało przez głowę — wyjaśniłem.

—Jak jeszcze raz coś takiego będzie panu przelatywało, niech pan to lepiej zatrzyma przy sobie.

—Jak na faceta, który tak łatwo pierze swoją brudną bieliznę przed zupełnie obcymi ludźmi, jest pan diabelnie obraźliwy.

Przysunął się o krok bliżej.

—Chcesz się bić?

—Słuchaj pan, kolego — powiedziałem. — Dokładam wszelkich wysiłków, by nie stracić mniemania, że jest pan w gruncie rzeczy porządnym chłopem. Może mi pan w tym trochę pomóc?

Przez chwilę oddychał ciężko, a potem opuścił ręce i rozłożył je bezradnie.

—Człowieku, gdybym ja mógł komuś coś pomóc — westchnął. — Może się przejdziemy koło jeziora?

—Oczywiście, jeśli pańska noga na to pozwala.

—Już nieraz tak chodziłem.

Ruszyliśmy znowu obok siebie jak dwa grzeczne pieski. Miałem wrażenie, że będzie tak nadal, przynajmniej przez najbliższe pięćdziesiąt jardów. Droga dość szeroka, by mógł przejechać po niej samochód, biegła tuż nad poziomem wody i wiła się między wysokimi skałami. Mniej więcej w połowie drogi do następnego brzegu stała mała chatka zbudowana na litej skale. Trzecia była dość daleko od jeziora, na skrawku prawie równego gruntu. Obie były zamknięte i wyglądało na to, że są opuszczone od dawna.

Bill Chess odezwał się po jakiejś minucie czy dwóch:

—To ta wyderka związała?

—Na to wygląda.

—Pan jest prawdziwy tajniak czy tylko prywatny?

—Tylko prywatny.

—Ona uciekła z jakimś facetem?

—Uważam to za bardzo prawdopodobne.

—Na pewno tak. To puszczałska. Kingsley powinien o tym wiedzieć. Ma mnóstwo przyjaciół.

—Tutaj też?

Nie odpowiedział.

—Czy jeden z nich nie nazywał się Lavery?

—Nie wiem.

—Jeśli chodzi o tego gościa, to nie ma tajemnicy — wyjaśniłem. — Wysłała telegram z El Paso, że wyjechała z nim do Meksyku.

Wyjąłem telegram i pokazałem mu. Wygrzebał niezgrabnie okulary z kieszeni koszuli, po czym zatrzymał się, żeby przeczytać. Oddał mi papier i schował okulary wpatrując się w niebieską wodę.

—Jak pan widzi, płacę zaufaniem za zaufanie — odezwałem się.

—Lavery był tutaj — powiedział z wolna.

—On przyznaje, że ją widział dwa miesiące temu, prawdopodobnie tutaj. Twierdzi, że nie spotykał się z nią od tego czasu. Nie wiadomo, czy mamy mu wierzyć. Może tak, może nie.

—To ona nie jest z nim teraz?

—On mówi, że nie.

—Nie sądzę, żeby ona robiła kawały z takimi rzeczami jak ślub — zauważył rzeczowo. — Miodowy miesiąc na Florydzie byłby bardziej w jej stylu.

—Ale czy nie może mi pan dać jakiejś pewnej informacji? Nie widział pan jej, jak odjeżdżała, albo nie słyszał czegoś, co byłoby podobne do prawdy?

—Nic — rzekł. — A gdybym widział, wątpię, czy bym powiedział. Mogę być świnia, ale nie taką.

—Dobra. W każdym razie dziękuję za starania.

—Nie jestem panu nic winien — warknął. — Dla mnie mogą diabli porwać pana i wszystkich innych cholernych kapusiów.

—Znowu się powtarzamy — powiedziałem.

Byliśmy teraz przy końcu jeziora. Zostawiłem Billa i wszedłem na małe molo. Oparłem się o drewnianą poręcz i zobaczyłem, że to, co wyglądało na pawilon dla orkiestry, to były po prostu dwie ściany z desek stojące pod rozwartym kątem do grobli. Kawałek okapu przyczepiony był do ściany niby gzyms. Bill Chess stanął za mną i pochylił się nad barierą.

—Nie to, żebym nie był wdzięczny panu za poczęstunek — oświadczył.

—Głupstwo. Są ryby w jeziorze?

—Są pstrągi. Same stare sukinsyny. Nie ma narybku. Nie jestem amatorem ryb. Mało mnie obchodzą. Przepraszam, że się znowu zachowałem niewłaściwie.

Uśmiechnąłem się, pochyliłem się nad barierą i wpatrywałem się w głęboką wodę. Miała zielony kolor. Zauważyłem jakiś ruch i mignął jakiś szybki, zielonkawy kształt. — O, proszę, dziadek! — zawołał Bill Chess. — Niech pan patrzy, jaki wielki, sukinsyn! Mógłby się wstydzić, że jest taki spasiony.

Pod wodą było coś, co wyglądało jak podłoga. Nie widziałem w tym żadnego sensu. Zapytałem Billa.

—Nim zbudowali tamę, była tu przystań dla łódek. Grobla podniosła poziom wody o jakieś sześć stóp, tak że stara przystań jest teraz pod wodą.

Łódź o płaskim dnie chwiała się leciutko na postrzępionej linii, przywiązana do pala falochronu. Powietrze było spokojne, łagodne i słoneczne, i panowała taka cisza, jakiej nigdy nie słyszy się w mieście. Mógłbym tu stać godzinami, zapomniawszy zupełnie o Derace Kingsleyu, jego żonie i jej kochankach.

Bill Chess gwałtownie poruszył się u mego boku i krzyknął:

—Patrz pan!

Jego głos huknął jak piorun w górach. Twarde palce Billa zaciskały się na moim ramieniu, póki się nie szarpnąłem. Pochylał się głęboko nad barierą patrząc w wodę, a jego twarz była tak biała, jak na to pozwalał opalony naskórek. Spojrzałem z nim razem w wodę, na sam róg zatopionej przystani.

Spod zielonego i zmurszałego drzewa coś wychyliło się z ciemności, poruszyło niepewnie i schowało znowu pod deskami.

To coś było bardzo podobne do ludzkiej ręki.

Bill Chess wyprostował się gwałtownie. Zawrócił bez słowa i pokuśtykał po falochronie. Nachylił się nad stosem luźnych kamieni i zaparł na nogach. Słyszałem jego chrapliwy oddech. Podniósł wielki kamień, dźwignął do poziomu piersi i trzymając go w rękach ruszył z powrotem. Kamień musiał ważyć ze sto funtów. Muskuly na karku Billa naprężyły się jak liny pod brązową skórą, zęby miał zaciśnięte i świszczący oddech.

Doszedł do końca molo, zaparł się na nogach i podniósł kamień wysoko. Przez chwilę trwał w tej pozycji. Jego zwrócone w dół oczy mierzyły odległość. Z ust wydobył się jakiś niewyraźny dźwięk, a ciało gibnęło się naprzód nad drżącą barierką i ciężki kamień poleciał w wodę.

Woda chlusnęła na nas obu. Kamień trafił we właściwe miejsce i uderzył w kąt zatopionej przystani, prawie dokładnie tam, gdzie widzieliśmy ten wyglądający i znikający z powrotem przedmiot.

Przez chwilę woda kotłowała się, potem zaczęły biec w przestrzeń fale coraz mniejsze i mniejsze, i dał się słyszeć niewyraźny trzask, jakby drzewo pękało pod wodą, dźwięk, który, zdawało się, doleciał do naszych uszu znacznie później niż powinien. Stara spróchniała deska wyskoczyła nagle na powierzchnię, wynurzyła się wyszczerbionym końcem, upadła na płask i odpłynęła.

Głębia rozjaśniła się znowu. Coś się w niej poruszyło, coś, co nie było deską. Coś ciemnego, skręconego, co leniwie obracało się w wodzie podnosząc się z wolna i jakoś ogromnie długo. Wypłynęło na powierzchnię, lekko, bez pośpiechu. Zobaczyłem czarno-szary sweter, skórzaną kurtkę, czarniejszą od atramentu, i parę spodni. Zobaczyłem buty i jakąś brzydką masę między mankietami spodni i butami. Zobaczyłem fale ciemnoblonde włosów wyprostowujących się na wodzie jakby dla obliczonego efektu, a następnie skręcających się znowu.

To wszystko przekreśliło się jeszcze raz i na powierzchnię wody wyskoczyła ręka zakończona obrzmiałą, widmową dłońią. Potem ukazała się twarz. Nabrzmiała, kleista, szaro-biała masa, bez rysów, bez oczu, bez ust. Bryła szarego ciasta, nocna mara z ludzkimi włosami.

Ciężki naszyjnik z zielonych kamieni tkwił na tym, co było kiedyś szyją, wciśnięty w nią do połowy — duże surowe zielone kamienie, połączone czymś błyszczącym.

Bill Chess trzymał się poręczy, a kostki jego rąk stały się białe jak śnieg.

—Muriel! — zachrypiał. — Jezu Chryste, to Muriel!

Zdawało mi się, że jego głos dolatuje mnie z wielkiej dali, gdzieś zza pagórka z milczącą gęstwiny drzew.

## Rozdział VII

Za oknem baraku widać było długi stół zarzucony zakurzonymi teczkami. Górna, oszklona połowa drzwi miała wymalowane napisy: Komendant Policji. Komendant Straży Pożarnej. Konstabl Miejski. Izba Handlowa.

W dolnych rogach przyklejono do szkła godło państwowe i emblemat Czerwonego Krzyża.

Wszedłem do środka. W jednym rogu stał brzuchaty piec, a w drugim biurko za przegrodą. Na ścianie wisiała duża mapa okręgu, a obok niej wieszak z czterema hakami. Na jednym z haków wisiał postrzępiony u dołu i gęsto cerowany płaszcz. Na przegrodzie leżało zwykle pióro do maczania, zdarta suszka i zasmarowana butelka z atramentem. Przy biurku ściana była pokryta numerami telefonicznymi, które wyglądały tak, jakby pisało je dziecko, ale tak mocno, że na pewno przetrwają, póki będzie trwało drzewo, na którym je wypisano.

Za biurkiem, w drewnianym fotelu, którego nogi były wbite w płaskie listwy, siedział jakiś mężczyzna. Spluwaczka tak wielka, że zmieściłby się w niej cały zwinięty wąż przeciwpożarowy, dotykała prawej nogi mężczyzny. Na tyle głowy tkwił mu przepocony stetsonowi kapelusz, a wielkie bezwłose ręce spoczywały wygodnie na brzuchu, nieco nad paskiem spodni koloru khaki, które najwidoczniej już od lat były zupełnie sprane. Koszula mężczyzny odpowiadała całkowicie spodniom, ale była jeszcze bardziej wyblakła. Była ciasno zapięta na grubej szyi mężczyzny i wcale nie ozdobiona krawatem. Włosy miał płowobrazowe, z wyjątkiem skroni, gdzie wpadały w kolor starego śniegu. Siedział bardziej na swym lewym udzie niż na prawym, ponieważ z prawej strony miał ogromną kaburę, z której wystawał kawał rewolweru kalibru 45 i uciskał jego solidne siedzenie. Gwiazda na jego lewej piersi miała jeden promień skrzywiony.

Miał duże uszy i życzliwe oczy, jego szczęki poruszały się lekko, a wyglądał tak groźnie jak wiewiórka i o wiele mniej nerwowo. Bardzo mi się podobał. Pochyliłem się nad barierką i spojrzałem na niego, a on spojrzał na mnie, kiwnął głową i spuścił z pół szklanki sosu tytoniowego z ust do spluwaczki przy swej prawej nodze. Dał się słyszeć przy tym niemiły dźwięk, jak zwykle gdy coś wpada do wody.

Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się za popielniczką.

—Strząsaj na podłogę, synu — powiedział tęgi, sympatyczny mężczyzna.

—Czy to pan jest szeryfem Pattonem?

—Konstblem i pomocnikiem szeryfa. Jestem całą policją, jaka tu powinna być. Przynajmniej do najbliższych wyborów. Dwóch niezgorszych chłopaków stara się o tę posadę

i mogą mnie wysadzić. Mam osiemdziesiąt dolarów na miesiąc, chałupę, drzewo opałowe i elektryczność. To nie mało w tych naszych starych górkach.

— Nikt pana stąd nie wysadzi — powiedziałem. — Będzie pan miał mnóstwo reklamy.

— Naprawdę? — spytał niezdecydowanie i znowu rujnował spluwaczkę.

— To znaczy, jeśli pańska jurysdykcja rozciąga się na Jeziorko Jelonków.

— Posiadłość Kingsleya. Oczywiście. Stało się tam coś nieprzyjemnego, synu ?

— Jest nieżywa kobieta w jeziorze.

To wstrząsnęło nim do głębi. Rozłożył ręce i podrapał się po uchu. Wstał na nogi chwytając się poręczy fotela i wykopując go spod siebie. Kiedy wstał, wyglądał na potężnego i silnego mężczyznę. Ten tłuszcz to była tylko jowialność.

— Ktoś, kogo znam ? — zapytał niepewnie.

— Muriel Chess. Sądzę, że ją pan zna. Żona Billa Chessa.

— Tak, znam Billa Chessa.

Jego głos stwardniał nieco.

— Wygląda na samobójstwo. Zostawiła kartkę, która brzmiała tak, jakby po prostu chciała opuścić męża. Ale równie dobrze mogła to być zapowiedź samobójstwa. Nie można powiedzieć, żeby ładnie wyglądała. Była w wodzie przez długi czas, około miesiąca, sądząc z okoliczności.

Podrapał się w drugie ucho.

— A jakie to okoliczności ? — Jego oczy badały teraz moją twarz, wolno i łagodnie, a jednak badały. Nie wyglądało na to, że mu się śpieszy.

— Miesiąc temu poróżnili się. Bill pojechał na północ i był tam parę godzin, gdy wrócił do domu, jej nie zastał. I już nigdy jej nie widział od tego czasu.

— No, tak. Kto ty jesteś, synu ?

— Nazywam się Marlowe. Przyjechałem z Los Angeles, żeby obejrzeć posiadłość. Miałem kartkę Kingsleya do Billa Chessa. Spacerowaliśmy przy jeziorze i doszliśmy do tego małego molo, które zbudowali filmowcy, nachyliliśmy się nad poręczą patrząc w wodę i coś podobnego do ręki pokazało się spod desek zatopionej przystani. Bill rzucił ciężki kamień i ciało wypłynęło na wierzch.

Patton patrzył na mnie i ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Niech pan słucha, szeryfie, czy nie byłoby lepiej, żebyśmy pojechali tam jak najprędzej ? Ten chłop jest na pół zwariowany od wstrząsu, a został sam.

— Dużo ma whisky ?

— Miał bardzo mało, gdy wyjeżdżałem. Przywiozłem ze sobą butelkę, ale większą jej część wykończyliśmy podczas rozmowy.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wyciągnął trzy czy cztery butelki i przejrzał je pod światło.

— Ta malutka jest prawie pełna — rzekł gładząc jedną z flaszek Mount Vernon. — Powinno go to podtrzymać. Okręg nie przyznaje mi forszy na alkohol służbowy, więc muszę tu i ówdzie coś podłapać. Sam nie piję. Nigdy nie mogłem zrozumieć ludzi, którzy się w ten sposób podkręcają.

Wsadził butelkę do lewej kieszeni spodni, zamknął biurko i otworzył barierkę. Za szkło drzwi zatkał kartkę. Spojrzałem na tę kartkę, gdy wychodziliśmy. Było na niej napisane: „Wróć za dwadzieścia minut — może”.

—Polecę teraz po doktora Hollisa — powiedział. —Zaraz wrócę i wezmę pana. To pana wóz ?

—Tak.

—To będzie pan mógł jechać za nami, kiedy wrócę.

Wsiadł do samochodu zaopatrzonego w syrenę, dwa czerwone światła, dwa reflektory przeciwmgłowe, malowaną na biało i czerwono platformę na sprzęt przeciwpożarowy, trzy siekiery, dwie ciężkie szpule liny, gaśnicę przy tylnym siedzeniu, zapasowe kanistry z benzyną, oliwą i wodą przy błotnikach, poza tym ekstra zapasową oponę, przywiązaną sznurkiem do zapasowej opony z tyłu wozu. Spod siedzeń wyłaziła całymi garściami wyciółka, a pół cała kurzu siedziało na resztkach lakieru karoserii.

W prawym dolnym rogu szyby ochronnej była biała kartka zadrukowana blokowymi wersalikami. Przeczytałem:

**WYBORCY UWAGA !**

**WYBIERZCIE PONOWNIE KONSTABLEM JIMA PATTONA !**

**ON JEST ZA STARY, ŻEBY PRACOWAĆ**

Zawrócił samochód i ruszył ulicą wzbijając tuman białego kurzu.

## Rozdział VIII

Zatrzymał się przed frontem białego drewnianego budynku przy drodze od stacji. Wszedł do środka i zaraz zjawiał się znowu z jakimś mężczyzną, który usiadł na tylnym siedzeniu przy siekierach i linie. Urzędowy wóz zakręcił, a ja pojechałem za nim. Pędziliśmy wzdłuż potoku damskich spodni, szortów, wiatrówek, zawiązanych pod brodami chusteczek, okrągłych kolan i szkarłatnych warg. Za wsią podjechaliśmy do piaszczystego wzgórza i zatrzymaliśmy się przed małym domkiem. Patton delikatnie poruszył syrenę, a jakiś mężczyzna w spłowiałym niebieskim kombinezonie otworzył.

—Wsiadaj, Andy. Pilna sprawa.

Mężczyzna w niebieskim kombinezonie niechętnie kiwnął głową i wszedł do chaty. Wrócił stamtąd w szarym kapeluszu łowcy lwów, usiadł za kierownicą na miejscu Pattona, a Patton przesunął się na bok. Miał około trzydziestu lat, był ciemny, gibki i miał nieco niedożywiony wygląd tubylca.

Jechaliśmy do Jeziora Jelonków, a ja łykałem po drodze tyle kurzu, że można by z niego zrobić z kilka piaskowych babek. Patton wysiadł po raz drugi, podszedł do samej wody i spojrzał w stronę małego molo. Bill Chess siedział nago na falochronie, ukrywając twarz w dłoniach. Coś leżało koło niego na wilgotnych deskach.

—Możemy jeszcze kawalek podjechać — powiedział Patton.

Dwa samochody podjechały na sam koniec jeziora i cała nasza czwórka zgromadziła się wokół Billa Chessa. Doktor zatrzymał się, gwałtownie zakaszłał w chusteczkę, a potem z namysłem się jej przyjrzał. Był to kanciasty mężczyzna o oczach jak pluskwy i smutnej, chorej twarzy.

To, cośmy widzieli, to była kobieta leżąca twarzą w dół na deskach. Pod ramionami miała linę. Obok niej leżało ubranie Billa. Bill wyciągnął przed siebie jedną nogę, sztywną, płaską i

wyszarpaną przy kolanie, drugą zgiął i opierał o nią czoło. Nie podniósł głowy ani nie ruszył się, gdy za nim stanęliśmy.

Patton wyjął butelkę Mount Vernon z kieszeni spodni, odśrubował zakrętkę i wyciągnął butelkę do Billa.

—Pociągnij sobie solidnie, Bill.

W powietrzu wisiał straszliwy, ogłuszający wprost smród. Wydawało się, że ani Bill Chess, ani Patton i doktor tego nie dostrzegają. Mężczyzna nazwany Andy wyciągnął szarobrazowy koc z wozu i zarzucił go na ciało. Potem bez słowa odszedł i zwymiotował pod sosną.

Bill Chess pociągnął potężny haust i siedział trzymając butelkę opartą o swe gołe zgięte kolano. Zaczął mówić suchym, drewnianym głosem nie patrząc na nikogo, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Opowiadał o kłótni i o tym, co się zdarzyło później, ale nie wspominał dlaczego to się zdarzyło. Nie wspominał o pani Kingsley, nawet w sposób najbardziej ogólnikowy. Powiedział, że jak go opuściłem, przyniósł sznur, rozebrał się, wszedł do wody i wydobył ciało. Przyciągnął je do brzegu, a potem wziął na plecy i przeniósł je na molo. Nie wie dlaczego. Potem znowu wskoczył do wody. Nie powiedział nam, dlaczego.

Patton włożył do ust kęs tytoniu i żuł go w milczeniu, jego łagodne oczy nie wyrażały nic. Potem zacisnął zęby i nachylił się, by podnieść koc z ciała. Przekreślił je ostrożnie, jakby mogło się rozlecieć. Późne popołudniowe słońce odbijało się w naszym jaskini z wielkich zielonych kamieni, które częściowo tkwiły w napuchniętej szyi. Były one niedbale oszlifowane i bez połysku, zupełnie jak steatyt lub sztuczny jaspis. Połączony łańcuszek z zatraskiem usiany małymi brylantami łączył oba końce. Patton wyprostował swe szerokie plecy i wysmarkał nos do brązowej chusteczki.

—Co mówisz, doktorze ?

—W związku z czym ? — mruknął człowiek o pluskwiatych oczach.

—Przyczyna i czas śmierci.

—Nie bądź durniem, Jimie Pattonie.

—Nic nie możesz powiedzieć ?

—Spojrzawszy tylko na to ? Wielki Boże !

Patton westchnął.

—Wygląda, że naprawdę się utopiła — oświadczył — ale nigdy nie można powiedzieć na pewno. Bywały wypadki, że kogoś zasztyletowano, otruto albo coś w tym rodzaju, a potem wrzucano do wody dla niepoznaki.

—Miałeś tu dużo takich wypadków ? — spytał doktor ironicznie.

—Jedyne prawdziwe morderstwo, jak Pan Bóg przykazał — powiedział Patton spoglądając na Billa kątem oka — to było wtedy, kiedy ktoś zabił starego Meachama na północnym brzegu. Meacham miał małą chatkę w Sheedy Canyon, gdzie przyjeżdżał na lato płukać złoto na starej działce. Późną jesienią nikt go nie widział przez dłuższy czas, potem przyszły wielkie śnieżyce i dach jego domu zarwał się w jednym miejscu. Pojechaliśmy, żeby to naprawić, wyobrażając sobie, że Meacham wyjechał na zimę nic nikomu nie mówiąc, jak to robią ci starzy poszukiwacze złota. Nie, do diabła, Meacham nigdzie nie wyjechał. Leżał w łóżku, a w jego głowie tkwiła siekiera. Nigdy nie wykryliśmy, kto to zrobił. Widać ktoś myślał, że Meacham miał mały woreczek złota z letniej płuczki.

Popatrzył w zamyśleniu na Andy'ego. Mężczyzna w kapeluszu łowcy lwów cmoknął ustami. Powiedział:

—Oczywiście, że wiemy, kto to zrobił. Zrobił to Guy Pope. Tylko, że Guy umarł na zapalenie płuc dziewięć dni przedtem, zanim znaleźliśmy Meachama.

—Jedenaście dni — poprawił Patton.

—Dziewięć — upierał się mężczyzna w kapeluszu łowcy lwów.

—To było sześć lat temu, Andy. Niech będzie po twojemu, synu. Jak sobie wyobrażasz, że Guy Pope to zrobił ?

—Razem ze złotym piaskiem w chacie Guya znaleźliśmy około trzech uncji złota w małych bryłkach. Na działce Guya nigdy nie było nic poza piaskiem. Natomiast Meacham często trafiał na bryłki.

—Prawda, tak to rzeczywiście było — zgodził się Patton i uśmiechnął się do mnie nieśmiało. — Człowiek zawsze czegoś zapomina, choćby nie wiem jak się starał wszystko pamiętać.

—Policyjna robota — powiedział Bill Chess z niesmakiem, wciągnął spodnie i usiadł, by założyć buty i koszulę. Gdy już je miał na sobie, wstał, sięgnął po butelkę, wychylił porządny łyk i położył ją ostrożnie na deskach. Gwałtownie wyciągnął swe owłosione przeguby w kierunku Pattona.

—Jeśli w ten sposób gadacie, zakładajcie mi kajdanki i koniec ! — krzyknął z furją.

Patton zignorował go, podszedł do bariery i spojrzał w wodę. f

—Śmieszne, że ciało było tutaj — zauważył. — Tu prawie nie ma prądu, ale nawet taki, jak jest, powinien je znieść na groble.

Bill Chess opuścił ręce i powiedział spokojnie:

—Ona zrobiła to sama, ty głupcze. Muriel była doskonałą pływaczką. Ona umyślnie nurkowała i dostała się pod deski, żeby się zadusić. Musiała w ten sposób to zrobić. Nie miała innej możliwości.

—Nie powiedziałbym tego, Bill — odparł Patton łagodnie. Jego oczy były bez wyrazu jak nowe guziki.

Andy potrząsnął głową. Patton spojrzał na niego z nieśmiałym uśmiechem.

—Znowu dumasz, Andy ?

—To było dziewięć dni, powiadam. Jeszcze raz obliczyłem — powiedział mrukiwie mężczyzna w kapeluszu łowcy lwów.

Doktor podniósł ręce do góry i odszedł trzymając się jedną dłonią za głowę. Znowu zakaszłał do chusteczki i znowu na nią popatrzył z baczną uwagą.

Patton mrugnął na mnie i splunął nad barierą.

—Podumajmy lepiej nad tą sprawą.

—Próbowałeś kiedy przesunąć nieboszczyka sześć stóp pod wodą?

—Nie. Nie powiem, żebym kiedyś próbował. Czy nie można było tego zrobić za pomocą liny ?

Andy wzruszył ramionami.

—Jeśli była użyta lina, to na ciele zostałyby ślady. Jeśli człowiek miałby się w ten sposób zdradzać, to po co się męczyć i w ogóle ukrywać nieboszczyka ?

—Żeby zyskać na czasie — powiedział Patton. — Taki facet musi pozłatwiać różne sprawy.



Bill Chess warknął na nich i sięgnął znowu po whisky. Patrząc na poważne twarze górali, nie mogłem się zorientować, co ci ludzie właściwie myślą.

Patton odezwał się z roztargnieniem.

—Ktoś mi mówił o jakimś liście.

Bill Chess pogrzebał w portfelu i wyciągnął kawałek złożonego papieru. Patton wziął go i przeczytał powoli.

—Nie widać tu żadnej daty — zauważył.

Bill Chess ponuro potrząsnął głową.

—Nie ma. Opuściła mnie miesiąc temu. Dwunastego czerwca.

—A przedtem też już raz cię opuszczała, prawda ?

—Tak — Bill Chess wpatrywał się w niego nieruchomo. — Upiłem się i zostałem na noc u jednego kociaka. To było tuż przed pierwszym śniegiem w grudniu zeszłego roku. Zniknęła na tydzień i wróciła jeszcze ładniejsza niż była. Powiedziała, że musiała wyjechać na pewien czas i że mieszkała u jednej dziewczyny, z którą kiedyś pracowała w Los Angeles.

—A jak się nazywała ta dziewczyna ? — spytał Patton.

—Nigdy mi nie mówiła i nigdy jej o to nie pytałem. Wszystko, co Muriel robiła, było dla mnie święte.

—Oczywiście. Ten list zostawiła wtedy, Bill ? — spytał Patton jakby nigdy nic.

—Nie.

—Ta kartka wygląda już na dość starą — powiedział Patton.

—Nosilem ją miesiąc — burknął Bill Chess. — Kto ci powiedział, że ona już ode mnie uciekła ?

—Zapomniałem — odparł Patton. — Wiesz, jak to jest w takiej małej osadzie. Ludzie prawie wszystko widzą. Tylko latem, kiedy tu się nazjeżdża dużo obcych, nie mogą zauważyć wszystkiego.

Nikt nic nie mówił przez chwilę, a potem Patton zapytał z roztargnieniem:

—Mówisz, że wyjechała dwunastego czerwca ? To znaczy, myślałeś, że wyjechała ? Mówiłeś, że sąsiedzi zza jeziora byli tu wtedy ?

Bill Chess popatrzył na mnie i jego twarz znowu pociemniała.

—Spytaj tego szpicla, jeśli ci już wszystkiego nie wykapował.

Patton nie spojrział na mnie w ogóle. Patrzył na łańcuch gór daleko za jeziorem. Powiedział uprzejmie:

—Pan Marlowe w ogóle nic mi nie mówił, Billu. Wspomniał tylko, jak ciało pokazało się pod wodą. I że myślałeś, że Muriel wyjechała. I że zostawiła kartkę, którą mu pokazałeś. Nie uważam, żeby w tym było coś niewłaściwego, co ?

Znowu zapadła cisza, a Bill Chess wpatrywał się w przykryte kocem ciało, leżące w odległości paru stóp od niego. Zacisnął dłonie i wielka łza spłynęła mu po policzku.

—Była tu pani Kingsley — rzekł — wyjechała tego samego dnia. W innych domach nie mieszka nikt. Państwo Perry i Farquar nie przyjeżdżali w tym roku.

Patton kiwnął głową i milczał. Rodzaj pełnej napięcia ciszy wisiał w powietrzu, jakby coś, co nie zostało wypowiedziane, było dla wszystkich tak oczywiste, że nawet nie trzeba wspominać.

Potem Bill Chess zawołał dziko:

—Wiążcie mnie, sukinsyny ! Pewnie, że to moja robota ! Utopiłem ją. Była moją żoną, a ja ją kochałem. Jestem łajdakiem, zawsze byłem łajdakiem i zawsze będę łajdakiem, a mimo to kochałem ją. Może wy tego nie potraficie zrozumieć. Nie kłopotcie się i nie próbujcie. Bierzcie mnie, niech was cholera !

Nikt nie powiedział ani słowa.

Bill Chess popatrzył na swą twardą brązową pięść. Zamachnął się nią ze wściekłością i z całej siły wyrzucił samego siebie w twarz.

—Ty, cholerny sukinsynu — zachrypiał.

Z nosa zaczęła mu się zwolna sączyć krew. Wstał, a krew spływała po wardze do kącika ust i stamtąd na podbródek. Jedna kropla leniwo kapnęła na koszulę.

Patton odezwał się spokojnie:

—Pewnie, że muszę cię wziąć na przesłuchanie, Bill. Wiesz o tym. Nie oskarżamy cię o nic, ale muszę tam z tobą pogadać.

Bill Chess spytał ponuro:

—Czy mogę zmienić ubranie ?

—Oczywiście. Idź z nim, Andy. I rozejrzyj się za czymś, w co byśmy mogli owinać ciało.

Poszli ścieżką nad brzegiem jeziora. Doktor chrząknął, spojrzał w wodę i westchnął.

—Nie chcesz przewieźć jej moim ambulansem, Jim ?

Patton potrząsnął głową.

—Nic z tego. Żyjemy w biednym okręgu, doktorze. Uważam, że ta pani może podróżować tańszymi środkami lokomocji niż twój ambulans.

Doktor odszedł od niego gniewnie, mówiąc przez ramię:

—Jak będziesz chciał, żebym jeszcze zapłacił za jej pogrzeb, to mi powiedz.

—Och, nie gadaj takich rzeczy — westchnął Patton.

## Rozdział IX

Indian Head Hotel mieści się w brązowym budynku narożnym naprzeciwko nowej sali tańca. Zaparkowałem samochód, umyłem ręce i twarz oraz wyczesłem szpilki sosnowe z włosów, zanim zszedłem do jadalni przylegającej do hallu. Było tu pełno mężczyzn w rozpiętych marynarkach, rozsiewających zapach alkoholu, i śmiejących się piskliwie kobiet ze szkarłatnymi paznokciami i brudnymi przegubami rąk. Właściciel tej knajpy, mizernie wyglądający facet w koszuli z krótkimi rękawami i wiszącym w kącie ust cygarem, kontrolował salę czujnymi oczami. Przy kasie jakiś mężczyzna o bardzo jasnych włosach usiłował złapać nowiny wojenne przez małe radio, które było tak pełne trzasków jak tutejsze pure z kartofli było pełne wody. W rogu sali góralska orkiestra, składająca się z pięciu osobników ubranych w źle skrojone marynarki i purpurowe koszule, czyniła wszelkie możliwe wysiłki, by ją usłyszano wśród hałasu sali i uśmiechała się blado we mgle dymu papierosowego oraz wrzawie pijackich głosów. W Puma Point lato, ta przemiła pora roku, kwitła w całej pełni.

Zamówiłem to, co oni nazywali regularnym obiadem, wypłem szklaneczkę brandy, by to przełknąć i strawić, i wyszedłem na główną ulicę. Było jeszcze światło dzienne, ale niektóre z

neonów już się zapaliły i wieczór zapadał w chaosie klaksonów samochodowych, dziecięcych wrzasków, brzęku naczyń i kieliszków. Małokalibrowki trzaskały wesoło na strzelnicach, automaty muzyczne grały jak zwariowane, a poza tym wszystkim rozbrzmiewał twardy, szcękający warkot ślizgaczy kręcących się w kółko po jeziorze i zachowujących się tak, jak gdyby się ściagały ze śmiercią.

W moim chryslerze siedziała chuda, poważnie wyglądająca dziewczyna, szatynka w ciemnych spodniach. Palila papierosa i rozmawiała z niezgrabnym wiejskim cowboyem, który przykucnął na błotniku. Obszedłem samochód i wsiadłem do środka. Cowboy uciekł podciągając spodnie. Dziewczyna nie ruszyła się.

— Jestem Birdie Keppel — powiedziała wesoło. — W dzień jestem kosmetyczką, a wieczorami pracuję w „Puma Point Banner”. Przepraszam, że ulokowałam się w pana samochodzie.

— Nie szkodzi. Chce pani tu siedzieć, czy też woli pani, żebym ją dokądś podwiózł ?

— Może pan przejedzie kawałek tam, gdzie będzie nieco spokojniej, panie Marlowe. O ile pan jest tak łaskaw i zechce ze mną pomówić.

— Macie tu świetny serwis informacyjny — powiedziałem i puściłem motor w ruch.

Przejechałem koło urzędu pocztowego na rogu, gdzie niebiesko-biała strzałka z napisem Telefon wskazywała na wąską drogę, prowadzącą do jeziora. Skręciłem tam, przejechałem koło urzędu telefonów, który mieścił się w chałupie z drewnianych pni. Przed chałupą był ogrodzony niską barierą trawnik. Minąłem drugi mały domek i zatrzymałem się przed olbrzymim dębem, którego gałęzie zwisały nad drogą i sięgały jeszcze jakieś dobre pięćdziesiąt stóp poza nią.

— Tu się pani podoba, panno Keppel ?

— Pani Keppel. Ale proszę mnie nazywać Birdie. Wszyscy mnie tak nazywają. To bardzo przyjemne. Bardzo się cieszę, że pana spotkałam, panie Marlowe. Słyszałam, że pan przybywa z Hollywood, tego miasta grzechu.

Wyciągnęła mocną brązową dłoń. Uścisnęliśmy sobie ręce. Wcieranie kremów w tłuste blondynki nadało jej dłoni chwyt żelaznych cęgów.

— Rozmawiałam z doktorem Hollisem — powiedziała — o tej biednej Muriel Chess. Sądziłam, że mógłby mi pan podać pewne szczegóły. O ile wiem, to pan znalazł ciało.

— Właściwie znalazł je Bill Chess, ja tylko stałem przy nim. Rozmawiała pani z Jimem Pattonem ?

— Jeszcze nie. Gdzieś wyjechał. Ponadto nie przypuszczam, żeby Jim mi dużo powiedział.

— On ma wybory przed sobą — rzekłem — a pani jest dziennikarką.

— Jim nie jest politykiem, panie Marlowe, a mnie trudno byłoby nazwać dziennikarką. Ta mała gazetka, jaką tu wydajemy, jest czysto amatorskim przedsięwzięciem.

— Dobrze, a co chciałaby pani wiedzieć ?

Poczęstowałem ją papierosem i podałem ogień.

— Chciałabym, żeby mi pan po prostu opowiedział całą historię.

— Przyjechałem tu z listem od Derace Kingsleya, żeby obejrzeć jego nieruchomość. Bili Chess mnie oprowadził, rozmawiał ze mną, opowiedział mi, że żona go opuściła i pokazał pozostawioną przez nią kartkę. Miałem ze sobą butelkę i wykończyliśmy ją. On trochę sobie podgazował. Whisky rozwiązała mu język, a poza tym był samotny i pragnął się wygadać. W ten sposób do tego doszło. Nie znałem go przedtem. Obchodząc jezioro podeszliśmy do

falochronu i Bill zauważył rękę wystającą spod desek w wodzie. Okazało się, że były to szczątki Muriel Chess. To chyba wszystko.

—Dowiedziałam się od doktora Hollisa, że ona leżała w wodzie przez długi czas. W stanie kompletnego rozkładu i w ogóle.

—Tak. Prawdopodobnie cały miesiąc, to znaczy od chwili, kiedy on myślał, że wyjechała. Z pozostawionej przez nią kartki wynika, że miała zamiar popełnić samobójstwo.

—Czy nie ma żadnych wątpliwości, panie Marlowe ?

Spojrzałem na nią z ukosa. Myślące ciemne oczy wpatrywały się we mnie spod roztrzepanych włosów. Zmierzch zaczął teraz zapadać, bardzo powoli. Na razie sygnalizowała to tylko zmiana w natężeniu światła.

—Zdaje mi się, że policja zawsze ma wątpliwości w takich wypadkach.

—A pan osobiście ?

—Moja opinia nie ma znaczenia.

—A jednak chciałabym ją poznać.

—Spotkałem Billa Chessa dziś po południu. Zrobił na mnie wrażenie narwanego faceta, a jak wynika z jego własnych słów, nie jest on bynajmniej święty. Ale wygląda na to, że kochał się w swojej żonie. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby siedział tam przez miesiąc, wiedząc, że ona gnije w wodzie pod falochronem. Wychodząc z domu na światło słoneczne i patrząc na tę błękitną wodę i widząc w duszy, co się w niej kryje i co się z tym dzieje. I pamiętając, że to on to sprawił.

—Ja również w to nie wierzę — powiedziała Birdi Keppel miękko. — Nikt nie wierzy. A jednak wiemy, że takie rzeczy się zdarzały i będą nadal się zdarzały. Pan pracuje w handlu nieruchomościami, panie Marlowe ?

—Nie.

—A czym się pan zajmuje, jeśli mogę spytać ?

—Wolałbym nie mówić.

—To jest prawie wyznanie — powiedziała ona. — Poza tym doktor Hollis słyszał, jak pan podawał Jimowi Pattonowi swoje imię i nazwisko. Mamy u nas w biurze księgę adresową Los Angeles. Nie wspomniałam o tym nikomu.

—To ładnie z pani strony.

—A co więcej, nie powiem nikomu, jeśli pan to sobie zastrzeże.

—Co to będzie mnie kosztowało ?

—Nic. Nic w ogóle. Nie mam pretensji, żeby być pierwszorzędną dziennikarką. Ponadto nie wydrukowalibyśmy czegoś, co mogłoby przysporzyć kłopotu Jimowi Pattonowi. Jim jest naszą chlubą. Sądzę, że to trochę wyjaśnia całą sprawę ?

—Proszę nie wyciągać żadnych fałszywych wniosków — oświadczyłem. — Nie byłem wcale zainteresowany Billem Chessem.

—Ani Muriel Chess ?

—Dlaczego miałbym się interesować Muriel Chess ?

Starannie zgasła papierosa w popielniczce.

—Niech i tak będzie — rzekła. — Ale jest tu jeden malutki punkt, o którym pan na pewno chętnie pomyśli, jeśli pan już o nim nie wie. Jakies sześć tygodni temu przyjechał tu policjant z Los Angeles, nazwiskiem De Soto, taki typowy gbur o bardzo złych manierach. Nie podobał się nam i niewielką miał z nas korzyść. To znaczy, przynajmniej jeśli chodzi o naszą trójkę z

redakcji Bannera. Pokazywał fotografię i mówił, że szuka kobiety nazwiskiem Mildred Haviland. W sprawach policyjnych. Było to zwykle powiększone zdjęcie amatorskie, a nie fotografia policyjna. Mówił, że ma informację, iż ta kobieta przebywa w naszej okolicy. Fotografia bardzo przypominała Muriel Chess. Wprawdzie włosy wyglądały na rudawe i uczesane były w inny sposób, niż Muriel tutaj nosiła, zaś brwi wyskubano w wążutkie łuki, a to bardzo zmienia kobietę. Ale tamta kobieta była bardzo podobna do żony Billa Chessa.

Bębniłem palcami po drzwiach samochodu i po chwili spytałem:

—I co mu powiedzieliście ?

—Nic mu nie powiedzieliśmy. Po pierwsze, nie mieliśmy pewności. Po drugie, nie podobały nam się jego maniery. Po trzecie, nawet gdybyśmy byli pewni i gdyby on się nam podobał, na pewno nie napuścilibyśmy go na nią. Bo niby z jakiej racji ? Każdy ma coś na sumieniu, czego musi żałować. Weźmy mnie. Byłam kiedyś żoną ... profesora języków klasycznych na uniwersytecie w Redlands.

Roześmiała się lekko.

—Ale mogłaby pani zyskać materiał do artykułu — zauważyłem.

—Pewnie. Ale my tutaj przede wszystkim jesteśmy ludźmi.

—A czy ten De Soto widział się z Jimem Pattonem ?

—Na pewno. Ale Jim nie wspominał o tym.

—A czy on pokazywał wam swoją legitymację ?

Pomyślała i potrząsnęła głową.

—Nie przypominam sobie — powiedziała. — Nie mieliśmy wątpliwości sądząc z tego, co mówił. Z całą pewnością zachowywał się jak taki cham z miejskiej policji.

—Dla mnie to nie stanowi dowodu, że był rzeczywiście policjantem. Czy ktoś mówił Muriel o tym facecie ?

Zawahała się, przez długą chwilę patrzyła spokojnie przez szybę, zanim odwróciła głowę i potaknęła.

—Ja to zrobiłam. To nie był mój interes, prawda ?

—A co ona na to ?

—Nie odezwała się. Roześmiała się tylko z pewnym zakłopotaniem, jakbym powiedziała kiepski żart. Potem odeszła. Ale miałam wrażenie, że przez chwilę pojawił się jakiś dziwny wyraz w jej oczach. Czy nie jest pan nadal zainteresowany panią Muriel Chess, panie Marlowe ?

—Dlaczego miałbym się nią interesować ? Nigdy o niej nie słyszałem, póki nie przybyłem tutaj dziś po południu. Pod słowem. I nigdy nie słyszałem o żadnej kobiecie nazwiskiem Mildred Haviland. Odwieźć panią do miasta ?

—Och, nie, dziękuję. Przejdę się. To tylko parę kroków. Jestem panu bardzo zobowiązana. I jednak mam pewną nadzieję, że to wszystko nie skupi się na Billu. To bardzo brzydka sprawa.

Wysiadła z wozu, przez chwilę stała na jednej nodze, potem potrząsnęła głową i roześmiała się.

—Mówią, że jestem dość dobrą kosmetyczką. Mam nadzieję, że to prawda. Ale jako reporterka jestem okropna. Dobranoc !

Powiedziałem dobranoc, a ona odeszła w zmierzch. Siedziałem czekając, póki nie dotarła do głównej ulicy i nie zniknęła mi z oczu. Potem wysiadłem z samochodu i poszedłem do małego wiejskiego budynku, w którym mieścił się urząd telefoniczny.

## Rozdział X

Oswojona łania ze skórzaną obrozą na szyi spacerowała po ulicy. Poklepałem ją po obrośniętym twardymi włosami karku i wszedłem do biura. Niska dziewczyna w spodniach siedziała przy małym biurku pochylona nad książkami. Powiedziała, ile kosztuje połączenie z Beverly Hills, i rozmięła mi pieniądze do automatu. Kabina mieściła się na zewnątrz, przy frontowej ścianie budynku.

— Sądzę, że panu podoba się nasza okolica — powiedziała dziewczyna. — Tu jest bardzo spokojnie, można doskonale odpocząć.

Zamknąłem się w kabinie. Za dziewięćdziesiąt centów miałem prawo rozmawiać z Derace Kingsleyem przez pięć minut. Był w domu i połączenie otrzymałem bardzo szybko, ale na linii było pełno zakłóceń.

— Znalazł pan coś ? — zapytał mnie sznapsbarytonem o sile trzech coctailów. Jego głos znów brzmiał twardo i władczo.

— Znalazłem aż za dużo — powiedziałem. — Ale zupełnie nie to, czego szukaliśmy. Czy pan jest sam ?

— A co za różnica ?

— Dla mnie to nie robi różnicy. Ale ja wiem, co mam powiedzieć. Pan nie wie.

— No dobra, mów pan, co by nie było.

— Miałem długą rozmowę z Billem Chessem. Był sam. Żona uciekła od niego miesiąc temu. Pokłócili się, a on pojechał na ochłaj. Gdy wrócił, nie zastał jej w domu. Zostawiła kartkę, że woli śmierć, niż żyć z nim dłużej.

— O ile wiem, Bill za dużo pije — dał się słyszeć głos Kingsleya z wielkiej dali.

— Kiedy wrócił, obu kobiet już nie było. Nie ma pojęcia dokąd pojechała pani Kingsley. Lavery wpadł tu w maju, ale od tej pory się nie pojawił. Lavery sam się do tego przyznał. Oczywiście mógł tu przyjechać jeszcze raz, kiedy Bill siedział w knajpie, ale na ogół nic na to nie wskazuje. Musieliby oboje jechać dwoma samochodami. Myślałem, że pana żona i

Muriel Chess uciekły razem, tylko że Muriel również miała własny wóz. Ale ten pomysł, aczkolwiek mało wart, musiałem natychmiast porzucić w wyniku dalszych wydarzeń. Muriel Chess w ogóle nie uciekła daleko. Uciekła tylko do pańskiego prywatnego jeziora. Dziś zjawiała się znowu. Byłem przy tym.

— Boże ! — Wyglądało na to, że Kingsley naprawdę się przestraszył. — Pan chce powiedzieć, że ona się utopiła ?

— Może być. Tę kartkę, którą zostawiła, można by uważać za zapowiedź samobójstwa. Można ją zrozumieć w ten jak i inny sposób. Zwłoki leżały pod tą starą przystanią koło falochronu. To Bill zauważył poruszającą się rękę, kiedy staliśmy na moło patrząc w wodę. On ją wyciągnął. Aresztowali go. Biedny chłopak jest całkiem załamany.

—Boże ! — zawołał znowu Kingsley. — Wyobrażam sobie. Czy nie wygląda na to, jakby on ...

Przerwał, bo telefonistka włączyła się i zażądała dalszych czterdziestu pięciu centów dopłaty. Włożyłem dwie monety ćwierćdolarowe i rozmowa trwała dalej.

— Wygląda, jakby on co ?

Niespodziewanie wyraźny głos Kingsleya oświadczył:

— Wygląda, jakby on ją zamordował.

Powiedziałem:

— Nawet bardzo. Jimowi Pattonowi który jest tutaj konstabłem, bardzo nie podoba się, że na kartce nie ma daty. Zdaje się, że ona już przedtem uciekała od Billa z powodu jakiejś kobiety. Patton jakby podejrzewał Billa, że schował tę starą kartkę. W każdym razie Billa wzięli do San Bernardino na przesłuchanie, a ciało na sekcję.

— A pan co myśli ? — zapytał z wolna.

— No cóż, Bill sam znalazł ciało. Nie potrzebował przecież prowadzić mnie na ten falochron. Ona mogła leżeć tam bardzo długo, a nawet na zawsze. Kartka może być podniszczona, ponieważ Bill nosił ją w portfelu, a od czasu do czasu ją wyciągał i medytował nad nią. Mogłaby nie mieć daty zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem. Powiedziałbym, że tego rodzaju kartki częściej nie są datowane. Ludzie, którzy je piszą, śpieszą się i nie obchodzą ich daty.

— Ciało musi być chyba w daleko posuniętym rozkładzie ? Czy coś dotychczas wykryli ?

— Nie wiem, jak dobrze są wykwiłowani. Sądzę, że mogą wykryć, jeśli zmarła wskutek utopienia się. I czy są jakieś znaki, które wskazują na użycie siły, a nie zostały spowodowane przez wodę i rozkład. Mogą powiedzieć, gdyby została zastrzelona albo zasztyletowana. Gdyby miała przerwana tętnicę, można by przypuszczać, że została uduszona. Dla nas jest najważniejsze, że będę musiał powiedzieć, po co tu przyjechałem. Będę świadkiem w śledztwie.

— To źle — warknął Kingsley. — Bardzo źle. Co pan teraz planuje ?

— Po drodze do domu wpadnę do hotelu Prescott i zobaczę, czy mi tam nie uda się czegoś dowiedzieć. Czy pana żona i Muriel Chess były ze sobą zaprzyjaźnione ?

— Sądzę że tak. Crystal musiała jakoś zabijać czas. Prawie nie znam Muriel Chess.

— Czy pan zna kobietę o nazwisku Mildred Haviland ?

— Co ?

Powtórzyłem mu nazwisko.

— Nie — odparł. — Czy są jakieś powody, że ją powinienem znać ?

— Na każde pytanie, które panu zadaje, odpowiada pan drugim pytaniem — powiedziałem. — Nie. Nie ma żadnych powodów, dla których by pan miał znać Mildred Haviland. Szczególnie jeśli pan mało znał Muriel Chess. Zadzwoń do pana jutro rano.

— Dobrze — powiedział i zawahał się. — Przykro mi, że trafił pan w taką kaszę — dodał, a potem jakby zawahał się znowu, powiedział dobranoc i odłożył słuchawkę.

Natychmiast odezwał się dzwonek i telefonistka międzymiastowa krzyknęła na mnie ostro, że włożyłem o pięć centów za dużo. Powiedziałem jej, co bym najchętniej włożył do takiego automatu. To jej się wcale nie podobało.

Wyszedłem z kabiny i wciągnąłem w płuca trochę powietrza. Oswojona łania stanęła w furtce. Próbowałem ją odepchnąć z drogi, ale ona napierała na mnie i nie chciała odejść. Więc przelazłem przez płot, podszedłem do chryslera i pojechałem znowu do wsi.

W sztabie Pattona paliło się światło, ale barak był pusty, a kartka „Wróć za dwadzieścia minut” tkwiła nadal za szybą drzwi. Spacerowałem od przystani do opuszczonej plaży. Kilka motorówek i ślizgaczy wyglądowało się jeszcze na jedwabistej wodzie. Po drugiej stronie jeziora maleńkie żółte światełka zaczęły pokazywać się w zabawkowych chałupkach na miniaturowych stokach. Pojedyncza jasna gwiazda błyszczała nisko na północnym wschodzie nad łańcuchem gór. Jakiś ptak siedział na samym czubku wysokiej na sto stóp sosny i czekał, aż będzie dość ciemno, by zaśpiewać piosenkę na dobranoc.

Po małej chwili stało się dość ciemno. Ptak zaśpiewał i wzleciał w niewidoczne głębiny niebios. Cisnąłem papierosa w nieruchomą wodę. Wróciłem do samochodu i wyruszyłem w kierunku Jeziora Jelonków.

## Rozdział XI

Brama na prywatnej drodze była zamknięta na kłódkę. Umieściłem chryslera między dwoma pniami sosen, przelazłem przez bramę i poszedłem na piechotę wzdłuż drogi, póki tuż u moich stóp nie rozbrzysnęło jezioro. W chacie Billa Chessa było ciemno. Trzy domki po drugiej stronie jeziora odcinały się czarnymi cieniami od białych granitowych usypisk. Woda połyskiwała białą barwą w tym miejscu, gdzie przeciekała przez wierzch grobli i spadała bezdźwięcznie po zewnętrznym stoku do znajdującego się poniżej strumienia. Nastawiłem uszu, lecz nie słyszałem żadnego dźwięku.

Frontowe drzwi chałupki Chessa były zamknięte. Poszedłem do tylnego wyjścia i znalazłem przy nim olbrzymią kłódkę. Obszedłem ściany próbując siatki okien. Wszystkie były umocowane. Jedno okno umieszczone wyżej nie miało siatki. Było to małe podwójne okno pośrodku północnej ściany. Stałem bez ruchu i jeszcze trochę posłuchałem. Wiatr szumiał i sosny stały tak cicho jak ich cienie.

Wsadziłem klingę noża między dwie połówki małego okna. Nic z tego. Zasuwka nie chciała odskoczyć. Oparłem się o ścianę i myślałem, a potem podniosłem duży kamień i trzasnąłem nim w to miejsce, gdzie ramy się stykają. Zasuwka odskoczyła od suchego drzewa z rozdzierającym trzaskiem. Okno z rozmachem otworzyło się w ciemność. Wspiąłem się na futrynę, przerzuciłem przez nią zgiętą nogę i przecisnąłem się przez otwór. Przełożyłem drugą nogę i zeskoczyłem do wnętrza. Odwróciłem się sapiąc trochę z wysiłku, wcale niemałego jak na tę wysokość nad poziomem morza, i słuchałem znowu.

Przeraźliwie jasna smuga światła kieszonkowej latarki uderzyła mnie prosto w oczy.

Bardzo spokojny głos powiedział: — Nie ruszaj się z miejsca, synu. Musisz być bardzo zmęczony.

Błysk światła przykleił mnie do ściany jak rozgniecioną muchę. Potem lekko trzasnął kontakt i zapłonęła stojąca na stole lampa. Kieszonkowa latarka zgasła. Jim Patton siedział w starym brązowym fotelu obok stołu. Postrzępiony brązowy szalik zwisał z jednego końca i dotykał jego grubego kolana. Patton był tak samo ubrany jak po południu, lecz włożył jeszcze



skórzaną kurtkę, która musiała być nowa gdzieś przed tamtą wojną światową. W rękę miał tylko latarkę. W oczach nie miał nic. Jego szczęki poruszały się w subtelnym rytmie.

— Co ci przychodzi do głowy, synu — poza włamywaniem się do cudzych mieszkań ?

Przysunąłem sobie krzesło, oparłem się o nie i rzuciłem okiem na chatę.

— Miałem pewien pomysł — odpowiedziałem. — Przez pewien czas wydawał mi się doskonały, ale sądzę, że mogę o nim zapomnieć.

Chata była większa, niż wydawała mi się na zewnątrz. Część jej zajmowała izba mieszkalna. Mieściło się tu kilka skromnych mebli, stary dywan na podłodze z sosnowych desek, mały okrągły stół przy ścianie i dwa przystawione do niego krzesła. Przez otwarte drzwi widać było róg komina kuchni.

Patton pokiwał głową, a jego oczy badały mnie bez gniewu.

— Słyszałem nadjeżdżający wóz. Wiedziałem, że musi tu przyjechać. Bardzo ładnie chodzisz, synu, nie słyszałem wcale, jak szedłeś. Byłem ciebie bardzo ciekaw, synu.

Nie powiedziałem nic.

— Chyba się nie gniewasz, iż nazywam cię synem — powiedział — nie powinienem być taki familiarny, ale tak się przyzwyczaiłem i już nie mogę się tego pozbyć. Każdy, kto nie ma długiej białej brody i artretyzmu, jest dla mnie synem.

Powiedziałem, że może mnie nazywać, jak sobie chce. Nie jestem obraźliwy.

Uśmiechnął się.

— Jest bardzo dużo detektywów w książce telefonicznej Los Angeles — stwierdził. — Ale tylko jeden z nich nazywa się Marlowe.

— A dlaczego pan zajrzał ?

— Może nazwiesz to prowincjonalną ciekawością. Wziąłem oczywiście pod uwagę, co Bill Chess powiedział, że jesteś jakiegoś rodzaju tajniakiem. Nie potrudziłeś się, żeby mi to sam powiedzieć.

— Miałem to później zrobić. Przykro mi, jeśli to pana dotknęło.

— Wcale mnie nie dotknęło. Mnie nic łatwo nie dotyka. Masz z sobą jakieś dowody ?

Wyjąłem portfel i pokazałem mu to i owo.

— Pięknie. Masz dobrą budowę do tej roboty — powiedział zadowolony — a na twojej twarzy nic nie można wyczytać. Sądzę, że miałeś zamiar przeszukać chałupę.

— Tak.

— Właśnie kręciłem się tutaj i dumałem. Zaraz wróciłem tutaj. To znaczy wpadłem na chwilę do mojej budy, a potem wróciłem. Nie zdaje mi się, żebym mógł ci pozwolić na zrobienie tu rewizji. — Podrapał się po uchu. — To znaczy, diabli wiedzą, czy mogę ci pozwolić, czy nie. Mówiłeś, że kto cię wynajął ?

— Derace Kingsley. Żeby odnaleźć jego żonę. Wyjechała stąd. Więc i ja stąd zaczynam. Są przypuszczenia, że wyjechała z pewnym mężczyzną. Ów mężczyzna temu przeczy. Myślałem, że znajdę tu coś, co mnie naprowadzi na ślad.

— No i coś znalazłeś ?

— Nie. Trop prowadzi do San Bernardino, a potem do El Paso. I tu się urywa. No, ale dopiero zacząłem.

Patton wstał i otworzył drzwi izby. Żywczyzny zapach sosen wtargnął do wnętrza. Splunął na dwór, usiadł znowu i przyglądał swe płowe włosy. Jego głowa bez kapelusza wyglądała jakoś dziwnie, jak to zawsze bywa z głowami, które rzadko są odkryte.

—Nie interesujesz się w ogóle Billem Chessem ?

—Absolutnie nie.

—Zdaje się, że wy, prywatni, załatwiacie mnóstwo spraw rozwodowych. To dość brudna robota, moim zdaniem.

Nie odpowiedziałem nic.

—Kingsley mógł się zwrócić do policji, żeby znalazła jego żonę, prawda ?

—Wątpliwe. On ją za dobrze zna.

—Nic z tego, co powiedziałeś, nie tłumaczy faktu, że chciałeś przeszukać mieszkanie Billa Chessa — rzekł tonem twierdzenia.

—Ja czasem tak lubię sobie poszperać.

—To nie jest żadne wytłumaczenie.

—Powiedzmy więc, że jestem zainteresowany Billem Chessem. Ale tylko dlatego, że on znalazł się w nieszczęściu w takiej dość dramatycznej sprawie — mimo że poza tym jest z niego kawał łobuza. Jeśli zamordował swoją żonę, tu można by znaleźć jakieś dowody. Jeśli nie zamordował, to też można znaleźć dowody.

Pochylił głowę na bok jak czujny ptak. — Na przykład co ?

—Ubrania, biżuterię, przybory toaletowe, wszystko, cokolwiek kobieta zabiera z sobą, gdy nie ma zamiaru wrócić.

Patton troszeczkę cofnął się do tyłu.

—Ale ona nie odjechała, synu.

—W takim razie te rzeczy powinny tu zostać. Ale gdyby zostały, Bill by zauważył, że ona ich nie zabrała. Wiedziałyby, że nie mogła wyjechać bez niczego.

—Do diabła, nie podoba mi się żadna z tych możliwości — oświadczył.

—Ale jeśli ją zamordował — ciągnąłem dalej — wtedy musiałyby się pozbyć tych rzeczy.

—A jak sobie wyobrażasz, żeby to zrobił ? — spytał Patton. W żółtym świetle lampy jedna połowa jego twarzy wydawała się brązowa.

—Słyszałem, że ona miała swego własnego forda. Sądzę, że wszystko spalił, co mógł spalić, a zakopał w lesie to, czego się nie dało spalić. Topienie w jeziorze mogłoby być niebezpieczne. Jednakże nie mógł spalić ani zakopać jej samochodu. Czy on mógł prowadzić ten samochód ?

Patton zdziwił się:

—Jasne, Bill nie może zginać w kolanie prawej nogi, więc nie potrafiłby łatwo używać hamulca nożnego, ale może hamować ręcznym. Cała różnica w samochodzie Billa polega na tym, że pedał hamulcowy jest po lewej tuż koło sprzęgła, tak, że może je naciskać tą samą nogą.

Wytrząsnąłem popiół papierosa do małego słoika, który wedle przyklejonej na nim złotej etykiety zawierał niegdyś funt miodu pomarańczowego.

—Pozbycie się wozu stanowiłoby dlań najpoważniejszy problem — powiedziałem. — Dokądkolwiek by pojechał, musiał wrócić, a wolałby raczej, żeby nikt nie widział, iż wraca. Gdyby po prostu zostawił wóz na szosie, powiedzmy koło San Bernardino, znaleziono by go i zidentyfikowano bardzo szybko. Tego na pewno chciał uniknąć. Najlepszym wyjściem byłoby opylić wóz paserowi, ale prawdopodobnie Bill nie miał znajomych paserów. Tak więc zostało mu tylko jedno wyjście — ukryć samochód w lesie w takiej odległości, żeby mógł sam wrócić na piechotę. To znaczy niezbyt daleko.

—Jak na człowieka, który twierdzi, że nie jest zainteresowany sprawą, przeprowadziłeś całkiem piękną kalkulację — oświadczył Patton sucho. — No i powiedzmy, teraz znalazłeś samochód ukryty w lesie. Co wtedy ?

—On musiał rozważyć możliwość, że samochód zostanie odnaleziony. Lasy są puste, ale gajowi i drwale włączają się po nich od czasu do czasu. Gdyby natrafiono na wóz, byłoby lepiej, żeby w nim znajdowały się również rzeczy Muriel. To dałoby mu dwa wyjścia — oba nienadzwyczajne, ale przynajmniej prawdopodobne. Jedno, że została zamordowana przez jakiegoś osobnika, który urządził wszystko w ten sposób, by zaplątać Billa, gdyby morderstwo wykryto. Drugie — że Muriel popełniła samobójstwo, ale urządziła wszystko w ten sposób, by Billa obciążyć. Samobójstwo z zemsty.

Patton przemyślał sobie to wszystko spokojnie i ostrożnie. Podszedł do drzwi splunął znowu. Usiadł i znowu przyglądał sobie włosy. Spojrzał na mnie sceptycznie.

—Pierwsze jest możliwe, tak jak powiedziałeś — przyznał. — Tylko że nie wiem, kto by mógł załatwić tę robotę. Należy jeszcze przemyśleć tę małą sprawę kartki.

Potrząsnąłem głową. — Powiedzmy, że Bill miał tę kartkę z poprzedniego razu. Powiedzmy, że jego żona, jak myślał, odjechała nie zostawiając kartki. Gdy minął miesiąc bez żadnej wiadomości, Bill martwił się i niepokoił w wystarczającym stopniu, żeby pokazać mi tę kartkę, czując że to może być dla niego jakaś osłona na wypadek, gdyby się jego żonie coś przytrafiło. Nic w tym rodzaju nie mówił, ale mógł tak sobie pomyśleć.

Patton potrząsnął głową. Nie podobało mu się to. Mnie również nie. Powiedział z wolna:

—A co do twojego drugiego przypuszczenia, to jest ono zupełnie pomyłone. Zabijać się samemu i organizować to w ten sposób, żeby kogoś oskarżono o morderstwo — to nie mieści się w ogóle w moich prostych zapatrywaniach na ludzką naturę.

—W takim razie pańskie zapatrywania na ludzką naturę są zbyt proste — odparłem. — Ponieważ takie rzeczy się zdarzały, zawsze popełniały je kobiety...

—Nigdy — zawołał. — Mam pięćdziesiąt siedem lat i widziałem całą kupę pomyłonych ludzi, ale za ten pomysł nie dałbym złamanego patyka. Przypuszczałbym raczej, że ona miała zamiar uciec i napisała kartkę, ale on ją złapał przedtem, rozwścieczył się i wykończył ją. Potem musiał zrobić to wszystko, o czym mówiliśmy.

—Nigdy jej nie widziałem na oczy — rzekłem. — Dlatego też nie mogę powiedzieć, na co ją było stać. Bill mówił mi, że poznał ją w jakiejś restauracji w Riverside jakiś rok temu. Mogła mieć przedtem długie i skomplikowane życie. Co to była za kobieta ?

—Bardzo ładna dziewczyna, kiedy się trochę podszykowała. Trzymała Billa mocno. Spokojna dziewczyna i widać było, że potrafi zachować swoje sekrety. Bill mówi, że miała temperament, ale nigdy nie widziałem u niej żadnych śladów tego. Natomiast on sam miał aż za dużo temperamentu.

—Myśli pan, że ona była podobna do tej fotografii kobiety nazywanej Mildred Haviland ?

Jego szczęki przestały się poruszać, a wargi zacisnęły się. Bardzo powoli zaczął żuć znowu.

—Do licha — powiedział. — Zanim się dzisiaj położę spać, będę musiał zajrzeć pod łóżko, żeby się upewnić, że ciebie tam nie ma. Skąd masz tę wiadomość ?

—Powiedziała mi to taka przyjemna kobietka nazwiskiem Birdie Keppel. Robiła ze mną wywiad w związku ze swoją dodatkową posadą w charakterze dziennikarki. Wspomniała mi

przypadkowo, że jakiś policjant z Los Angeles podający się za De Soto pokazywał wszystkim tę fotografię.

Patton potarł swe tłuste kolano i zwiesił ramiona. .

—Popelnilem wtedy błąd — oświadczył rzeczowo. — Nie miałem racji. Tamten policjant pokazał tę fotografię prawie wszystkim w mieście, zanim pokazał ją mnie. To jakby mnie dotknęło. Tamta dziewczyna wydawała się trochę podobna do Muriel, ale nie w tym stopniu, żeby mieć pewność bez żadnych wątpliwości. Spytałem go, po co mu to potrzebne. Powiedział, że to sprawy policyjne. Odparłem, że ja sam pracuję w tych sprawach na swój ignorancki, prowincjonalny sposób. On na to, że ma instrukcję, by ustalić miejsce pobytu tej pani i nic więcej nie wie. On chyba postąpił niewłaściwie zrywając mnie byle czym. tak więc i ja postąpiłem niewłaściwie powiedziawszy mu, że nie znam nikogo, kto byłby podobny do tej fotografii.

Potężny, łagodny mężczyzna uśmiechnął się niepewnie pod wąsem, a potem spojrzał na mnie twardym wzrokiem.

—Będę panu wdzięczny za zachowanie dyskrecji w tej sprawie, panie Marlowe. Pańskie rozumowanie było zresztą słuszne. Zna pan Jezioro Szopów ?

—Nigdy o nim nie słyszałem.

—Okolo mili stąd — powiedział pokazując kciukiem za siebie — jest mała leśna droga skręcająca na zachód. Można nawet po niej jechać i nie rozbijać się o drzewa. Wznosi się o jakieś pięćset stóp na przestrzeni mili i wychodzi na Jezioro Szopów. Bardzo ładna okolica. Ludzie przyjeżdżają tam na pikniki od czasu do czasu, ale nie często. Jazda tamtędy szkodzi bardzo na opony. Jest tam kilka małych płytkich jeziorzek pełnych wodorostów. W ocienionych miejscach leży śnieg, nawet w lecie. Stoi parę starych, zbudowanych z pni chałup, które się rozlatują od czasu, jak mogę zapamiętać, i jest tam duży podniszczony barak, którego kiedyś uniwersytet Montclair używał na obóz letni, jakieś dziesięć lat temu. Nie używali go od długiego czasu. Ten budynek znajduje się w gęstych zaroślach w pewnym oddaleniu od jeziora. Zaraz za nim stoi stara pralnia ze starym zardzewiałym kotłem, a przy niej jest wielka szopa na drzewo z rozsuwanymi drzwiami. Zbudowano ją na garaż, ale trzymali w niej drzewo i zamykali ją, kiedy sezon się skończył. Drzewo jest ostatnią rzeczą, jaką tutejsi ludzie chcieliby kraść, ale kto może ukraść drzewo z sągu, nie będzie wyłamywał zamka, żeby je kraść z szopy. Sądzę, że wiesz, co znalazłem w tej szopie ?

—Myślałem, że pan pojechał do San Bernardino.

—Zmieniłem zamiar. Nie wydawało mi się słuszne, żeby Bill jechał tam z ciałem swojej żony na tylnym siedzeniu samochodu. A więc posłałem ją ambulansem doktora a Andy pojechał razem z Billem. Pomyślałem sobie, że dobrze będzie rozejrzeć się trochę, zanim przedstawię sprawę szeryfowi i koronerowi.

—W szopie był samochód Muriel ?

—Tak. A w samochodzie dwie zamknięte walizki z ubraniami. Załadowane, jak mi się zdawało, w pośpiechu. Najważniejsze w tym wszystkim jest, że żaden obcy nie wiedziałby o tym miejscu.

Zgodziłem się z nim. Włożył rękę do ukośnej kieszeni kurtki i wyciągnął stamtąd małą kulkę zgniecionej bibułki, rozwinął ją na dłoni i pokazał.

—Spójrz na to.

Podszedłem i spojrzałem. Na bibułce leżał cienki złoty łańcuszek z maleńkim zameczkiem, niewiele większym niż ogniwo łańcuszka. Jedno ogniwo było rozerwane, a zameczek zepsuty. Łańcuszek miał jakieś siedem cali długości. Na łańcuszku i bibułce kleił się jakiś biały puder.

— Jak myślisz, gdzie to znalazłem ? — spytał Patton.

Wziąłem łańcuszek i spróbowałem połączyć zerwane końce. Nie pasowały. Nie powiedziałem nic, ale pośliniłem palec, dotknąłem nim pudru i spróbowałem.

— To było w puszcze albo w słoiku ze sproszkowanym cukrem — odparłem. — To jest łańcuszek od medalionu. Niektóre kobiety nie zdejmują tego nigdy, podobnie jak obrączki ślubnej. Ten, kto go zdejmował, nie miał kluczyka.

— No i co stąd wnioskujesz ?

— Niewiele — powiedziałem. — Nie ma żadnego sensu w tym, że Bill zerwał ten medalion Muriel, a zostawił jej na szyi zielony naszyjnik. Nie ma powodu, by Muriel rozerwała łańcuszek sama — zakładając, że zgubiła kluczyk — i schowała, żeby go nikt nie znalazł. Nikt by tu nie robił rewizji, póki nie znaleziono jej ciała. Jeśli to Bill przerwał łańcuszek, rzuciłby go do jeziora. A jeśli Muriel chciała to zatrzymać, a jednocześnie ukryć przed Billem, to jest jakiś sens w tym, że ukryła go w takim miejscu.

Tym razem Patton wyglądał na zaintrygowanego.

— Dlaczego ? — spytał.

— Bo to jest typowe schowanko kobiece. Cukru pudru używa się do ciasta. Mężczyzna nigdy do niego nie zagląda. Jest pan bardzo sprytny, że pan tam szukał, szeryfie.

Uśmiechnął się dość nieśmiało.

— Diabła tam, przewróciłem pudełko i trochę cukru wysypało się — powiedział. — Bez tego wątpię, czy bym to kiedyś znalazł.

Znowu zwinął papier i wsadził go do kieszeni. Wstał, jakby chciał dać do zrozumienia, że zakończył rozmowę.

— Zostaje pan tu czy wraca do miasta, panie Marlowe ?

— Wracam do miasta. O ile nie chce mnie pan za świadka. Sądzę, że będzie mnie pan potrzebował.

— Z pewnością będziesz potrzebny koronerowi. Może naprawisz to okno, które wyłamałeś. Ja zgaszę lampę i zamknę budę.

Zrobiłem, co powiedział, a on zapalił latarkę i zgasił lampę. Wyszliśmy, Patton sprawdził drzwi, czy zatrzask zaskoczył. Delikatnie zamknął siatkę i patrzył na oświecone księżycem jezioro.

— Nie wyobrażam sobie, że Bil z rozmysłem ją zabił — odezwał się smutno. — On mógł udusić na śmierć tę dziewczynę nie uświadamiając sobie tego. Jest ogromnie silny w rękę. A gdy to zrobił musiał ruszyć głową, żeby to ukryć. Bardzo się tym martwię, ale to nie zmieni faktów i okoliczności. To wygląda prosto i naturalnie, a sprawy proste i naturalne okazują się zwykle prawdziwe.

— Zdaje się mi, że w takim wypadku on powinien był uciec. Nie wyobrażam sobie, jak mógł tutaj wytrzymać.

Patton splunął na czarny welwetowy cień krzaka manzanity. Powiedział z wolna: — Miał rentę rządową, więc musiałyby uciec i od niej. A większość mężczyzn potrafi przyjąć swój los, gdy stoi on przed nimi i patrzy im prosto w twarz. Tak, jak to robią dziś na całym świecie.

Dobranoc. Pójdę jeszcze na to małe molo, postoję trochę w księżycu i podumam. Taka piękna noc, a my musimy myśleć o morderstwach.

Spokojnie odszedł między cienie i stał się jednym z nich. Nie ruszałem się z miejsca, póki mi nie zniknął z oczu, a potem podszedłem do zamkniętej bramy i przelazłem przez nią. Wsiadłem do samochodu i jechałem wzdłuż drogi rozglądając się za jakąś kryjówką.

## Rozdział XII

Trzysta jardów od bramy wąska przesieka, zasypana brązowymi liśćmi dębowymi z ostatniej jesieni. Zakręcała za granitowym głazem i znikąca z oczu. Wjechałem w nią, podskakiwałem na kamieniach usypiska przez jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp, następnie wjechałem za drzewo i ustawiłem samochód tyłem do drogi. Zgasilem reflektory, wyłączyłem motor i siedziałem w oczekiwaniu.

Upłynęło pół godziny. Bez tytoniu wydawało mi się to strasznie długo. Wreszcie w dali usłyszałem ruszający samochód. Warkot stał się wyraźniejszy i biała smuga reflektorów przesunęła się przede mną na drodze. Dźwięk zanikał stopniowo w dali, a delikatna sucha zawiesina kurzu unosiła się w powietrzu nawet wtedy, gdy już nic nie było słychać.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do bramy przy domku Chessa. Mocne pchnięcie otworzyło tym razem okno. Znowu wdrapałem się do środka i skierowałem światło latarki na stojącą na stole lampę. Przekręciłem przełącznik i słuchałem przez chwilę. Nie usłyszałem nic. Wszedłem do kuchni. Zapaliłem żarówkę nad zlewem.

Drewniana skrzynka przy kominie była pełna równo ułożonego drzewa. W zlewie nie było brudnych talerzy ani śmierdzących garnków na kominie. Bill Chess, samotny czy nie, utrzymywał swój domek we wzorowym porządku. Z kuchni jedne drzwi prowadziły do sypialni, a drugie — bardzo wąskie — do maleńkiej łazienki, którą najwidoczniej niedawno dobudowano do domku. W łazience nie znalazłem nic.

W sypialni mieściło się podwójne łóżko, sosnowa toaletka z okrągłym lustrem zawieszonym na ścianie, szafa, dwa proste krzesła i blaszany kosz na papiery. Przy łóżku na podłodze leżały dwa owalne dywaniki. Na ścianach Bill Chess rozwiesił komplet map wojennych. Toaletkę przykrywała śmieszna, biało-czerwona serwetka.

Przeszukiwałem szuflady. Kasetka z dermatoidu pełna sztucznej biżuterii została na miejscu. Były tam również różne rzeczy, których kobiety używają do twarzy, pilniki do paznokci, szczypczyki do brwi, i zdawało mi się, że jest tego trochę za dużo. Ale to było tylko zgadywanie. Szafa zawierała ubrania zarówno męskie, jak i damskie, niewiele zarówno jednych jak i drugich. Bill miał jedną bardzo krzykliwą koszulę z krochmalonym kołnierzykiem między innymi rzeczami. Pod arkuszem niebieskiego papieru w jednym rogu znalazłem coś, co mi się nie podobało: jedwabną, morelowego koloru koszulę z koronkami, niewątpliwie nową. W tym okresie żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie zostawiała jedwabnych koszul.

Wyglądało to źle dla Billa Chessa. Zastanawiałem się, co Patton o tym pomyślał.

Wróciłem do kuchni i przejrzałem półki. Były pełne słoików i puszek. Sproszkowany cukier znajdował się w kwadratowym brązowym pudełku z urwanym rogiem. Patton usiłował

posprzątać, co porozsypywał. Koło cukru stały sól, boraks, soda do pieczenia, krochmal, melasa itd. W każdej z puszek coś mogło być ukryte.

Coś, co zostało oderwane od łańcuszka, którego końce nie pasowały do siebie.

Zamknąłem oczy i wyciągnąłem na chybił trafił palec, który wskazał na sodę do pieczenia. Wyciągnąłem gazetę za skrzynki, rozłożyłem ją i wysypałem sodę z pudełka. Rozgrzebałem ją łyżką. Sody była ogromna kupa, ale nic w niej nie znalazłem. Wysypałem ją do pudełka i spróbowałem z boraksem. Nic nie było w boraksie. Do trzech razy sztuka.

Spróbowałem w chlorku. Narobiłem tylko kurzu, ale nic nie było w chlorku.

Odgłos odległych kroków zmroził mnie do szpiku kości. Zgasilem światło, podskoczyłem do izby mieszkalnej i przekręciłem przełącznik. Oczywiście o wiele za późno. Kroki zabrzmiały znowu, delikatnie i ostrożnie. Włosy mi się zjeżyły na głowie.

Czekałem w ciemności trzymając w ręku latarkę. Upłynęły śmiertelnie długie dwie minuty. Wstrzymałem oddech. To nie mógł być Patton. On podszedłby do drzwi, otworzył je i wywołał mnie. Ostrożnie, spokojne kroki wydawały się poruszać w tę i tamtą stronę — ruch, długa pauza, znowu kroki, znowu długa pauza. Ktoś grzebał się przy drzwiach i niedołącznie naciskał klamkę. Szarpnąłem drzwi na całą szerokość i puściłem strumień światła.

Rozbłysła para złotawych oczu. Gwałtowny ruch i tupot szybkich kopyt między drzewami. To była tylko ciekawa sarna.

Znowu zamknąłem drzwi i trzymając latarkę w ręku wszedłem do kuchni. Mały krządek światła padł na pudełko z cukrem pudrem.

Znowu zaświeciłem lampę, zdjąłem pudełko i wysypałem jego zawartość na papier. Patton nie sięgnął zbyt daleko. Znalazłszy przypadkowo jedną rzecz, myślał, że to wszystko. Nie przyszło mu do głowy, że mogło tam być coś jeszcze.

Drugi kawałek bibułki ukazał się w białej mączce cukrowej. Otrząsałem ją i rozwinąłem. Zawierała złote serduszko nie większe niż paznokieć małego palca.

Łyżką wysypałem cukier z powrotem do pudełka, postawiłem pudełko na miejsce i wsadziłem gazetę pod kuchnię. podszedłem do izby mieszkalnej i zapaliłem lampę na stole. W tym jaśniejszym świetle nawet bez lupy mogłem przeczytać maleńkie, wygrawerowane na odwrocie serduszka litery.

Ukośnym pismem było wypisane: „Al dla Mildred w dowód miłości. 28 czerwca 1938”.

Al dla Mildred. Jakiś Al dla Mildred Haviland. Mildred Haviland to była Muriel Chess. Muriel Chess poniosła śmierć w dwa tygodnie potem, jak jakiś policjant, zwany De Soto, o nią się rozpytywał.

Stałem trzymając serduszko w palcach, zastanawiając się, co to ma ze mną wspólnego. Zastanawiając się bez żadnego przebłysku rozwiązania.

Znowu zwinąłem serduszko, opuściłem chatę i wróciłem do wsi. Patton siedział w swoim biurze i telefonował. Drzwi były zamknięte. Musiałem poczekać, póki nie skończył rozmowy. Po chwili odłożył słuchawkę i otworzył drzwi.

Podszedłem do niego, położyłem bibułkę na biurku i rozwinąłem ją.

— Nie zajął pan dość głęboko do cukru pudru — powiedziałem.

Spojrzał na złote serduszko, spojrzał na mnie, wyjął tanie powiększające szkło. Obejrzał drugą stronę serduszka. Odłożył lupę i zmarszczywszy czoło popatrzył na mnie.

— Powiniennem wiedzieć, że chciałeś przeprowadzić rewizję w tamtym domu, — odezwał się szorstko. — Sądzę, że nie będę miał z tobą dalszych kłopotów, jak uważasz, synu ?

—Pan powinien zauważyć, że końce łańcuszka nie pasują do siebie — odparłem.

Spojrzał na mnie smutno. — Synu, nie mam twoich oczu. — Popchnął małe serduszek swym niezgrabnym kwadratowym palcem. Popatrzył na mnie i nie odezwał się.

Powiedziałem:

—Jeśli pan myślał, że ten medalion oznaczał coś, o co Bill mógłby być zazdrosny, to samo myślałem ja — zakładając, że Bill kiedykolwiek go widział. Ale jestem pewny, że on nigdy go nie widział i nigdy nie słyszał o Mildred Haviland.

Patton odezwał się z namysłem:

—Wygląda na to, że będę musiał przeprosić tego De Soto, prawda ?

—Jeśli go pan kiedykolwiek zobaczy.

Znowu popatrzył na mnie bez wyrazu, a ja patrzyłem na niego.

—Widzę, mój synu, że masz teraz zupełnie nową teorię w całej sprawie.

—Tak. Bill nie zamordował swojej żony.

—Nie ?

—Nie. Ją zamordował ktoś z jej przeszłości. Ktoś, kto zgubił jej ślad, a potem znalazł go znowu i stwierdził, że ona żyje z innym mężczyzną, co mu się wcale nie spodobało. Ktoś, kto znał tutejszą okolicę — jak setki ludzi, którzy tu nie mieszkają — znał dobre miejsce, gdzie można ukryć samochód. Ktoś, kto nienawidził, a był dobrym aktorem, kto namówił ją, żeby z nim wyjechała, a gdy już wszystko było gotowe, złapał ją za gardło, zrobił z nią to, co, jak uważał, słusznie się jej należało, wrzucił ją do jeziora i pojechał swoją drogą. Podoba się panu ta teoria ?

—No, tak — odparł z rozwagą — to nieco komplikuje sprawy, nie uważasz ? Ale nie jest to możliwe. Ani trochę.

—Jak się panu ta teoria przestanie podobać, proszę mnie zawiadomić. Będę miał coś innego.

—Jestem pewny, że będziesz miał — rzekł i roześmiał się po raz pierwszy od czasu, jak go poznałem.

Powiedziałem mu znowu dobranoc i wyszedłem. Został tam poruszając mózgiem z niedźwiedzią energią osobnika, który wykopuje pień drzewa.

## Rozdział XIII

Gdzieś koło jedenastej zjechałem do podnóża wzniesienia i zaparkowałem wóz przy hotelu Prescott w San Bernardino. Wyciągnąłem z bagażnika swój worek z rzeczami i zdążyłem wejść na trzy stopnie schodów, gdy boy w haftowanych spodniach i białej koszuli z czarnym krawatem wyrwał mi go z ręki.

Dyżurny portier był mężczyzną o głowie jak jajko i nie wykazywał żadnego zainteresowania ani mną, ani czymkolwiek w ogóle. Nosił białe lniane ubranie i ziewał wręczając mi pióro, a potem patrzył w przestrzeń, jakby wspominał, swe własne dzieciństwo.

Boy i ja wjechaliśmy windą na drugie piętro i szliśmy dość długi kawał drogi korytarzem. Kiedy szliśmy, robiło się coraz bardziej gorąco. Boy otworzył drzwi do małego pokoiku z jednym oknem. Wysepka klimatyzacyjna w rogu sufitu miała rozmiary damskiej chusteczki.



Kawałek tasiemki przywiązanej do niej trzepotał się słabo, tylko żeby pokazać, iż coś się porusza.

Boy był wysoki, chudy, żółty i już nie młody, i zimny jak kawałek kurczęcia w lodówce. Obracając w gębie gumę, położył mój worek na krześle, spojrział na okno, a potem stanął patrząc na mnie. Jego oczy miały kolor wody do picia.

—Może powinienem spytać o jeden z tych pokoi za dolara — powiedziałem. — Ten mi coś wygląda jak łaźnia parowa dla pluskiew.

—Podobnież w czepku się pan urodził, że pan w ogólności otrzymał jakiś pokój. Miasto jest zapchane jak beczka śledzi.

—Przynieś nam trochę imbirówki, szklanki i lód — powiedziałem.

—Nam ?

—To znaczy, jeśli przypadkowo jesteś pijący.

—Podobnież mogę już spróbować w tym wieku.

Wyszedł. Zdjąłem marynarkę, krawat, koszulę i podkoszulek, i stanąłem w ciepłym przeciągu otwartych drzwi. Powietrze śmierdziało rozgrzanym żelazem. Wszedłem do łazienki obok — było tu coś w rodzaju łazienki — i spryskałem się letnią wodą. Oddychałem już nieco swobodniej, gdyż wysoki boy wrócił z tacą. Zamknął drzwi, a ja wyciągnąłem butelkę żytniówki. Zakropił dwie szklaneczki, obaj wymieniliśmy nad nimi zwykłe nieszczerze uśmiechy i wypiliśmy. Pot zaczął spływać mi po karku po grzbiecie i był już w pół drogi do moich skarpetek, zanim zdążyłem odstawić szklanekę. A mimo wszystko czułem się lepiej. Usiadłem na łóżku i popatrzyłem na boya.

—Jak długo możesz wytrzymać ?

—Robiąc co ?

—Wspominając.

—Ani trochę nie jestem tego zwyczajny — powiedział.

—Mam pieniądze do wydania, na swój własny dość dziwny sposób — powiedziałem. Wyciągnąłem portfel z okolic dolnej części moich pleców i rozrzuciłem po łóżku sfatygowane banknoty dolarowe.

—Bez urazy — rzekł chłopak. — Podobnież pan może być tajniak.

—Nie bądź głupi — odparłem. — Nigdy chyba nie widziałeś tajniaka, który by układał pasjansa z własnej forsy. Możesz nazywać mnie śledczym.

—Jestem zainteresowany — powiedział. — Od płynów moja głowa zaczyna pracować.

Dałem mu banknot dolarowy.

—To za twoją głowę. Czy mogę cię nazywać Teksańczykiem z Houston ?

—Z Amarillo — powiedział. — Ale to nie ma znaczenia. Jak się panu podoba mój teksański akcent ? Rzygać mi się chce, ale zauważyłem, że ludzie na to lecą.

—Używaj go dalej — powiedziałem. — Na tym akcencie jeszcze nikt nie stracił.

Uśmiechnął się i wetknął złożonego dolara do zegarkowej kieszonki spodni.

—Co robiłeś w piątek dwunastego czerwca ? — spytałem. — Późnym popołudniem albo wieczorem. To był piątek.

Ciągnął ze szklaneczki i myślał, potrząsając lód i nie wyjmując gumy z ust.

—Byłem tutaj. Miałem zmianę od szóstej do dwunastej — powiedział.

—Kobieta, szczupła, ładna blondynka, przybyła do hotelu i zatrzymała się aż do nocnego pociągu do El Paso. Sądzę, że musiała jechać pociągiem, ponieważ była w El Paso w

niedzielę rano. Przyjechała tutaj packardem, zarejestrowanym na Crystal Grace Kingsley, 965 Carson Drive, Beverly Hills. Możliwe, że zarejestrowała się pod tym nazwiskiem, a może pod innym lub w ogóle nie wpisała się na listę gości. Jej wóz do dziś stoi w hotelowym garażu. Chciałbym pomówić z chłopcami, którzy ją obsługiwali. Za samo tylko myślenie o tym leci drugi dolar.

Wziąłem drugiego dolara z mojej wystawy i banknot zniknął w jego kieszeni z szelestem przypominającym trzepot skrzydeł ćmy.

—Da się zrobić — powiedział łagodnie.

Odstawił szklankę i wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi. Skończyłem swoją szklankę i naszykowałem sobie drugą, podszedłem do łazienki i zużyłem znowu pewną ilość wody na mój tors. Gdy to robiłem, rozległ się dzwonek telefonu na ścianie i musiałem wcisnąć się między drzwi łazienki i łóżko, żeby na niego odpowiedzieć.

Teksański głos powiedział: — To był Sonny. Powołano go do wojska w zeszłym tygodniu. Drugi chłopak, którego nazywamy Les, wynosił jej rzeczy. On jest tutaj.

—Dobra, przyślij go na górę.

Bawiłem się drugą szklanką i myślałem o trzeciej, gdy dało się słyszeć stukanie. Otworzyłem drzwi i wszedł szczirowaty, młody człowiek, nieduży, z zielonymi oczyma i wąskimi dziewczęcymi ustami.

Wszedł niemalże tanecznym krokiem i stanął patrząc na mnie z delikatnym szyderstwem.

—Pijesz ?

—Pewnie — powiedział chłodno. Nalał sobie solidną porcję żytniówki i małą kropelkę imbirówki, połknął tę mieszaninę jednym długim haustem, wsadził papierosa między swe wąskie usteczka i zapalił. Kątem oka uchwycił pieniądze na łóżku, wcale na nie nie patrząc. Na kieszeni koszuli nie miał wyhaftowanego numeru.

—Ty jesteś Les ? — spytałem.

—Nie — zrobił przerwę. — My tu nie lubimy tajniaków — dodał. — Nie mamy swojego własnego i nie będziemy sobie zwracać głowy tajniakami, którzy pracują dla innych ludzi.

—Dziękuję — powiedziałem. — To wystarczy.

—He ? — Mała buzia skrzywiła się nieprzyjemnie.

—Zwiewaj — powiedziałem.

—Myślałem, że pan chce ze mną mówić — parsknął.

—Jesteś starszym boyem ?

—Tak.

—Chciałem cię poczęstować. Chciałem ci dać dolara. Masz — podałem mu banknot. — Dziękuję za odwiedziny.

Wziął dolara i wsadził go do kieszeni bez słowa podziękowania. Nie ruszał się z miejsca puszczając dym nosem, a oczy miał czujne i złe.

—Co powiedziałem, jest nadal ważne.

—Jest ważne dla ciebie — odparłem. — A to niewiele. Wypileś, wzięłeś forszę. Teraz zjeżdżaj.

Zawrócił się wruszając jednocześnie ramionami i bezszelestnie ulotnił się z pokoju.

Upłynęło pięć minut, gdy znowu dało się słyszeć pukanie. Bardzo dalekie. Wysoki boy wszedł z promiennym uśmiechem. Odszedłem od drzwi i usiadłem na łóżku.

—Pan nie rozmawiał z Lesem, o ile wiem ?

—Niewiele. Jest zadowolony ?

—Sądzę, że tak. Pan wie, jacy są ci starsi boyowie. Muszą mieć we wszystkim swoją dolę. Więc może niech pan mnie nazywa Lesem, panie Marlowe.

—A więc to ty ją obsługiwałeś ?

—Częściowo. Ona nie rejestrowała się u portiera. Ale przypominam sobie packarda. Dała mi dolara, żeby go odprowadzić do garażu i pilnować jej rzeczy, póki nie przyjedzie pociąg. Zjadła tu obiad. A dolara to się pamięta w tym mieście. Mówiono też o tym, że tak długo nie odbiera wozu.

—Jak ona wyglądała ?

—Ubrana była w białą sukienkę z czarnym przybraniem i miała kapelusz panama z biało-czarną wstążką. Ładna blondynka, jak pan powiedział. Potem wzięła taksówkę do stacji. Ładowałem jej rzeczy. Miały inicjały, ale niestety nie mogę sobie przypomnieć jakie.

—Cieszę się, że nie możesz — powiedziałem. — To byłoby za dobrze. Napij się jeszcze. Ile lat ona mogła mieć ?

Przysunął sobie szklanekę i nalał cywilizowaną porcję.

—Trudno określić wiek kobiety w dzisiejszych czasach — zauważył. — Sądzę, że miała koło trzydziestki. Może troszkę więcej albo troszkę mniej.

Pogrzebałem w swojej marynarce, wyciągnąłem zdjęcie Crystal i Lavery'ego na plaży, i wręczyłem mu je.

Popatrzył na nie uważnie, odsunął je od oczu, a potem przysunął znowu.

—Nie będziesz potrzebował przysięgać w sądzie — rzekłem.

Kiwnął głową.

—I nie chciałbym. Te małe blondynki są tak podobne, że zmiana w ubraniu, oświetleniu czy makijażu robi z nich kobiety zupełnie jednakowe albo zupełnie różne.

Zawahał się patrząc na zdjęcie.

—Co cię trapi ? — spytałem.

—Myślę o tym facecie na zdjęciu. On też należy do sprawy ?

—Mów, co wiesz.

—Zdaje mi się, że ten facet podszedł do niej w hallu i jadł z nią obiad. Wysoki, przystojny gość, zbudowany jak bokser wagi półciężkiej. Potem z nią wsiadł do taksówki.

—Jesteś tego pewny ?

Spojrzał na pieniądze na łóżku.

—Dobra, ile to będzie kosztowało ? — zapytałem kwaśno.

Żachnął się, położył zdjęcie, wyciągnął dwa złożone dolary z kieszeni i rzucił je na łóżko.

—Dziękuję za poczęstunek — powiedział. — I diabli z panem.

Ruszył w kierunku drzwi.

—Oh, siadaj i nie bądź taki niedotykaliski — burknąłem. Usiadł i patrzył na mnie z wyrzutem.

—I nie bądź taki diabelny południowiec — dodałem. — Znałem całą kupę chłopaków hotelowych przez wiele lat. Czasami trafiałem na takiego, co nie rozumiał się na żartach. Ale trudno się spodziewać, żebym wiedział, że akurat na takiego trafię.

Uśmiechnął się lekko i szybko skinął głową. Znowu wziął zdjęcie i spojrzał na mnie.

— Ten mężczyzna robił solidne wrażenie — ciągnął dalej. — O wiele bardziej niż ta pani. Ale było jeszcze coś, co zwróciło moją uwagę i dlatego to pamiętam. Zdawało mi się, że ta pani była niezbyt zadowolona z tego, że podszedł do niej tak otwarcie w hallu.

Pomyślałem sobie, że to nie ma większego znaczenia. Może się spóźnił, a może nie przyszedł na jakieś poprzednie spotkanie. Powiedziałem: — Był powód do tego. Zauważyłeś, jaką biżuterię nosiła ta pani? Pierścionki, kolczyki, coś co wyglądało oryginalnie czy kosztownie.

Odparł, że nie zauważył.

— Czy miała włosy długie czy krótkie, proste, fale czy loki, naturalna blondynka czy tleniona?

Roześmiał się.

— O do licha, na ostatnie pytanie nie mogę panu odpowiedzieć, panie Marlowe. Nawet jak która ma naturalny blond, chce go rozjaśnić. A o ile sobie coś nieco przypomina, włosy miała raczej długie, tak jak teraz je noszą, nieco podwinięte od dołu i raczej proste. Ale mogę się mylić. — Spojrzał znowu na zdjęcie. — Tu ma związane w węzeł. Człowiek nie może mieć pewności.

— To w porządku. Pytałem się ciebie tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie za dużo zaobserwowałeś. Facet, który widzi za wiele szczegółów, jest tak samo niewiarygodnym świadkiem, jak ten, który nie widzi żadnych. Zawsze przynajmniej połowę z nich zmyśla. Ty zauważyłeś mniej więcej prawdziwie, sądząc z okoliczności. Dziękuję bardzo.

Zwróciłem mu dwa dolary i dodałem jeszcze pięć, żeby miały towarzystwo. Podziękował mi, skończył whisky i ulotnił się delikatnie. Wypiłem swoją, znowu się umyłem i zdecydowałem, że raczej pojedę do domu, niż będę spał w tej dziurze. Założyłem koszulę i marynarkę i wzięwszy swój worek zszedłem ze schodów.

Szczurowaty starszy boy był jedynym chłopakiem w hallu. Nie ruszył się, by wziąć mi z rąk bagaż. Portier o jajowatej głowie pozbawił mnie dwóch dolarów nawet nie patrząc na mnie.

— Dwa dolary za noc w takiej mordowni — powiedziałem — kiedy za darmo mógłbym się przespać w chłodzie pod gołym niebem.

Portier ziewnął, po czym w drodze spóźnionej reakcji zauważył inteligentnie:

— Tu robi się chłodniej o trzeciej nad ranem. Od trzeciej do ósmej, a nawet do dziewiątej, jest dość przyjemnie.

Wytarłem sobie kark i pokuśtykałem do samochodu. Siedzenie samochodu było gorące, choć już mijała północ.

Przyjechałem do domu około godziny drugiej czterdzieści pięć, a Hollywood było jak lodówka. Nawet Pasadena wydawała się chłodna.

## Rozdział XIV

Śniło mi się, że płynąłem w lodowatej zielonej wodzie trzymając martwe ciało kobiety pod pachą. Martwa kobieta miała jasne włosy, które płynęły przed moją twarzą. Potworna ryba z wytrzeszczonymi oczami i nabrzmiętym tułowiem i łuskami, ociekająca zgnilizną, pływała w

kółko uśmiechając się lubieżnie jak podstarzały donżuan. Już omal się dusiłem z braku powietrza, gdy nieboszczka ożyła pod moim ramieniem i uciekła. Wtedy zacząłem walczyć z rybą, a kobieta obracała się coraz dalej w wodzie, rozwijając swe długie włosy.

Obudziłem się mając usta zapchane prześcieradłem, a obie ręce opierały się o tył łóżka i pchały go z całych sił. Bolały mnie mięśnie nawet wtedy, gdy już opuściłem ręce.

Wstałem, pospacerowałem boso po dywanie i zapaliłem papierosa. Skończyłem papierosa i poszedłem do łóżka.

Kiedy się obudziłem znowu, była godzina dziewiąta. Na moją twarz padały promienie słońca, w pokoju było gorąco. Wziąłem natrysk, ogoliłem się, ubrałem częściowo i wziąłem się do porannych tostów, jajek i kawy. Kiedy już skończyłem, dało się słyszeć stukanie.

Z ustami zapchanymi tostem poszedłem otworzyć drzwi. W progu stał wysoki, poważnie wyglądający mężczyzna, w surowym szarym garniturze.

—Porucznik Floyd Greer, Centralne Biuro Śledcze — powiedział i wszedł do pokoju.

Wyciągnął suchą rękę, a ja ją uściśnąłem. Usiadł na brzeжку krzesła, jak to zwykle robią policjanci, obracał w rękach kapelusz i patrzył na mnie spokojnym, nieruchomym spojrzeniem, jakie zwykle mają policjanci.

—Dostaliśmy telefon z San Bernardino w sprawie tej historii koło jeziora Pumy. Utopiona kobieta. Zdaje się, że był pan wtedy, kiedy znaleziono ciało.

Kiwnąłem głową i spytałem: — Napije się pan kawy ?

—Dziękuję. Jadłem śniadanie dwie godziny temu.

Napiłem się kawy i usiadłem naprzeciwko niego.

—Prosili nas, żebyśmy pana sprawdzili — oświadczył. — Chcieli informacji o panu.

—Tak jest.

—Załatwiliśmy to. Zdaje się, że ma pan czyste konto, przynajmniej jeśli o nas chodzi. To dziwny zbieg okoliczności, że człowiek pańskiego fachu był na miejscu, kiedy znaleziono ciało.

—Tak to ze mną jest — powiedziałem — mam takie szczęście.

—Więc pomyślałem sobie, że wpadnę i zapoznam się.

—To ładnie z pana strony. Cieszę się, że pana poznałem, poruczniku.

—Zbieg okoliczności! — rzekł znowu kiwając głową. — Pan był tam w interesach, że się tak wyrażę ?

—W każdym razie — wyjaśniłem — mój interes nie miał nic wspólnego z utopioną kobietą, przynajmniej o ile się orientuję.

—Ale nie jest pan pewny ?

—Póki się nie skończy sprawy, człowiek nigdy nie może być pewny, co się z nią łączy, prawda ?

—Słusznie — obracał w palcach rondo swego kapelusza jak nieśmiały cowboy. Ale w jego oczach nie było nic nieśmiałego.

—Chciałbym mieć pewność, że gdyby te okoliczności, o których pan mówi, łączyły się z tą utopioną kobietą, to pan nas o tym poinformuje.

—Przypuszczam, że może pan na mnie polegać — powiedziałem.

Oblizał dolną wargę językiem.

—Chcielibyśmy czegoś więcej niż pańskie przypuszczenia. A w tej chwili nie zechciałby pan powiedzieć ?

—W tej chwili nie wiem nic, czego by nie wiedział Patton.

—Kto to jest ?

—Konstabl w Puma Point.

Wysoki poważny mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie. Trzasnął z palców i po chwili dodał: — Śledczy z San Bernardino prawdopodobnie będzie chciał z panem pomówić przed urzędowym przesłuchaniem. Ale to nie nastąpi zbyt szybko. Na razie próbują zdjąć komplet odcisków palców. Posłaliśmy im specjalistę.

—To będzie trudno. Ciało jest w daleko posuniętym rozkładzie.

—Nie szkodzi, takie rzeczy się robiło — rzekł. — Opracowali cały system w New Yorku, gdzie stale mają do czynienia z topielcami. Zdejmują kawałki skóry z palców, umacniają je w roztworze taniny i robią odciski. W zasadzie nieźle się to udaje.

—Myślicie, że ta kobieta była już notowana w policji ?

—Przecież zawsze zdejmujemy odciski nieboszczykom — powiedział. — Powinien pan o tym wiedzieć.

—Nie znałem tej pani — rzekłem. — Jeśli pan przypuszcza, że ją znałem i że dlatego się tam znalazłem, to się pan myli.

—Ale mógłby pan powiedzieć po prostu, dlaczego pan tam był ? — nastawał.

—Więc myśli pan, że kłamię ?

Obracał swój kapelusz na wskazującym palcu.

—Źle mnie pan rozumie, panie Marlowe. My w ogóle nie myślimy. My tylko zadajemy pytania i szukamy faktów. Wszystko odbywa się według zwykłego schematu. Powinien pan o tym wiedzieć. Dość długo ociera się pan o te sprawy. — Wstał i założył kapelusz. — Niech mię pan zawiadomi, gdyby pan miał wyjechać z miasta. Będę bardzo zobowiązany.

Powiedziałem, że to zrobię, i odprowadziłem go do drzwi. Wyszedł kiwnąwszy głową ze smutnym półuśmiechem. Widziałem, jak leniwie idzie korytarzem i naciska na guzik windy.

Wróciłem do kuchni, by zobaczyć, czy jeszcze zostało trochę kawy. Starczyło na dwie trzecie filiżanki. Dodałem śmietanki i cukru, i zaniósłem filiżankę do telefonu. Nakręciłem numer Główniej Komendy Policji, poprosiłem o Biuro Śledcze, a następnie o porucznika Floyda Greera.

Jakiś głos powiedział: — Porucznik Greer jest nieobecny w biurze. Może ktoś inny mógłby załatwić ?

—De Soto jest ?

—Kto?

Powtórzyłem nazwisko.

—Jaka ranga i wydział ?

—Chyba wywiadowca czy coś w tym rodzaju.

—Zaczekajcie przy telefonie.

Zaczekałem. Za chwilę warczący męski głos odezwał się znowu. — Co za dowcipy ? Nie mamy żadnego De Soto na liście. Kto mówi ?

Odłożyłem słuchawkę, skończyłem kawę i nakręciłem numer biura Derace Kingsleya. Grzeczna i chłodna panna Fromsett powiedziała mi, że właśnie przybył i natychmiast mnie przełączyła.

—No ? — spytał donośnym i silnym głosem jak zwykle na początku nowego dnia. — Czego się pan dowiedział w hotelu ?

—Była tu rzeczywiście. I Lavery ją tu spotkał. Boy, który mi dał cynk, sam wspominał Lavery'ego, bez żadnego nacisku z mojej strony. Zjadł z nią obiad i razem odjechali taksówką na stację.

—Tak, powinienem wiedzieć, że Lavery kłamie — powiedział z wolna Kingsley. — Odniosłem wrażenie, że był zaskoczony, kiedy mu powiedziałem o tym telegramie z El Paso. Po prostu odniosłem fałszywe wrażenie. Coś jeszcze ?

—Nie tutaj. Przyszedł do mnie jeden policjant dziś rano, żeby mnie obejrzyć, i ostrzegł mnie, żebym nie wyjeżdżał z miasta bez uprzedzenia. Próbował się dowiedzieć, dlaczego byłem w Puma Point. Nie powiedziałem mu. A on nawet nie wiedział o egzystencji Jima Pattona, z czego wynika, że Patton nic nikomu nie mówił.

—Jim będzie robił, co w jego mocy, żeby załatwić sprawę przyzwoicie — odezwał się Kingsley. — Dlaczego się pan mnie pytał wczoraj o jakieś nazwisko... Mildred czy coś w tym rodzaju ?

Opowiedziałem mu pokrótce. Wyjaśniłem, że znaleziono samochód Muriel Chess i jej ubranie i gdzie je znaleziono.

—To kiepsko wygląda dla Billa — rzekł Kingsley. — Znam Jezioro Szopów, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby wykorzystać tę starą budę ... czy nawet, że tam jest jakaś stara buda. To nie tylko wygląda źle: to wygląda na morderstwo z rozmysłem.

—Nie zgadzam się z tym. Jeśli zna dość dobrze okolicę, nie potrzebował wcale się namyślać, żeby znaleźć podobną kryjówkę. Był bardzo ograniczony co do dystansu.

—Możliwe. Co pan teraz planuje ?

—Oczywiście znowu muszę pogadać z Lavery'm.

Zgodził się, że należy to zrobić. — Ta druga sprawa, jakkolwiek jest tragiczna, nie interesuje pana, co ?

—Nie, o ile pana żona nic o tym nie wiedziała.

Jego głos zabrzmiał ostro:

—Słuchaj pan, Marlowe, poniekąd mogę zrozumieć, iż pański instynkt detektywa skłania pana do supłania wszystkiego, co się zdarzy, w jeden węzeł, ale niech pan uważa. W życiu w ogóle tak nie bywa... w życiu, jak ja je znam. Lepiej zostaw pan sprawy rodziny Chessów policji i wysilaj mózg dla rodziny Kingsleyów.

—Dobra jest — powiedziałem.

—Nie chcę oczywiście nic panu rozkazywać — dodał.

Roześmiałem się serdecznie, powiedziałem do widzenia i rozłączyłem się. Skończyłem się ubierać i zszedłem do chryslera. Znowu ruszyłem do Bay City.

## Rozdział XV

Podjechałem do skrzyżowania z ulicą Altair, tam gdzie poprzeczna ulica przylegała do krawędzi kanionu i kończyła się półokrągłym parkingiem, otoczonym wysokim białym płotem. Przez chwilę siedziałem w samochodzie rozmyślając, patrząc na morze i podziwiając niebieskoszare łańcuchy pagórków nad oceanem. Zastanawiałem się, czy traktować Lavery'ego w rękawiczkach, czy też iść na ostro. Doszedłem do wniosku, że nic nie stracę

zaczynając grzecznie. Jeśli to nie da rezultatu, a sądziłem, że nie da — sprawy pójdą swoim naturalnym biegiem i będziemy wtedy łamać meble.

Brukowany zaułek opadał mniej więcej do połowy pagórka i był pusty. Na najbliższej ulicy na zboczu dwóch chłopców rzucało bumerangiem i ganiało za nim ze zwykłym potracaniem się łokciami i odpowiednią ilością słownych zniewag. Nieco niżej stał dom ukryty za drzewami i czerwonym murem z cegły. Widać tam było bieliznę suszącą się na sznurze na podwórku. Dwa gołębie podskakiwały po dachu potrząsając głowami. Żółto-niebieski autobus włókł się po ulicy, potem stanął przed frontem ceglanego domu, powoli i ostrożnie wysiadł jakiś staruszek, stanął mocno na ziemi i macając grubą laską zaczął wspinać się po zboczu pagórka.

Pogoda była jeszcze ładniejsza niż wczoraj. Ranek oddychał spokojem. Zostawiłem wóz na miejscu i poszedłem pieszo na Altair 623.

Weneckie żaluzje na frontowych oknach były opuszczone i cały dom miał senny wygląd. Przeskoczyłem przez koreański mech, nacisnąłem na guzik dzwonka i zobaczyłem, że drzwi nie są całkowicie zamknięte. W środku była mała szczelina, a zatrask opierał się na samej krawędzi zamka. Przypomniałem sobie, że drzwi się zacięły, kiedy wczoraj stąd wychodziłem.

Dotknąłem drzwi, a one same otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Wewnątrz było mroczno, ale przez zachodnie okna wpadało trochę światła. Nikt się nie ruszył na mój dzwonek. Nie zadzwoniłem po raz drugi. Pchnąłem drzwi mocniej i wszedłem do środka. W pokoju był lekki, ciepły zapach, typowy zapach poranka w pomieszczeniu, gdzie jeszcze nie otwarto okien. Butelka Vat 69 stała na okrągłym stole przy otomanie i była prawie próżna, a druga stała koło niej. W miedzianym wiaderku na lód pozostało trochę wody na dnie. Dwie szklanki nosiły ślady użycia. Poza tym zauważyłem jeszcze pół syfona wody sodowej.

Ustawiłem drzwi w ten sposób, jak je zastałem, i zacząłem nasłuchiwać. Pomyślałem, że jeśli Lavery wyszedł, skorzystam z okazji i przeszukam mieszkanie. Nie miałem mu wiele do zarzucenia, ale prawdopodobnie to starczy, by go powstrzymać od wezwania policji.

W ciszy mijał czas. Mijał w suchym cykaniu elektrycznego zegara na ścianie, w dalekim echu klaksonu samochodowego, brzęczeniu samolotu nad wzgórzami, w pomrukiwaniu elektrycznej lodówki w kuchni.

Wszedłem nieco dalej do pokoju i stałem rozglądając się dookoła i nie słysząc nic, poza tymi określonymi dźwiękami, typowymi dla ludzkiego mieszkania, ale nie mającymi nic wspólnego z żyjącymi w nim ludźmi. Ruszyłem po dywanie w stronę klatki schodowej przy drugim wejściu.

Ręka w rękawiczce ukazała się na białej poręczy schodów, tuż w rogu sklepionego przedsionka, gdzie schody prowadziły w dół. Pojawiła się i zatrzymała. Poruszyła się, a potem ukazał się damski kapelusz i głowa. Kobieta wchodziła spokojnie na schody. Wynurzyła się całkowicie, zakręciła w przedsionku i zdawało się, że mnie wciąż nie widzi. Była to szczupła kobieta w nieokreślonym wieku o tłustych brązowych włosach i szkarłatno wyalowanych ustach. Na policzkach miała za dużo różu, a oczy też silnie podmalowane. Była ubrana w niebieski kostium z tweedu, który straszliwie się kłócił z purpurowym kapeluszem, tkwiącym w chwiejnej równowadze na jednej stronie głowy.

Zobaczyła mnie, ale nie stanęła ani w najmniejszym stopniu nie zmieniła wyrazu twarzy. Powoli weszła do pokoju trzymając prawą rękę z dala od tułowia. Na lewej ręce miała



brązową rękawiczkę, którą poprzednio widziałem na poręczy. Rękawiczka z prawej ręki owijała kolbę małego pistoletu.

Zatrzymała się wreszcie, cofnęła do tyłu całym ciałem i jakiś niewyraźny dźwięk wydobył się z jej ust. Potem zachichotała cienkim, nerwowym chichotem. Wycelowała we mnie pistolet i podchodziła coraz bliżej.

Patrzyłem na pistolet i nie krzychałem.

Kobieta podchodziła coraz bliżej. Gdy była już wystarczająco blisko, aby zacząć towarzyską rozmowę, wymierzyła pistolet w mój żołądek i powiedziała:

—Nic nie chciałam, tylko odebrać swoje komorne. Wygląda na to że on utrzymuje dom w porządku. Nic nie zniszczone. Był zawsze porządnym lokatorem. Tylko nie chciałam, żeby za dużo zalegał z komornem.

Facet o dość zdenerwowanym i nieszczęśliwym głosie zapytał grzecznie:

—A ile on zalega ?

—Za trzy miesiące — wyjaśniła. — Dwieście czterdzieści dolarów. Osiemdziesiąt dolarów miesięcznie to bardzo skromna cena za tak ładnie umeblowany dom. Przedtem też miałam czasami trudności ze ściąganiem komornego, ale na ogół wszystko kończyło się dobrze. Obiecał mi czek dziś rano. Telefonicznie. To znaczy, obiecał mi go dać dziś rano.

—Dziś rano — powtórzyłem. — Telefonicznie.

Szurgnąłem nieco nogą w sposób jak najbardziej niewinny. Miałem zamiar podsunąć się blisko, do pistoletu, ażeby zrobić zamach, odbić lufę na zewnątrz, a następnie skoczyć, zanim ona zdąży wyprostować rękę. Nie miałem nigdy szczęścia do wypróbowania zasad walki wręcz, ale ostatecznie kiedyś trzeba je wypróbować. Wyglądało na to, że nadszedł czas, żeby je wypróbować.

Podsunałem się jakieś sześć cali, ale jeszcze nie dość blisko na pierwszy zamach.

—Pani jest właścicielką ?

Nie patrzyłem prosto na pistolet. Miałem słabą nadzieję bardzo słabą nadzieję, że ona nie uświadamia sobie, iż celuje we mnie.

—Co ? Oczywiście. Nazywam się Fallbrook. A pan myślał, że kto ?

—Tak, myślałem, że pani jest właścicielką — potwierdziłem. — Mówiła pani o komornem i w ogóle. Ale nie znałem pani nazwiska.

Dalsze osiem cali. Piękna, precyzyjna robota. Byłby wstyd, gdybym zmarnował taką okazję.

—A pan kim jest, jeśli wolno spytać ?

—Właśnie przyszedłem w związku ze splątami za samochód — powiedziałem. — Drzwi były otwarte troszeczkę, a ja jakoś odruchowo wsunąłem się do środka. Sam nie wiem, jak to się stało.

Zrobiłem minę jak urzędnik z towarzystwa kredytowego przychodzący w sprawie spląty za samochód. Nieco twardą, a jednak w każdej chwili gotową oblec się w słoneczny uśmiech.

—Pan mówi, że pan Lavery zalega z ratami za samochód ? — spytała ze zmartwioną miną.

—Nie dużo. Bardzo niewiele — stwierdziłem uspokajająco.

Teraz nastąpił już odpowiedni moment. Miałem zasięg i powinienem mieć szybkość. Potrzebne mi było tylko jedno ostre uderzenie w pistolet, które odbiłoby go na zewnątrz. Zacząłem powoli odrywać lewą stopę od dywanu.

—Wie pan — oznajmiła ona — to śmieszne z tym rewolwerem. Znalazłam go na schodach. Rewolwery są zawsze naoliwione, prawda ? A chodnik na schodach to szary chenille. Dość kosztowny.

I podała mi pistolet.

Moja ręka wyciągnęła się po niego, sztywna jak skorupka jajka i prawie tak samo krucha. Wziąłem broń. Kobieta z niesmakiem dmuchała na rękawiczkę, która była przedtem owinięta wokół kolby. Mówiła dalej tym samym tonem plotkarskiego rezonowania. Moje kolana trzasnęły odprężając się.

—Oczywiście panu jest o wiele łatwiej. W sprawie samochodu, chciałam powiedzieć. Może pan po prostu zabrać go z powrotem w razie konieczności. Ale zabrać dom z takimi ładnymi meblami nie jest tak łatwo. Żeby usunąć lokatora potrzeba czasu i pieniędzy. Dochodzi do awantur, a rzeczy ulegają dewastacji, niejednokrotnie świadomie. Dywan na podłodze kosztuje ponad dwieście dolarów z drugiej ręki. To jest tylko dywan z juty, ale ma przyjemne kolory, nie uważa pan ? Nigdy by pan nie pomyślał, że to tylko juta i z drugiej ręki. Ale to głupie, że one są zawsze z drugiej ręki, gdy się ich używało. Przyszłam tu na piechotę, żeby zaoszczędzić moich opon dla rządu. Częściowo mogłam przyjechać autobusem, ale te diabelne autobusy nigdy nie zjawiają się wtedy, kiedy potrzeba, chyba że jadą w przeciwnym kierunku.

Ledwie słuchałem, co mówiła. To jej gadanie brzmiało jak szum fali, niewidocznych za odległym cyplem. Interesował mnie pistolet.

Wyjąłem magazynek. Był pusty. Zajrzałem do komory naboju. Była również pusta. Powąchałem przy muszce. Śmierdziało.

Wsadziłem broń do kieszeni. Pistolet sześciopalcowy, automatyczny, kaliber 25. Nie nabity. Wystrzelany do czysta i to niedawno. Ale w każdym razie nie w ciągu ostatniej półgodziny.

—Czy z niego strzelano ? — zapytała uprzejmie pani Fallbrook. — Sądzę, że z pewnością nie.

—A czy istnieje jakiś powód, że miano z niego strzelać ? — zapytałem. Głos mój był równy, choć w głowie wszystko mi jeszcze skakało.

—No, bo on leżał na schodach — powiedziała. — A mimo wszystko ludzie z tego strzelają.

—Bardzo słuszna uwaga — stwierdziłem. — Ale pan Lavery ma chyba dziurę w kieszeni. Czy nie ma go w domu ?

—Ach, nie — potrząsnęła głową i wyglądała na rozczarowaną. — Nie sądzą, żeby to było ładne z jego strony. Obiecał mi czek, a ja weszłam ...

—Kiedy pani do niego telefonowała ?

—Chyba wczoraj wieczorem. — Zmarszczyła się. Najwidoczniej nie podobały jej się te pytania.

—Ktoś go musiał odwołać — powiedziałem.

Wpatrywała się w jakiś punkt między moimi krzaczastymi brwiami.

—Niech pani słucha, pani Fallbrook — odezwałem się. — Możemy już przestać żartować. Nie dlatego, żebym tego nie lubił. I nie to, żebym się lubił wyrażać w ten sposób. Ale czy przypadkiem pani go nie zastrzeliła ?... W związku z tym, że był pani winien komorne za trzy miesiące ?

Z wolna usiadła na brzeжку krzesła i końcem języka i oblizała swoje szkarłatne wargi.

—Cóż to za okropne przypuszczenie ! — zawołała gniewnie. — Nie można powiedzieć, żeby pan był grzeczny. Czyż pan nie mówił, że z tego rewolweru nie strzelano ?

—Z każdego rewolweru ktoś kiedyś strzelał, każdy rewolwer był kiedyś nabity. Ten w tej chwili nie jest nabity.

—No, więc ... — Zrobiła niecierpliwy gest i powąchała swą pobrudzoną rękawiczkę.

—W porządku, mój pomysł był niewłaściwy. To tylko dowcip. Pan Lavery wyszedł, a pani weszła do mieszkania. Będąc właścicielką ma pani klucz. Czy tak jest w istocie ?

—Nie chciałam być natrętna — powiedziała gryząc się w palec. — Możliwe, że nie powinnam tak postąpić. Ale mam prawo sprawdzić, czy rzeczy są utrzymane w należytym porządku.

—No i sprawdziła pani. Jest pani pewna, że nie ma go w domu ?

—Nie zaglądałam pod łóżka ani do lodówki — odparła chłodno. — Wołałam ze schodów, kiedy nikt nie odpowiadał na dzwonek. Potem zeszłam do dolnego hallu i wołałam znowu. Zajrzałam nawet do sypialni.

Opuściła oczy jakby z zawstydzaniem i zacisnęła dłoń na swoim kolanie.

—Tak to jest — powiedziałem.

Inteligentnie skinęła głową.

—Właśnie, tak to jest. A jak, pan mówił, brzmi pańskie nazwisko?

—Vance . — oświadczyłem. — Philo Vance.

—W jakiej firmie pan pracuje, panie Vance ?

—Na razie jestem bezrobotny — wyjaśniłem. — Póki komisarz policji nie będzie miał znowu jakichś kłopotów.

To ją najwidoczniej poruszyło.

—Ale pan mówił, że pan przyszedł w sprawie rat za samochód !

—To tylko moje dodatkowe zajęcie — powiedziałem. — Praca nadliczbowa.

Wstała na nogi i patrzyła na mnie uporczywie. Głos jej brzmiał chłodno:

—W takim wypadku sądzę, że lepiej byłoby, gdyby pan natychmiast opuścił ten dom.

—Sądzę, że najpierw się tu rozejrzę, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu. Być może, że pani czegoś nie zauważyła.

—Nie sądzę, żeby to było potrzebne — ona na to. — To jest mój dom. Pan będzie łaskaw stąd wyjść, panie Vance.

Powiedziałem: — A jeśli nie wyjdę, to co ? Niech pani siada, pani Fallbrook. Trochę rzucę okiem. Ten pistolet wydaje mi się coś bardzo podejrzany.

—Ale mówiłam panu, że znalazłam to na schodach — krzyknęła gniewnie. — Nic poza tym nie wiem. W ogóle nie znam się na pistoletach. Ja ...ja nigdy w życiu nie strzelałam.

Otworzyła dużą niebieską torbę, wyciągnęła z niej chusteczkę i pociągnęła nosem.

—To pani tak mówi — oświadczyłem. — Ja nie muszę temu wierzyć.

Wyciągnęła lewą rękę patetycznym gestem.

—Och, nie powinnam była tu wchodzić — płakała. — To było okropne z mojej strony. Wiem o tym. Pan Lavery będzie się bardzo gniewał.

—Czego pani nie powinna była zrobić — powiedziałem — to właśnie pokazywać mi, że pistolet nie jest nabity. Aż do tej chwili miała pani wszystko w ręku.

Tupnęła nogą. Tego jeszcze brakowało w tej scenie. To czyniło ją doskonałą.

—Jest pan bezwstydnym — pisnęła. — Niech się pan nie waży mnie dotykać! Niech pan nie rusza się ani o krok! Ani minuty dłużej nie zostanę z panem w tym domu. Jak pan śmie być tak bezczelny ...

Urwała i parsknęła jak kotka. Pochyliła głowę, purpurowy kapelusz i wszystko, i skoczyła do drzwi. Gdy przebiegała koło mnie, wyciągnęła rękę jakby mnie chciała spoliczkować, ale nie była wystarczająco blisko, a ja się nie ruszałem. Pchnęła drzwi tak, że otworzyły się na całą szerokość, i wyskoczyła na ulicę. Drzwi zamknęły się z wolna i słyszałem jej szybkie kroki głośniejsze od ich skrzypienia.

Pociągnąłem paznokciem po zębach i nasłuchując uszczypnąłem się w podbródek. Wkrótce nie słyszałem nic.

—Coś tu nie gra w tej scenie — powiedziałem głośno.

Wydawało się, że w domu panowała nienormalna cisza. Po morelowym dywanie podszedłem do klatki schodowej. Stałem tu przez chwilę i nasłuchiwałem znowu.

Wzruszyłem ramionami i powoli zacząłem schodzić na dół.

## Rozdział XVI

W każdej ścianie dolnego hallu znajdowały się drzwi, a dwoje drzwi było obok siebie pośrodku. Jedne z nich prowadziły do schowanka na bieliznę, a drugie były zamknięte. Podszedłem do samego końca i zajrzałem do sypialni dla gości. Były tu zaciągnięte zasłony, a łóżko nie nosiło śladów użycia. Wszedłem do drugiej sypialni z szerokim łóżkiem i dywanem kawowego koloru na podłodze, nowoczesnymi meblami z jasnego drzewa, toaletką z kilku—częściowym lustrem i długą świetlówką nad nim. W rogu stała kryształowa figurka psa, a koło niego kryształowe pudełko, w którym znajdowały się papierosy.

Toaletka była zasypana pudrem. Na ręczniku widniały ślady szminki. Poduszki na łóżku, ułożone obok siebie, miały małe zagłębienia odcisnięte przez głowę. Kobięca chusteczka wyglądała spod poduszki. Para pidżamowych damskich spodni wisiała na poręczy łóżka. Mocny zapach chypre'u wisiał w powietrzu.

Byłem ciekaw, co pani Fallbrook pomyślała sobie o tym wszystkim.

Zrobiłem zwrot w tył i przejrzałem się w długim lustrze na drzwiach umieszczonej w ścianie szafy. Drzwi były pomalowane na biało i miały kryształową klamkę. Przez chusteczkę nacisnąłem klamkę i zajrzałem do środka. Wykładana cedrowym drzewem szafa była prawie pełna męskich garniturów. Czuć było przyjemny zapach tweedu. Ale wisiały tu nie tylko męskie ubrania.

Zobaczyłem damską suknię białą z czarnym przybraniem, pod nią biało—czarne pantofle. Kapelusz panama z czarno—białą wstążką leżał na półce. Były tam również inne damskie suknie, ale ich nie oglądałem.

Zamknąłem drzwi szafy i poszedłem dalej trzymając chusteczkę w pogotowiu do dalszych klamek.

Drzwi obok schowanka na bieliznę, również zamknięte powinny prowadzić do łazienki. Potrząsnąłem nimi, ale nie otworzyły się. Nachyliłem się i zobaczyłem, że w środku klamki widnieje mała szczelina. Wiedziałem, że tego typu drzwi zamyka się przez naciśnięcie

odpowiedniego guzika od wewnątrz, a ten mały otwór służył do metalowego klucza bez wycięć, którym można było otworzyć zamek, na wypadek gdyby ktoś zasnął w łazience albo gdyby dzieciaki zamknęły się w środku i zaczęły dokazywać.

Klucz do tego zamka powinien leżeć na górnej półce szafy na bieliznę, ale nie było go tam. Próbowałem otworzyć drzwi scyzorykiem, ale był za cienki. Wróciłem do sypialni i wydobylem z toalety pilnik do paznokci. Ten się nadał. Otworzyłem drzwi łazienki. Męskie spodnie od pidżamy leżały rzucone na malowany klosz. Para zielonych pantofli bez pięt stała na podłodze. Na krawędzi umywalki leżała żyletka i tuba kremu z odkręconą zakrętką. Okno łazienki było zamknięte, a w powietrzu unosił się przenikliwy zapach nie podobny do żadnego innego zapachu.

Trzy wystrzelone łuski leżały na zielonych kafelkach posadzki, a w matowej szybie okna widniała okrągła dziurka. Po lewej stronie nieco nad oknem zobaczyłem dwa odlupane miejsca w tynku, gdzie biel przegłądała spod farby i gdzie musiało trafić coś w rodzaju kulki rewolwerowej.

Zasłona przy natrysku była z impregnowanego jedwabiu w zielone i białe wzory i wisiała na połyskliwych pierścieniach. Była ściągnięta. Rozsunąłem ją, a kółka wydały przenikliwy skrobiący dźwięk, który z jakiegoś powodu zabrzmiał nieprzyzwoicie głośno.

Poczułem, jak mi lekko trzasnęło w karku, kiedy się zginałem. On był tam oczywiście. Któż inny miał tam być. Był wciśnięty w róg pod dwa połyskujące krany, a po jego piersi woda ściekała z wolna z chromowanego natrysku.

Kolano miał podciągnięte do góry, ale bezwładne. Dwa otwory w nagiej piersi miały granatową barwę, a oba znajdowały się wystarczająco blisko serca, żeby go zabić. Krew najwidoczniej została zmyta.

Jego oczy miały jakiś niezwykle jasny i pełen oczekiwania wyraz, jakby ten człowiek poczuł zapach porannej kawy i miał zaraz wyjść.

Piękna robota. Człowiek właśnie skończył się golić, rozebrał się do natrysku, pochyła się pod wodą i reguluje jej temperaturę. Drzwi z tyłu otwierają się i ktoś wchodzi. Okazuje się, że to kobieta. Ma rewolwer. Patrzysz na rewolwer, a ona strzela.

Trzy strzały chybiają. Zdaje się to niemożliwe na tak bliską odległość, ale tak się zdarza. Możliwe, że zdarza się tak zawsze. Mało się na tym znam.

Nie masz gdzie uciekać. Możesz rzucić się na nią i spróbować szczęścia, jeśli jesteś tego rodzaju człowiekiem, jeśli masz na to dość odwagi. Jednak pochylając się nad kurkami natrysku, przytrzymując firanki, jesteś całkowicie bezradny. Więc kamieniejesz z przestachu, jeśli jesteś podobnym do innych ludzi. Nie ma gdzie uciekać, chyba pod natrysk.

Tam się kryjesz. Wchodzisz tam tak daleko, jak ci się da, ale nie zmienia to faktu, że w kabinie do natrysków jest bardzo mało miejsca, a wykładana kafelkami ściana wstrzymuje cię. A potem jeszcze dwa strzały, może trzy, i twe oczy nie są już więcej przerażone. Są już pustymi oczami zmarłego.

Ona wyciąga rękę i zakręca natrysk. Zamyka drzwi na zatrask. Wychodząc z domu rzuca próżny pistolet na dywan. Powinna cierpieć. Pistolet prawdopodobnie jest twój własny. Czy to się zgadza? Lepiej, żeby się zgadzało.

Schyliłem się i dotknąłem jego ramienia. Lód nie mógłby być zimniejszy i twardszy. Wyszedłem z łazienki nie zamykając drzwi. Nie trzeba zamykać. To tylko dodatkowa robota dla policji.

Poszedłem do sypialni i wyciągnąłem chusteczkę spod poduszki. Był to maleńki kawałek płótna z ząbkowanymi brzegami. W rogu dwa małe inicjały wyhaftowane czerwoną nitką. A.F.

—Adrienne Fromsett — powiedziałem. I roześmiałem się. To był raczej upiorny uśmiech.

Strząsnąłem chusteczkę, żeby wypuścić z niej trochę chypre'u, zawiązałem ją w bibułkę i schowałem do kieszeni. Wszedłem na górę do pokoju i pogrzebałem w biurku przy ścianie. Biurko nie zawierało interesujących listów, numerów telefonu ani nazwisk. A jeśli zawierało, ja ich nie znalazłem.

Popatrzyłem na telefon. Stał na małym stoliku przy ścianie koło kominka. Miał długi sznur, tak, że pan Lavery leżąc na otomanie z papierosem w swych gładkich brązowych ustach, z flaszką czegoś chłodnego na stole koło siebie, miał mnóstwo czasu na miłe, pieszczotliwe rozmowy z przyjaciółkami. Łatwe, długie flirty i żarty, nie nazbyt subtelne ani nie nazbyt głupie, tego rodzaju, na jaki go było stać.

A teraz wszystko się skończyło. Odszedłem od telefonu do drzwi. Nikt nie świstał w gwizdek policyjny. Wszystko było spokojne, słoneczne i ciche. Żadnego powodu do podniecenia. To tylko Marlowe znalazł drugiego nieboszczyka. Już się w tym wyspecjalizował. Będą go nazywali „Co — Dzień — Mord — Marlowe”. Dadzą mu samochód pogrzebowy, by miał czym odwozić to, co znajdzie. Fajny i miły facet, można powiedzieć.

Wróciłem do wozu, cofnąłem go na wstecznym biegu i odjechałem.

## Rozdział XVII

Boy w Klubie Atletycznym wrócił w ciągu trzech minut i kiwnął głową, żebym za nim wyszedł. Wjechaliśmy na trzecie piętro, skręciliśmy w boczny korytarz, a potem boy pokazał mi na wpół otwarte drzwi.

—Na lewo, proszę pana. Możliwie jak najciszej. Niektórzy członkowie śpią.

Wszedłem do biblioteki klubowej. Za oszklonymi drzwiami były tu książki i tygodniki ilustrowane, długi stół oraz oświetlony portret założyciela klubu. Ale rzeczywiste zajęcie członków stanowiło spanie. Wystające segmenty półek bibliotecznych dzieliły salę na pewną ilość małych alków, a w alkowach stały głębokie fotele, niewiarygodnych rozmiarów i miękkości. W pewnej liczbie tych foteli drzemali starsi panowie, ich twarze były fioletowe od wysokiego ciśnienia krwi, a cienkie chrapnięcia wydobywały się z ich różowych nosów.

Przeszedłem kilka kroków i zerkąłem w lewo. Derace Kingsley był w ostatniej alce przy ścianie. Miał dwa zsunięte fotele frontem do siebie. Jego duża czarna głowa wystawała nad plecami jednego z nich. Wsunąłem się w pusty fotel i skinąłem na powitanie.

—Mów pan po cichu — rzekł. — Ta sala przeznaczona jest na popołudniowe drzemki. No i co tam ? Zatrudniłem pana po to, żeby zaoszczędzić sobie przykrości, a nie dodawać nowych do tych, które już mam. Przez pana musiałem zerwać bardzo ważną konferencję.

—Wiem — zgodziłem się i przysunąłem moją twarz tuż do niego. Bardzo przyjemnie pachniał cocktailami. — Zastrzeliła go.

Jego brwi podskoczyły, a twarz nabrała kamiennego wyglądu. Zęby się zacisnęły. Sapnął cicho i zacisnął swą wielką rękę na kolanie.

—Mów pan dalej — powiedział drewnianym głosem.

Spojrzałem na plecy mego fotela. Najbliższy stary suseł zasnął zdrowo, a płowy kosmyk włosów w jego nosie latał w te i wewte przy oddychaniu.

—Nikt nie odpowiadał w domu Lavery’ego — mówiłem. — Drzwi lekko uchylone. Zauważyłem poprzednio, że zacinają się lekko koło progu. Pchnąłem je. Pokój ciemny, dwie szklaneczki z resztkami whisky. W domu cisza. Za chwilę szczupła ciemna kobieta, nazywająca samą siebie panią Falbrook, wchodzi na schody z pistoletem owiniętym w rękawiczkę. Mówi, że znalazła go na schodach. Mówi, że przyszła po zaległe od trzech miesięcy komorne. Użyła swego klucza, żeby wejść do środka. Skorzystała z okazji, żeby się trochę rozejrzeć po domu. Wziąłem od niej rewolwer i stwierdziłem, że niedawno z niego strzelano, ale nie powiedziałem jej tego. Opowiadała, że Lavery’go nie ma w domu. Pozbyłem się jej napędziwszy jej stracha. Związała na pełnych obrotach. Może wezwać policję, ale jest o wiele bardziej prawdopodobne, że po prostu uciekła, machnęła na wszystko ręką i zapomni o całej sprawie — z wyjątkiem komornego.

Przerwałem. Głowa Kingsleya była zwrócona ku mnie, a mięśnie jego twarzy nabrzmiwały, w miarę jak zaciskał szczęki. Oczy miał nieprzytomne.

—Zszedłem w dół. Ślady kobiety, która spędziła tu noc. Pidżama, puder, perfumy i tak dalej. Trzy łuski od naboju na podłodze. Dwa strzały w ścianę, jeden w okno. Lavery pod natryskiem nagi i martwy.

—Mój Boże ! — westchnął Kingsley. — Pan uważa; że miał dziś w nocy kobietę, a ona zastrzeliła go rano w łazience ?

—A pan myśli, że co chciałem powiedzieć ? — spytałem.

—Ciszej! — warknął. — To wstrząs, naturalnie. Dlaczego w łazience?

—Sam pan ciszej! — odburknąłem. — Dlaczegożby nie w łazience ? Może pan sobie wymyśleć inne miejsce, gdzie człowiek byłby bardziej bezradny ?

Odezwał się znowu: — Pan nie wie, czy ta kobieta go zastrzeliła. Chciałem powiedzieć, że nie jest pan tego pewny.

—Nie — rzekłem. — To prawda. Mógł to być ktoś, kto użył małego pistoletu i wystrzelał go byle gdzie, by to wyglądało na damską robotę. Łazienka jest na stoku wzgórza, jej okna wychodzą na pusty plac i nie sądzę, że ktoś, kto nie był w domu, mógł usłyszeć strzały. Kobieta, która spędziła tam noc, albo już wyszła — albo w ogóle nie było może żadnej kobiety. Zupełnie prawdopodobne, że te ślady zostały sfalszowane. Pan go mógł zastrzelić.

—Dlaczego ja miałbym go zastrzelić ? — prawie się zatrząsł, zaciskając mocno oba kolana. — Jestem cywilizowanym człowiekiem.

Nie wydawało mi się, żeby warto było na ten temat dyskutować. Zapytałem:

—Czy pana żona ma rewolwer ?

Zwrócił ku mnie swą wyblakłą twarz i powiedział głucho:

—Wielki Boże! Człowieku, chyba pan tego nie myśli na serio ?

—Ma czy nie ma ?

Wydobywał z siebie słowa poszarpane na małe kawałeczki.

—Tak ... ma. Mały pistolet.

—Kupił go pan w tym mieście ?

—Ja ... ja go w ogóle nie kupiłem. Zabrałem go pijanemu na zabawie w San Francisco, dwa lata temu. Wymachiwał nim naokoło, myśląc, że to bardzo wesołe. Nigdy mu go nie oddałem. — Zacisnął palce na podbródku tak mocno, że zbieleły mu kostki rąk. — Prawdopodobnie nawet nie pamięta, jak i gdzie go stracił. Do tego stopnia był pijany.

—To brzmi aż za prosto — powiedziałem. — Czy pan poznałby ten pistolet ?

Myślał z natężeniem, wysuwając naprzód szczękę i przymykając do połowy oczy. Znowu spojrzałem po fotelach. Jeden z podstarzałych śpiochów obudził się z chrapnięciem, które o mało go nie wyrzuciło z siedzenia. Zakaszał, podrapał się po nosie chudą, wyschlą ręką i niezgrabnie wyciągnął złoty zegarek z kamizelki. Patrzył w niego mrugając oczami, wsadził z powrotem do kieszeni i znowu wziął się do spania.

Sięgnąłem do kieszeni i włożyłem rewolwer do ręki Kingsleya. Przyglądał mu się z nieszczęśliwą miną.

—Nie wiem — wykrztusił z trudem. — Jest podobny, ale nie mogę twierdzić na pewno.

—Z boku jest numer serii.

—Nikt nie pamięta numerów broni.

—Miałem nadzieję, że pan nie pamięta — powiedziałem. — Gdyby tak było, to bym się bardzo zmartwił.

Jego ręka zamknęła się na pistolecie. Położył go koło siebie na fotelu.

—Ta świnia — odezwał się miękko. — Przypuszczałem, że ją oszukał.

—Nie pojmuję — zdziwiłem się. — Motyw był nie wystarczający dla pana, w związku z tym, że jest pan cywilizowanym człowiekiem. Ale był odpowiedni dla pana żony.

—To nie jest ten sam motyw — parsknął. — A kobiety są bardziej gwałtowne niż mężczyźni.

—Jak koty są bardziej gwałtowne niż psy.

—Co?

—Niektóre kobiety są bardziej gwałtowne niż niektórzy mężczyźni. To wszystko. Powinniśmy mieć lepszy motyw, jeśli pan chce, żeby to zrobiła pana żona.

Odwrócił głowę, żeby rzucić mi nieruchome spojrzenie, w którym nie było wesołości. W kącikach jego ust pojawiły się białe półksiężycy od przygryzających je zębów.

—Nie wydaje mi się, żeby to wystarczyło — powiedział.

—Nie możemy pozwolić, żeby policja dostała ten pistolet w swoje ręce. Crystal miała pozwolenie na broń i pistolet był zarejestrowany. Więc oni będą znali numer, nawet jeśli ja go nie znam. Nie możemy pozwolić, żeby dostali ten pistolet.

—Ale pani Fallbrook wie, że go wziąłem.

Uparcie potrząsnął głową.

—Musimy zaryzykować. Tak, oczywiście, pan ponosi ryzyko. Postaram się, żeby się to panu opłaciło. Gdyby okoliczności wyglądały na samobójstwo, powiedziałbym, żeby położyć ten pistolet z powrotem. Ale wygląda z tego, co pan mówi, że to nie było samobójstwo.

—Nie. Musiałyby chybić do samego siebie trzema strzałami. Ale nie mogę kryć morderstwa, nawet gdyby mi pan dał z dziesięć dolarów. Pistolet trzeba zwrócić.

—Myślałem o większej sumie — odparł poważnie. — Myślałem o pięciuset dolarach.

—I co pan spodziewa się za to kupić ?

Przysunął się blisko mnie. Jego oczy były poważne i zimne, ale nie twarde.



—Czy w mieszkaniu Lavery’ego jest jeszcze coś poza pistoletem, co wskazywałoby, że Crystal była tam ostatnio ?

—Biało—czarna sukienka i kapelusz, który opisał boy w Bernardino. Może być tuzin innych rzeczy, których nie znam. Z pewnością mogą być odciski palców. Pan mówi, że nigdy nie ściągano jej odcisków palców, ale to nic nie znaczy, bo oni znajdą jej odciski palców. W tej sypialni w pańskim domu będzie ich pełno. Tak samo w domu przy jezioru. I w jej samochodzie.

—Powinniśmy odebrać ten samochód — zaczął mówić.

Przerwałem mu.

—Nie da to żadnej korzyści. Za dużo innych miejsc. Jakich perfum ona używa ?

Przez chwilę zastanawiał się.

—Och ... Gillerlain Regal, szampan perfum — powiedział drewniano. — Niekiedy Chanel numer jeden. A jakie są te pańskie ?

—Rodzaj chypre’u. Chypre sandałowy. Cała sypialnia tym śmierdzi — oświadczyłem. — Zdawało mi się, że to coś taniego. Ale ja nie sędzia w tych sprawach.

—Taniego ? — spytał z urazą. — Mój Boże, taniego ? Dostajemy po trzydzieści dolarów za uncję !

—Może być, ale dla mnie to pachniało jak po trzy dolary za beczkę.

Opuścił rękę na kolana i potrząsnął głową.

—Mówmy o interesach — powiedział. — Pięset dolarów. Czek wypisuję natychmiast.

Puściłem tę uwagę mimo uszu. Jeden z oldboyów zgrzebał się na nogi i smutno pokuśtykał z pokoju.

Kingsley kontynuował ciężko:

—Wynajęłem pana, żeby mnie pan uchronił od skandalu i oczywiście chronił moją żonę, gdyby tego potrzebowała. Nie z pańskiej winy możliwość uniknięcia skandalu wybitnie się zmniejszyła. Teraz chodzi o głowę mojej żony. Nie wierzę, żeby ona zabiła Lavery’ego. Nie ma rozumowych podstaw do tej wiary. W ogóle żadnych. Tylko czuję tak. Możliwe, że nawet była tam dzisiejszej nocy, że ten pistolet może być jej pistoletem. To nie dowodzi, że ona go zabiła. Ona mogła być tak niedbała z pistoletem jak ze wszystkim innym. Ktoś mógł zawładnąć tym pistoletem.

—Policjanci z miasta nie będą się zbyt męczyć, żeby w to uwierzyć — powiedziałem. — Jeśli ten, którego spotkałem, jest typowy, to złapią pierwszą ofiarę z brzegu i zaczną nad nią wymachiwać swymi pałami. A ona będzie prawdopodobnie pierwszą ofiarą, jaką zobaczą, gdy obejrzą sobie całą sytuację.

Znowu zaczął pocierać napiętki dłoni. Jego nieszczęście miało jakiś teatralny posmak, jaki prawdziwe nieszczęście rzadko miewa.

—Zgadzam się z panem pod jednym względem — rzekłem. — Dowody są tu nieco za dobre jak na pierwszy rzut oka. Zostawia suknie w jakich ją widziano, i co do których można łatwo ustalić, że są jej własnością. Zostawia pistolet na schodach. Trudno pomyśleć, że byłaby aż tak głupia.

—Dodaje mi pan trochę serca — odezwał się smutno Kingsley.

—Ale to wszystko nic nie znaczy — zastrzegłem się. — Ponieważ pan patrzy na to pod kątem pewnego rozumowania, a ludzie, którzy popełniają zbrodnie z namiętności czy nienawiści, po prostu popełniają je i wychodzą. Wszystko, co słyszałem, wskazuje, że ona jest

głupia. Nie ma śladu planowania w miejscu zabójstwa. Każdy szczegół świadczy o kompletnym braku planowania. Ale gdyby nie było tam nawet żadnego śladu pańskiej żony, policja będzie ją wiązać z Lavery'm ... Zbadają jego życie, jego przyjaciół, jego kobiety. Jej nazwisko pojawi się w którymś punkcie śledztwa, a gdy to się stanie, fakt, że nie wiadomo, co się z nią działo przez miesiąc, spowoduje, że policjanci usiądą i zaczną z radością zacierać swe twarde łapy. I oczywiście sprawdzą, czyj to pistolet, a jak się okaże, że należał do niej...

Jego ręka sięgnęła po pistolet na fotelu.

—Nic z tego — zaprotestowałem. — Muszę mieć ten pistolet. Marlowe może być bardzo równy chłopak i bardzo panu przyjazny osobiście, ale nie może zaryzykować ukrywania tak zasadniczych dowodów jak pistolet, z którego zabito człowieka. Cokolwiek robię, robię to na tej podstawie, że pana żona będzie oczywiście podejrzana, ale że ta oczywistość może okazać się fałszywa.

Stęknął i zdjął swą wielką łapę z pistoletu. Wziąłem go i schowałem. Potem wyjąłem go znowu i rzekłem:

—Niech mi pan pożyczy chusteczki. Nie chcę używać swojej. Mogą mnie rewidować.

Podał mi sztywną białą chusteczkę, a ja ostrożnie wytarłem pistolet i wsadziłem go do kieszeni. Oddałem mu chusteczkę.

—Moje odciski mogą być — wyjaśniłem. — Ale nie chciałbym pańskich. Tylko jedno mogę zrobić: wrócić tam, położyć pistolet i zawołać policję. Opowiedzieć im, co się da, i patrzeć, jak sprawa dalej się potoczy. Wszystko wyjdzie na wierzch: co tam robiłem i dlaczego. W najgorszym wypadku ją znajdą i udowodnią, że ona go zabiła. Pocieszające jest, że znajdą ją o wiele szybciej, niż ja mógłbym to zrobić, co pozwoli mi użyć swojej energii na zebranie dowodów, że ona go nie zabiła, a co w ostatecznym rezultacie oznacza, że zabił go ktoś inny. Zgadza się pan na to ?

Z wolna kiwnął głową.

—Tak ... a pięć setek stoi nadal. Za wykazanie, że Crystal go nie zabiła.

—Nie spodziewam się ich zarobić — odparłem. — Lepiej, żeby pan to zawczasu zrozumiał. Czy panna Fromsett знаła dobrze Lavery'ego ? Poza godzinami biurowymi ?

Twarz jego wyciągnęła się jak pysk konia. Ręce na biodrach zacisnęły się w twarde pięści. Nie powiedział nic.

—Wyglądała dość dziwnie, gdy ją wczoraj pytałem o jego adres — powiedziałem.

Z wolna odetchnął.

—Zupełnie, jakby miała zły smak w ustach — dodałem. — Jak po romansie, który przeminął. Czy stawiam sprawę zbyt szczerze ?

Jego nozdrza zadrżały nieco i przez chwilę oddychał głośno. Potem uspokoił się i powiedział:

—Ona ... ona znała go raczej... w swoim czasie. To jest dziewczyna, która robi to, co się jej podoba pod tym względem. Lavery, sądzę, był fascynującym facetem dla kobiet.

—Muszę z nią porozmawiać — powiedziałem.

—Dlaczego ? — spytał krótko. Czerwone plamy pojawiły się na jego policzkach.

—Co pana obchodzi, dlaczego ? To moja robota zadawać wszelkiego rodzaju pytania wszelkiego rodzaju ludziom.

—W takim razie niech pan z nią pomówi — powiedział zduszonym głosem. — Faktem jest, że znała Almore'ów. Znała żonę Almore'a, tę, która się zabiła. Lavery znał ją również ... Czy to może ma jakiś związek z naszą sprawą ?

—Nie wiem. Pan się w niej kocha, co ?

—Ożeniłbym się z nią jutro, gdyby to było możliwe — stwierdził sztywno.

Kiwnąłem głową i wstałem. Spojrzałem po sali. Była teraz prawie pusta. W przeciwległym końcu dwa antyki jeszcze dmuchały przez nos. Reszta facetów z miękkich foteli powlekła się do tej roboty, jaką się zajmują, gdy są przytomni.

—Jest tylko jedna sprawa — powiedziałem spoglądając na Kingsleya. — Gliny zawsze się wściekają, kiedy następuje zwłoka w wezwaniu ich po morderstwie. Tym razem była zwłoka i będzie jeszcze większa. Pojadę tam, jakby to była pierwsza wizyta w ciągu dzisiejszego dnia. Myślę, że da się to zrobić, kiedy nie wspomnę o tej pani Fallbrook.

—Fallbrook ? — Zdaje się, że nie bardzo nawet słyszał, co mówię. — Kto u diabła ... Och, tak, pamiętam.

—Lepiej, żeby pan nie pamiętał. Jestem prawie pewny, że od niej nie usłyszą ani słowa. Wygląda na kobietę, która woli nie mieć nic do czynienia z policją z własnej ochoty.

—Rozumiem.

—Więc niech pan zachowuje się odpowiednio. Będą panu zadawali pytania, zanim się pan dowiedział, że Lavery nie żyje, zanim mi było wolno z panem się porozumieć ... Tak, jak to policja sobie wyobraża. Niech pan nie wpada w żadne zasadzki. Jeśli nie będzie pan tak postępował, nie dam rady nic wykryć. Będę siedział w kryminale.

—Przecież mógł pan do mnie zadzwonić z tamtego domu. Zanim pan wezwał policję — zauważył rozsądnie.

—Wiem. Ale faktem jest, że to nie będzie świadczyło na moją korzyść. A poza tym oni sprawdzą zaraz na samym początku wszystkie telefony. A gdybym dzwonił do pana z innego miejsca, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że przyszedłem tu, żeby się z panem zobaczyć.

—Rozumiem. Może pan mi zaufać. Dam sobie z tym radę.

Potrząsnęliśmy sobie ręce. Ja poszedłem, a on został.

## Rozdział XVIII

Klub Atletyczny mieścił się na rogu ulicy, a mniej więcej w połowie drogi do przecznicy stał gmach Treolar. Przeszedłem przez jezdnię do wejścia. Skończyli właśnie układanie różowego cementu na miejscu zdjętego kauczukowego chodnika. Nowo założona nawierzchnia była ogrodzona i pozostawiono tylko wąskie przejście do budynku. Tłoczyli się teraz pracownicy wracający z obiadu.

Hall Gillerlain Company wyglądał nawet jeszcze bardziej pusto niż poprzedniego dnia. Ta sama roztrzepana mała blondynka siedziała w rogu za centralką telefoniczną. Uśmiechnęła się do mnie szybko, a ja pozdrowiłem ją po bandycku: wymierzyłem w nią wyprostowany wskazujący palec, trzy dolne palce zgięte pod nim, a kciuk poruszał się w górę i w dół jak

kurek rewolweru bandyty z Dzikiego Zachodu. Śmiała się serdecznie, ale bezdźwięcznie. To chyba był najlepszy żart, jaki widziała od tygodnia.

Pokazałem na puste biurko panny Fromsett, a mała blondynka kiwnęła głową, włączyła wtyczkę i zaczęła mówić. Otworzyły się drzwi i panna Fromsett podpłynęła elegancko do swego biurka, usiadła i spojrzała na mnie z chłodnym oczekiwaniem.

— Słucham, panie Marlowe. Zdaje się, że pan Kingsley jest nieobecny.

— Właśnie od niego wracam. Gdzie porozmawiamy ?

— Porozmawiamy ?

— Mam pani coś do pokazania.

— Tak ? — Spojrzała na mnie z namysłem. Prawdopodobnie wielu chłopaków próbowało pokazywać jej różne rzeczy, nie wyłączając pornograficznych obrazków. W innym czasie sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby z nią pożartować.

— Interes — powiedziałem. — Sprawa pana Kingsleya.

Wstała i otworzyła furtkę w barierze.

— W takim razie możemy wejść do jego gabinetu.

Weszliśmy. Przytrzymała mi drzwi. Gdy przechodziłem, wciągnąłem powietrze. Poczulem drzewo sandałowe.

— Gillerlain Regal, szampan perfum ?

Uśmiechnęła się delikatnie, przytrzymując drzwi.

— Z mojej pensji ?

— Nic nie mówiłem o pani pensji. Nie wygląda pani na kobietę, która sama musi kupować sobie perfumy.

— Właśnie, że tak jest — powiedziała. — A jeśli pan chce wiedzieć, to nie znoszę perfum w biurze. To jego zapach.

Weszliśmy do długiego, ponurego gabinetu, a ona usiadła w fotelu przy biurku. Ja usiadłem tam, gdzie siedziałem wczorajszego dnia. Patrzyliśmy na siebie. Dziś była ubrana na brązowo, z marszczonym żabotem przy szyi. Wyglądała nieco cieplej, ale bynajmniej nie jak pożar prerii.

Poczęstowałem ją jednym z papierosów Kingsleya. Wzięła go, zapaliła dyrektorską zapalniczką i usiadła wygodniej.

— Nie potrzebujemy tracić czasu na owijanie spraw w bawełnę — powiedziałem. — Pani wie teraz, kto ja jestem i co robię. Jeśli nie dowiedziała się pani o tym wczoraj rano, to tylko dlatego, że on lubi udawać wielkiego dyrektora.

Spojrzała na swoją rękę, leżącą na kolanie, a potem podniosła oczy i uśmiechnęła się prawie nieśmiało.

— On jest naprawdę niezwykłym człowiekiem — powiedziała. — Czasami lubi grać rolę despoty, ale zwodzi tym tylko samego siebie. A gdyby pan wiedział, ile on wycierpiał od tej swojej ... — Machnęła papierosem. — Zresztą może nie będę o tym mówiła. W związku z czym pan się chciał ze mną widzieć ?

— Kingsley powiedział, że pani znała państwa Almore.

— Znałam panią Almore. To znaczy, spotkałam ją dwa razy.

— Gdzie ?

— W domu pewnego znajomego. Bo co ?

— W domu Lavery'ego ?

—Czy pan chce mnie obrażać, panie Marlowe ?

—Nie wiem, co pani uważa za obrażę. Mam zamiar mówić o interesach, a interesy to nie międzynarodowa dyplomacja.

—Bardzo dobrze — skinęła lekko głową. — W domu Chrisa Lavery. Tak jest. Kiedyś tam chodziłam. Urządzał przyjęcia towarzyskie.

—W takim razie Lavery znał państwa Almore, czy przynajmniej panią Almore.

Poczerwieniała lekko.

—Tak. Dość dobrze.

—I mnóstwo innych kobiet... też dość dobrze. Nie mam żadnych wątpliwości. Czy pani Kingsley znała ją również ?

—Tak. Lepiej niż ja. Mówiły do siebie po imieniu. Pani Almore nie żyje, pan wie o tym. Popełniła samobójstwo mniej więcej półtora roku temu.

—Nie ma żadnych wątpliwości co do tego ?

Uniosła w górę brwi, ale to zdziwienie najwidoczniej było sztuczne. Zupełnie jakbym zadał pytanie, jakiego nie należy zadawać w przyzwoitym towarzystwie.

Spytała:

—Czy ma pan jakiś szczególny powód, by zadawać to pytanie w tak szczególny sposób ? Chciałam powiedzieć, czy to ma coś wspólnego z ... z tym, co pan robi ?

—Nie sądzę. W każdym razie jeszcze nie wiem. Ale wczoraj doktor Almore wezwał policjanta, tylko dlatego, że spojrzałem na jego dom. Gdy zorientował się z mojego numeru rejestracyjnego, kim jestem. Policjant potraktował mnie bardzo gburowato. Nie wiedział, co robię, a ja mu nic nie mówiłem, że mam sprawę do Lavery'ego. Ale doktor Almore powinien o tym wiedzieć. Widział mnie przed frontem domu Lavery'ego. Dlaczego uznał za stosowne wezwać policjanta ? I dlaczego policjant uważał za właściwe powiedzieć, że ostatni facet, który próbował doić forszę z Almore'a, skończył na przymusowych robotach ? I dlaczego policjant pytał mnie, czy jej rodzice — myśląc o rodzicach pani Almore — mnie wynajęli ? Jeśli pani może odpowiedzieć na któreś z tych pytań, chciałbym rozstrzygnąć, czy się to łączy z moją sprawą.

Przez chwilę zastanawiała się i rzuciła na mnie szybkie spojrzenie, a potem znowu spojrzała w bok.

—Spotkałam panią Almore zaledwie dwa razy — powiedziała z namysłem. — Ale sądzę, że mogę odpowiedzieć na pana pytania i to na wszystkie. Ostatni raz spotkałam ją w domu Lavery'ego, jak już wspomniałam i było tam wtedy dużo ludzi. Dużo się piło i hałasowało. Kobiety przyszły bez mężów, a mężczyźni bez żon, jeśli je nawet mieli. Był tam niejaki pan Brownwell, który sobie bardzo podpił. Słyszałam, że teraz służy w marynarce. Bardzo naciskał panią Almore o praktykę jej męża. Wyglądało na to, że uważa, iż jest on jednym z tych doktorów, którzy przez całą noc biegają z zastrzykami, ażeby uchronić miejscowe grube ryby przed inwazją białych myszy i różowych słoni. Florence Almore powiedziała, że nie obchodzi ją, jak jej mąż zarabia pieniądze, póki ma ich dużo, a ona może je wydawać. Była również podpita i nie sądzę, żeby nawet po trzeźwemu należała do zbyt sympatycznych osób. Była to jedna z tych kobiet, które wszystko poświęcają dla efektu, śmieją się za dużo, rozpierają się w fotelach pokazując przy tym spory kawałek uda. Bardzo jasna blondynka z bardzo niebieskimi i nieprzyzwoicie wielkimi dziecięcymi oczami. Brownell powiedział jej, żeby się nie martwiła, bo za tego rodzaju robotę zawsze leci forsa. Wizyta u pacjenta

piętnaście minut i za każdym razem od dziesięciu do piętnastu dolarów. Ale tylko jedna rzecz go martwi, jak powiedział: jak doktor może zarobić tyle pieniędzy bez kontaktów ze światem podziemnym. Zapytał panią Almore, czy dużo przystojnych gangsterów przychodzi do niej na obiady. Rzuciła mu kieliszek whisky w twarz.

Ja się uśmiechnąłem, ale panna Fromsett nie. Zgniotła papierosa na wielkiej miedziano-szklanej popielniczkę Kingsleya i spojrzała na mnie z uwagą.

—Pięknie — zauważyłem. — Kto by nie rzucił, jeśli nie może rzucić się z pięściami ?

—Tak. W parę tygodni później Florence Almore znaleziono nad ranem martwą w garażu. Drzwi garażu były zamknięte, a motor chodził na luzie. — Zatrzymała się i lekko zwilżyła wargi. — Znalazł ją Chris Lavery wracając do domu o Bóg wie której godzinie nad ranem. Leżała na betonowej posadzce w pidżamie z głową przykrytą kocem, który jednocześnie przykrywał rurę wydechową samochodu. Pana Almore nie było. O całej sprawie nic nie pisano w gazetach, poza tym, że zmarła nagle. Wszystko zostało zatuszowane.

Uniosła nieco złożone dłonie, a potem opuściła je z wolna na kolana. Spytałem:

—Czy w takim razie coś w tym było nie w porządku ?

—Ludzie opowiadali różne rzeczy, ale jak to ludzie. W pewien czas później usłyszałam coś, co ustawiło całą sprawę. Spotkałam tego Brownwella na ulicy i poprosił mnie, żebym się z nim czegoś napiła. Niezbyt go lubiłam, ale właśnie miałam pół godziny wolnego czasu. Usiedliśmy w tylnej salce baru Lavery'ego, a Brownwell mnie spytał, czy pamiętam tę dzidzię, która rzuciła w niego kieliszkiem. Powiedziałam, że pamiętam. Potem rozmowa pomoczyła się mniej więcej w ten sposób. Przypominam ją sobie bardzo dobrze:

Brownwell rzekł: „Nasz przyjaciel Lavery trafił na złotą żyłę. Jak tylko kiedykolwiek skończy z dziewczynkami, będzie miał forsy, ile dusza zapagnie”.

Ja na to: „Nie rozumiem pana”.

On: „Diabła tam, może pani tylko nie chce rozumieć”. Tamtej nocy, kiedy żona Almore'a umarła, była najpierw w tej speluncie Lou Condy'ego i zgrała się do koszuli na ruletce. Dostała hysterii i powiedziała, że koła są specjalnie skrzywione i zrobiła scenę. Condy musiał ją siłą wyciągnąć do swego gabinetu. Skomunikował się z doktorem Almore przez Izbę Lekarską i po chwili doktor zjawił się we własnej osobie. Dał jej jeden z tych swoich zastrzyków. Potem odjechał pozostawiając Condy'emu odtransportowanie jej do domu. Wyglądało na to, że ma jakiś bardzo nagły przypadek. Więc Condy odwiózł ją do domu, a prywatna pielęgniarka Almore'a zjawiła się, zawezwana przez doktora. Condy wniósł żonę Almore'a na górę, a pielęgniarka włożyła ją do łóżka. Condy wrócił do swoich liczmanów. Więc musieli ją wnosić do łóżka i tej samej nocy wstała, zeszła do rodzinnego garażu i wykończyła się spalinami z motoru ! Co pani o tym sądzi ?— spytał mnie Brownwell.

Odpowiedziałam: „Nic o tym nie wiedziałam. Skąd pan wie” ?

On na to: „Znam reportera z tej szmaty, którą tu nazywają gazetą. Nie było dochodzenia ani sekcji. Jeśli przeprowadzono jakieś badania, nikt o nich nie wie. Nie ma tu regularnego koronera. Przedsiębiorcy pogrzebowi są koronerami na zmianę co tydzień. Oczywiście jedzą z ręki politycznym gangom. Łatwo załatwić takie rzeczy w małym mieście, kiedy ktoś ma forsy i chce coś załatwić. A Condy chciał i miał forsy. Wolał, by nie ogłaszano wyników dochodzenia, a doktor również wolał”.

Panna Fromsett przestała mówić i czekała, żebym się odezwał. Kiedy się nie odezwałem, ciągnęła dalej: — Przypuszczam, że pan wie, co Brownwell chciał przez to powiedzieć.

—Oczywiście, Almore ją wykończył, a potem on i Condy dali łapówkę, żeby sprawę zatrzeć. Takie rzeczy robiono w przyzwoitszych miasteczkach niż Bay City. Ale to chyba jeszcze nie koniec.

—Nie. Zdaje się, że rodzice pani Almore wynajęli prywatnego detektywa. Był to człowiek, który pełnił służbę nocnego strażnika, i który jako drugi pojawił się na miejscu wypadku, zaraz po Chrisie. Brownwell mówił, że on miał jakieś informacje, ale nigdy nie zdołał ich wykorzystać. Aresztowali go za jazdę po pijanemu i został skazany na więzienie.

Spytałem: — To wszystko ?

Skinęła głową.

—A jeśli pan sądzi, że pamiętam to za dobrze, to muszę powiedzieć, że pamiętanie rozmów należy do moich obowiązków.

—To, co myślałem, biegło w, zupełnie innym kierunku: myślałem, że wielu punktów tu jeszcze brakuje. Nie widzę, w jakim stopniu to wszystko dotyczy Lavery'ego, jeśli nawet to on ją znalazł. Pani gadatliwy znajomy Brownwell uważał prawdopodobnie, że to co się zdarzyło, dawało komuś możliwość szantażowania doktora. Ale na to trzeba byłoby mieć jakieś konkretniejsze dowody, zwłaszcza jeśli się chce szantażować człowieka, który już załatwił sprawę z policją.

—Ja również tak sądzę — odparła panna Fromsett. — A poza tym chciałabym wierzyć, że szantaż należy do tych rzeczy, których Chris Lavery nie uprawia. Uważam, że to byłoby wszystko, co mogę panu powiedzieć, panie Marlowe. Powinnam już pójść do pracy.

Chciała wstać. Ja powiedziałem:

—To jeszcze nie wszystko. Mam pani coś pokazać.

Wyjąłem z kieszeni perfumowaną szmatkę, którą znalazłem pod poduszką Lavery'ego i pochyliłem się, by ją rozłożyć na biurku przed panną Fromsett.

## Rozdział XIX

Popatrzyła na chusteczkę, popatrzyła na mnie, wzięła ołówek i nie zaostrzonym końcem przewróciła mały kawałek płótna.

—Czym to pachnie ? — spytała. — Woda fryzjerska ?

—Myślałem, że to jakiś rodzaj drzewa sandałowego.

—Tani produkt syntetyczny. Świństwo to łagodne określenie na tego rodzaju perfumy. A dlaczego chciał pan, żebym spojrzała na tę chusteczkę, panie Marlowe ?

Znowu cofnęła się i patrzyła na mnie spokojnymi chłodnymi oczyma.

—Znalazłem to w domu Lavery'ego, pod poduszką na jego łóżku. Są na niej inicjały.

Rozłożyła chusteczkę dotykając jej drugim końcem ołówka. Twarz jej stała się bardzo poważna i pełna napięcia.

—Są tu wyhaftowane dwie litery — odezwała się chłodnym, gniewnym tonem. — Przypadkowo odpowiadają one moim inicjałom. Czy o to panu chodzi ?

—Słusznie — potwierdziłem. — On prawdopodobnie zna pół tuzina kobiet z tymi samymi inicjałami.

—Mimo wszystko pan jest nieprzyzwoity — powiedziała spokojnie.

—Czy to pani chusteczka, czy nie ?

Zawahała się. Bardzo spokojnie wzięła drugiego papierosa i zapaliła zapałką. Z wolna potrząsnęła zapałką patrząc na pelzający po drewnianym płomień.

—Tak, moja. Musiałam ją tam zgubić. To już bardzo dawno. I zapewniam pana, że nie ja ją włożyłam pod poduszkę jego łóżka. Czy o to panu chodziło ?

Nie odpowiedziałem nic.

—To musiała tam zostawić jakaś kobieta, która lubi takie perfumy — dodała ona.

—Wypracowałem sobie w wyobraźni obraz tej kobiety — rzekłem. — I coś bardzo mi ona pasuje do Lavery'ego.

Ściągnęła nieco górną wargę. Miała długą górną wargę, taką jak lubię.

—Sądzę — powiedziała — że powinien pan jeszcze trochę popracować w wyobraźni nad portretem Chrisa Lavery'ego. Wszelkiego rodzaju oznaki subtelności, jakie pan mógł zauważyć, są często przypadkowe.

—To nieładnie tak mówić o umarłym — rzekłem.

Przez chwilę siedziała tylko i patrzyła, jakbym nie powiedział nic, jakby czekała, żebym się odezwał. Nagle lekkie drżenie zaczęło się od szyi i przeszło przez całe jej ciało. Ręce zacisnęły się, a papieros zgął się jak haczyk. Spojrzała na niego i wyrzuciła do popielniczki szybkim ruchem ręki.

—Został zastrzelony pod natryskiem — dodałem — i wygląda, jakby to zrobiła jakaś kobieta, która spędziła u niego noc. Ta kobieta zostawiła pistolet na schodach i tę chusteczkę pod poduszką.

Poruszyła się bardzo lekko na fotelu. W oczach miała całkowitą pustkę. Twarz jej była tak chłodna jak rzeźba.

—I pan oczekuje, żebym panu udzieliła informacji pod tym względem ? — spytała gorzko.

—Niech pani słucha. Pragnąłbym być miły, grzeczny i subtelny w tych wszystkich sprawach. Chętnie bym bawił się w gry towarzyskie, gdyby ktoś w rodzaju pani pragnął się w nie bawić. Ale nikt mi na to nie pozwoli — ani klienci, ani policja, ani ludzie, przeciwko którym gram. Jakbym się nie starał być uprzejmy, zawsze kończę z nosem w błocie, dusząc kogoś za gardło.

Kiwnęła głową, jakby mnie prawie wcale nie słuchała.

—Kiedy go zastrzelono ? — spytała i znowu zadrżała lekko.

—Sądzę, że dziś rano. Niedługo potem, jak wstał. Tylko co zdążył się ogolić i miał zamiar wziąć natrysk.

—To musiało być prawdopodobnie dość późno — powiedziała. — Jestem tu od godziny ósmej trzydzieści.

—Nie myślę, że to pani go zastrzeliła.

—To bardzo uprzejmie z pana strony. Ale to jest moja chusteczka, aczkolwiek nie moje perfumy. Jednak nie sądzę, aby policjanci byli zbyt wrażliwi na jakość perfum albo na cokolwiek innego.

—Nie ... I dotyczy to również prywatnych detektywów. Czy bardzo to panią cieszy ?

—Boże ! — krzyknęła i przyłożyła gwałtownie wierzch dłoni do ust.



—Strzelano do niego pięć czy sześć razy. Trafiono tylko dwa. Był wtłoczony w kabinę natrysku. Wyobrażam sobie, że musiała się rozegrać ponura scena. Musiało tam być mnóstwo nienawiści u jednej ze stron. Albo też bardzo wyrachowany chłodny umysł.

—Łatwo go było nienawidzić — powiedziała bezdźwięcznie. — I ogromnie łatwo kochać. Kobiety, nawet rozsądne kobiety, robią takie potworne omyłki co do mężczyzn.

—Wszystko, co pani mówi, wskazuje na to, że kiedyś go pani kochała i że to nie pani go zastrzeliła.

—Tak? — jej głos był teraz przytłumiony, lecz mocny, jak perfumy, których nie lubiła używać w biurze. — Jestem przekonana, że uszanuje pan zaufanie. — Roześmiała się krótko i gorzko. — Nie żyje — powiedziała. — Biedny, egoistyczny, płytki, brzydki, śliczny, niewierny chłopiec. Nieżywy, zimny i zamordowany. Nie, panie Marlowe, ja go nie zastrzeliłam.

Czekałem dając jej czas, by przyszła do siebie. Po chwili spytała spokojnie:

—Czy pan Kingsley wie ?

Skinałem głową.

—I policja, oczywiście.

—Jeszcze nie. Przynajmniej nie ode mnie. Ja go znalazłem. Drzwi domu nie były zamknięte. Wszedłem. Znalazłem go.

Znowu wzięła ołówek i poruszyła nim chusteczkę.

—Czy pan Kingsley wie o tej perfumowanej szmatce ?

—Nikt o niej nie wie, z wyjątkiem pani i mnie, i tego kogoś, kto ją tam włożył.

—To ładnie z pana strony — zauważyła sucho. — I ładnie, że pan w ten sposób myślał.

—Ma pani pewien rodzaj rezerwy i godności, jaką lubię — powiedziałem. — Ale to nie jest sprawa zasadnicza. Co pani chciałaby, żebym pomyślał ? Miałem wyciągnąć chusteczkę spod poduszki, powąchać ją, obejrzeć i powiedzieć: „Tak, tak, inicjały panny Adriany Fromsett i w ogóle. Panna Fromsett musiała znać Lavery’ego, być może bardzo intymnie. Powiedzmy dla ścisłości, tak intymnie, jak tylko mój malutki, ograniczony mózdzek może sobie wyobrazić. A to znaczyłoby, że bardzo intymnie. Ale to jest tani syntetyczny zapach drzewa sandałowego, a panna Fromsett nie używa tanich perfum. I to było pod poduszką Lavery’ego, a panna Fromsett nigdy nie kładzie chusteczek pod poduszkę mężczyzny. Tak więc to absolutnie nie ma żadnego związku z panną Fromsett. To po prostu złudzenie optyczne”.

—Och, niech pan przestanie !

Uśmiechnąłem się.

—Za kogo mnie pan uważa ? — parsknęła.

—Zjawilem się za późno, żeby to pani powiedzieć.

Zarumieniła się, ale delikatnie i tym razem na całej twarzy. Następnie spytała:

—Czy ma pan jakąś teorię, kto to mógł zrobić ?

—Teorię tak, ale to i wszystko. Obawiam się, że policja będzie to uważała za bardzo proste. Niektóre z sukien pani Kingsley wiszą w szafie Lavery’ego. A gdyby znali całą historię — włączając to, co się zdarzyło przy Jeziorku Jelonków wczoraj — obawiam się, że po prostu wyciągną kajdanki. Oczywiście muszą ją najpierw znaleźć. Ale to nie będzie dla nich zbyt trudne.

—Crystal Kingsley — odezwała się głucho. — Więc nawet tego mu los nie zaoszczędził.

Powiedziałem: — Niekoniecznie musiała to być ona. Motywy zabójstwa mogły być zupełnie inne, o których zupełnie nie wiemy. Mógł go zabić ktoś w rodzaju doktora Almore.

Spojrzała na mnie szybko, a potem potrząsnęła głową.

— To jest zupełnie możliwe — nastawałem. — Nie mamy żadnych powodów, by nie brać tego w rachubę. Wczoraj był zbyt zdenerwowany, jak na człowieka, który nie ma nic do ukrywania. Ale, oczywiście, nie tylko ludzie winni się boją.

Wstałem i bębniłem palcami po krawędzi biurka spoglądając na nią. Miała bardzo ładną szyję. Wskazała na chusteczkę.

— A co z tym ? — spytała stłumionym głosem.

— Gdyby to było moje, postarałbym się sprać ten zapach.

— To ma jakieś znaczenie, prawda ? To jest dowód.

Roześmiałem się.

— Nie sądzę, żeby to miało w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Kobiety zazwyczaj sieją swoje chusteczki naokoło. Człowiek tego typu, co Lavery, mógł je zbierać i trzymać w szufladzie pachnącej drzewem sandałowym. Ktoś mógł znaleźć ten zapas i wziąć do swego użytku. Albo może Lavery pożyczał tych chusteczek, ciesząc się z reakcji na inicjały innych dziewcząt. Przypuszczałbym raczej, że był on takim nicponiem. Do widzenia, panno Fromsett, i dziękuję za rozmowę.

Ruszyłem już ku drzwiom, gdy nagle zatrzymałem się i spytałem:

— Czy słyszała pani nazwisko reportera, który dostarczył Brownwellowi tych wszystkich informacji ?

Potrząsnęła głową.

— Albo nazwisko rodziców pani Almore ?

— Tego również nie wiem. Ale możliwe, że będę mogła to dla pana ustalić. Zrobię to bardzo chętnie.

— Jak ?

— Tyle rzeczy zwykle drukuje się w nekrologach, prawda ? Jest pewne, że były nekrologi w gazetach wychodzących w Los Angeles.

— To bardzo miłe z pani strony — powiedziałem. Pociągnąłem palcem po krawędzi biurka i spojrzałem na nią z ukosa. Błada cera koloru kości słoniowej, ciemne i piękne oczy, włosy tak puszyste, jak tylko mogą być, i tak czarne, jak czarna może być noc.

Wyszedłem z gabinetu. Mała blondynka przy centralce spojrzała na mnie z oczekiwaniem, rozchylając małe czerwone wargi. Spodziewała się nowego kawału.

Nie zrobiłem żadnego kawału. Wyszedłem.

## Rozdział XX

Przed frontem domu Lavery'ego nie stały samochody policyjne, nikt nie spacerował po chodniku, a gdy otworzyłem frontowe drzwi, wewnątrz nie poczułem dymu cygar ani papierosów. Słońce zeszło z okien, a jakaś mucha brzęczała delikatnie nad jedną ze szklanek po whisky. Podszedłem aż do klatki schodowej i spojrzałem w dół. Nic się nie ruszało w

domu pana Lavery. Nie słychać było żadnego dźwięku, poza delikatnym szmerem wody, która ściekała spokojnie na ramię zabitego mężczyzny w łazience.

Podszedłem do telefonu, znalazłem numer wydziału policji w magistracie. Nakręciłem numer i czekając, aż ktoś się odezwie, położyłem mały pistolet przy telefonie.

Odezwał się męski głos: — Policja miejska Bay City. Mówi Smoot.

Powiedziałem: — Była jakaś strzelanina pod numerem 623, ulica Altair. Mieszkał tu niejaki Lavery. Nie żyje.

—623 Altair. Kto pan jest ?

—Moje nazwisko Marlowe.

—Jest pan w tym domu ?

—Tak.

—Proszę niczego nie dotykać.

Odłożyłem słuchawkę, usiadłem na otomanie i czekałem.

Czekałem niezbyt długo. W oddali zawyła syrena i wycie stawało się coraz głośniejsze. Na rogu ulicy zaskrzypiały opony, a jęczenie syreny ścichło do metalicznego mruku, potem zamarło zupełnie, a opony skrzypnęły przed domem. Policja Bay City oszczędzała gum. Dały się słyszeć kroki na chodniku, a ja podszedłem do drzwi frontowych i otworzyłem je.

Dwóch umundurowanych policjantów wpadło do środka. Byli jak zwykle solidnych rozmiarów, mieli jak zwykle zniszczone twarze i podejrzliwe oczy: Jeden z nich miał zatknięty przy czapce goździk, tuż za prawym uchem. Stali i patrzyli na mnie niechętnie, a starszy z nich zapytał krótko:

—Dobra, gdzie on jest ?

—Na dole w łazience, za zasłoną natrysku.

—Zostań tu z nim, Eddie.

Gwałtownie przeszedł przez pokój i zniknął. Drugi patrzył na mnie uporczywie i powiedział kątem ust:

—Tylko trzymaj ręce przy sobie, kolego.

Usiadłem znowu na otomanie. Policjant potoczył wzrokiem po pokoju. Słychać było kroki na schodach. Nagle policjant odkrył pistolet leżący na stole. Rzucił się na niego gwałtownie jak jastrząb.

—To z tego go zabili ? — krzyknął prawie.

—Tak sobie wyobrażam. W każdym razie strzelano z tego pistoletu.

—Ha! — nachylił się nad pistoletem wyszczerzając nad nim zęby i sięgnął do kabury. Jego palec oparł się na bezpieczniku, a ręka ujęła kolbę czarnego rewolweru.

—Co sobie wyobrażasz ? — szczerknął.

—Wyobrażam sobie, że tak.

—To bardzo dobrze — warknął szyderczo — to rzeczywiście bardzo dobrze.

—To wcale nie jest tak bardzo dobrze — powiedziałem.

Cofnął się trochę do tyłu.

—Dlaczego go zastrzełeś ? — ryknął.

—Właśnie się namyślam.

—A, taki z ciebie filozof!

—Pozwólcie mi po prostu siedzieć i czekać na chłopaków z oddziału zabójstw — powiedziałem. — Przed nimi się będę tłumaczył.

—Tylko mi tu nie pajacuj — on na to.

—Ja nie pajacuję. Gdybym go zastrzelił, nie byłbym tutaj. Nie telefonowałbym. Pan by nie znalazł pistoletu. Niech pan tak ciężko nie pracuje nad tą sprawą. Nie dadzą się panu nią zajmować dłużej jak dziesięć minut.

Przybrał obrażony wyraz twarzy. Zdjął czapkę, a goździk upadł na podłogę. Schylił się, podjął go i pokręcił między palcami, a potem rzucił za kratę kominka.

—Lepiej niech pan tego nie robi — ostrzegłem. — Wywiadowcy mogą pomyśleć, że to jakiś dowód rzeczowy, i zmarnują nad tym kupę czasu.

—O, cholera — pochylił się nad kratą, wyciągnął goździk i wsadził go do kieszeni. — Pan, widzę, jest bardzo oblatany, kolego.

Drugi policjant wrócił z poważnym wyrazem twarzy. Stał na środku pokoju, spojrzał na zegarek na ręku, zapisał coś w notesie, a potem wyrzwał przez frontowe okno, unosząc nieco wenecką żaluzję.

Ten, który został ze mną, zapytał:

—Mogę teraz spojrzeć ?

—Nie warto, Eddie. Nie ma tam dla nas nic do roboty. Zawiadomiłeś koronera ?

—Chyba ci z oddziału zabójstw to zrobią.

—Tak, racja. Kapitan Webber zajmie się tą sprawą, a on lubi wszystko robić sam. — Spojrzał na mnie i zapytał: — To pan jest niejaki Marlowe ?

Powiedziałem, że jestem niejaki Marlowe.

—Bardzo oblatany gość — powiedział Eddie.

Starszy policjant spojrzał na mnie nieprzytomnie, spojrzał na Eddiego nieprzytomnie, zauważył pistolet leżący na stole i spojrzał na niego nie całkiem nieprzytomnie.

—Tak, z tego go zabili — powiedział Eddie. — Nie ruszałem tego.

Drugi kiwnął głową.

—Chłopaki nie spieszą się dzisiaj.

—Pan z jakiej branży ? Jego przyjaciel ? — wskazał kciukiem na podłogę.

—Wczoraj pierwszy raz go zobaczyłem. Jestem prywatnym wywiadowcą z Los Angeles.

—Och! — spojrzał na mnie bardzo ostro. Drugi policjant przyglądał mi się ogromnie podejrzliwie.

—Diabli, to znaczy, że tu się zrobi cholerne zamieszanie — powiedział.

To była pierwsza sensowna uwaga od czasu, jak tu wszedł. Uśmiechnąłem się do niego czule.

Starszy policjant wyrzwał znów przez frontowe okno.

—To dom Almore'a po drugiej stronie ulicy, Eddie — zauważył. Eddie podszedł i wyrzwał razem z nim. — Rzeczywiście — potwierdził.

—Jest nazwisko na tabliczce. Słuchaj, ten facet na dole może być...

—Zamknij się — warknął drugi i opuścił wenecką żaluzję. Obaj się odwrócili i patrzyli na mnie drewnianym wzrokiem.

Dał się słyszeć nadjeżdżający samochód. Stał, trzasnęły drzwi i rozległy się czyjeś kroki na schodach. Starszy policjant otworzył drzwi i weszło dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn, z których jednego już znałem.

## Rozdział XXI

Pierwszy z wchodzących był, jak na policjanta, niedużego wzrostu, w średnim wieku, o szczupłej zmęczonej twarzy. Miał ostry nos, nieco skrzywiony w jedną stronę, jakby ktoś szturgnął go łokciem, gdy zaglądał, gdzie nie trzeba. Jego granatowy kapelusz siedział bardzo sztywno na głowie, a spod niego wyglądały białe jak kreda włosy. Był ubrany w ciemnobrązowy garnitur, ręce trzymał w bocznych kieszeniach marynarki wypychając je kciukami.

Za nim szedł Degarmo, wielki policjant z płowymi włosami, metaliczno-niebieskimi oczyma i dziko, ostro zarysowaną twarzą. Ten sam, któremu się nie podobało, że stałem przed frontem domu doktora Almore.

Obaj mundurowi zwrócili oczy na małego mężczyznę i przyłożyli ręce do czapek.

—Nieboszczyk jest na dole kapitanie. Trafiony dwa razy po kilku chybieniach, jak wygląda. Martwy od pewnego czasu. Ten facet nazywa się Marlowe. To prywatny tajniak z Los Angeles. Poza tym nie zadawałem mu pytań.

—Poniekąd słusznie — odezwał się ostro Webber. Miał podejrzliwy głos. Swe podejrzliwe oko przesunął po mojej twarzy i kiwnął krótko. — Jestem kapitan Webber — powiedział. — To jest porucznik Degarmo. Dobra, spojrzymy najpierw na ciało.

Przeszedł przez pokój. Degarmo popatrzył na mnie, jakby mnie nigdy przedtem nie widział, i poszedł za nim. Zeszli ze schodów, a starszy z mundurowych policjantów towarzyszył im. Policjant nazwany Eddie i ja przez chwilę przypatrywaliśmy się sobie nieruchomo.

Spytałem:

—Tu naprzeciwko jest dom doktora Almore, co ?

Wszelki wyraz zniknął z jego twarzy. Zresztą i tak nie miał go zbyt wiele.

—Tak, i co z tego ?

—Nic z tego — powiedziałem.

Milczał. Z dołu dochodziły głosy, przytłumione i niewyraźne. Policjant nastawił ucha i powiedział bardziej przyjaznym tonem.

—Pan sobie przypomina tamtą sprawę ?

—Trochę.

Roześmiał się.

—Ładnie skręcili łeb tamtej sprawie — rzekł. — Owinęli ją w bibułkę i schowali w najgłębszym kącie. Tam, gdzie nikt nie wścibi nosa.

—Tak i było — przyznałem. — Ciekawe dlaczego ?

Policjant spojrział na mnie poważnie.

—Były ważne powody. Nie myśl, kolego, że nie było. Znałeś dobrze tego Lavery'ego ?

—Nie bardzo.

—Śledziłeś go, kolego ?

—Trochę pracowałem nad nim — wyjaśniłem. Pan go znał ?

Policjant pokręcił głową.

—Nie. Pamiętam tylko, że jakiś facet z tego domu znalazł wtedy żonę Almore'a w garażu.

—Możliwe, że Lavery wtedy jeszcze tu nie mieszkał — powiedziałem.

— Jak to było dawno ?

— Nie wiem — odparłem.

— Chyba już z półtora roku — rzekł policjant leniwie. — Czy w gazetach w Los Angeles nie rozrabiali tej sprawy ?

— Pisali coś w dziale lokalnym — mruknąłem, żeby tylko poruszyć ustami.

Podrapał się po uchu i słuchał. Znów się rozległy kroki na schodach. Twarz policjanta natychmiast nabrała kamiennego wyrazu. Odszedł ode mnie i wyprostował się. Kapitan Webber popędził do telefonu i zaczął mówić, potem odjął słuchawkę od ucha i spojrzał przez ramię.

— Kto w tym tygodniu pełni funkcję koronera, Al ?

— Ed Garland — powiedział drewnianym głosem potężny porucznik.

— Wezwijcie Eda Garlanda — rozkazał Webber do telefonu. — Niech tu natychmiast przyjdzie. I wezwijcie sekcję techniczną.

Odłożył telefon i zaszczekał ostro: — Kto dotykał tego pistoletu ?

— Ja dotykałem — rzekłem.

Podszedł bliżej, zakołysał się przede mną na obcasach i zadarł swój ostry podbródek. W rękę delikatnie, przez chusteczkę, trzymał broń.

— Nie uczyli pana, że nie można dotykać broni znalezionej na miejscu zbrodni ?

— Oczywiście — potwierdziłem. — Ale wtedy, gdy jej dotknąłem, nie wiedziałem, że popełniono zbrodnię. Nie wiedziałem, że z tego pistoletu strzelano. Leżał na schodach i myślałem, że go ktoś zgubił.

— Bardzo prawdopodobna historia — zauważył ironicznie Webber. — Macie dużo podobnych spraw w swojej robocie ?

— Jakiego rodzaju spraw ?

Wpatrywał się we mnie twardo. Nie odpowiedział.

Spytałem:

— A może bym tak opowiedział całą historię ? Tak jak właśnie było ?

Żachnął się, jakbym go ukłuł.

— A może tak będzie pan odpowiadał ściśle na pytania, jakie uznam za stosowne zadać ?

Nie odezwałem się ani słowem. Webber odwrócił się ostro i rzekł do dwóch mundurowych: — Wy, chłopcy, wsiadajcie do swego samochodu i zameldujcie się u dyżurnego.

Policjanci zaszalutowali i wyszli. Najpierw usiłowali zamknąć drzwi delikatnie, póki się nie zacięły, a później tłukli nimi wściekle jak każdy inny. Webber nasłuchiwał, aż ich wóz odjechał. Potem zwrócił na mnie swe chłodne, rybie oko.

— Poproszę dowody.

Wręczyłem mu swój portfel, a on sięgnął do środka. Degarmo siedział w fotelu, skrzyżował nogi i bezmyślnie wpatrywał się w sufit. Webber oddał mi portfel. Schowałem go.

— Ludzie z pańskiej branży robią mnóstwo zamieszania — powiedział.

— Niekoniecznie — ja na to.

Podniósł głos. I przedtem mówił głośno.

— Powiedziałem, że robią mnóstwo zamieszania i tak właśnie jest. Tylko uważajcie. Nie będziecie mi robić zamieszania w Bay City.

Milczałem. Wymierzył we mnie palec.

— Jesteście z dużego miasta — rzekł. — Uważacie, że jesteście mocni i że jesteście cwani. Uważajcie. Potrafimy sobie z wami dać radę. Mamy tu małe miasteczko, ale bardzo zwarte. Nie znamy żadnych politycznych kombinacji. Pracujemy po linii prostej i bardzo szybko. Niech się pan o nas nie martwi panie szanowny.

— Ja się nie martwię. Nie mam się o co martwić. Próbuję tylko zarobić te swoje parę dolarów.

— I tylko bez żadnego mędrkowania — warknął Webber. — Bo tego nie lubię.

Degarmo odwrócił oczy od sufitu i zaczął się wpatrywać w paznokieć wskazującego palca. Odezwał się grubym znudzonym głosem:

— Niech pan słucha szefie, ten facet na dole nazywa się Lavery. Nie żyje. Trochę go znałem. To był babiarz.

— No to co z tego ? — parsknął Webber nie odrywając ode mnie wzroku.

— Wszystkie okoliczności wskazują na kobietę — ciągnął dalej Degarmo. — Pan wie, nad czym ci prywatni tajniacy pracują. Sprawy rozwodowe. Może damy mu się wygadać, zamiast żeby zgłupiał ze strachu.

— Ja go straszę ? — zdziwił się Webber. — Dobrze sobie ! Wcale nie widzę, żeby był nastraszoney.

Podszedł do frontowego okna i podniósł weneckie żaluzje. Światło wlało się do pokoju, prawie oślepiające po długim półmroku. Wrócił kołyszając się na obcasach, wyciągnął w moim kierunku chudy palec i rzekł:

— Mów pan !

Mówiłem:

— Pracuję dla pewnego businessmana z Los Angeles, który nie chce rozgłaszać sprawy. Dlatego mnie wynajął. Miesiąc temu uciekła mu żona, a później nadszedł telegram, który wskazywał na to, że uciekła z Lavery'm. Ale mój klient spotkał Lavery'ego dwa dni temu i on zaprzeczał. Klient wierzył mu w wystarczającym stopniu, żeby się zmartwić. Zdaje się, że ta pani jest lekkomyślna. Mogła wpaść w jakieś złe towarzystwo i znaleźć się w tarapatach. Przyszedłem, żeby zobaczyć się z Lavery'm, a on zaprzeczył, że z nią wyjeżdżał. Wierzyłem mu w połowie, ale później otrzymałem przekonujące dowody, że był z nią w hotelu w San Bernardino tej nocy, kiedy przypuszczano, że opuściła swój górski domek. Mając to w kieszeni wróciłem, żeby przycisnąć znowu Lavery'ego. Żadnej odpowiedzi na dzwonek, drzwi lekko uchylone. Wszedłem, rozejrzałem się, znalazłem pistolet i przeszukałem dom. Znalazłem Lavery'ego. Leżał tak, jak w tej chwili.

— Nie miał pan prawa przeszukiwać domu — powiedział Webber chłodno.

— Oczywiście że nie — zgodziłem się. — Ale nie mogłem pominąć takiej okazji.

— Nazwisko tego osobnika, dla którego pan pracuje ?

— Kingsley. — Podałem adres w Beverly Hills. — Jest dyrektorem firmy kosmetycznej w budynku Treolar przy ulicy Olive. Gillerlain Company.

Webber spojrział na Degarmo. Degarmo zapisał leniwie na jakiejś kopercie. Webber znowu spojrział na mnie i powiedział:

— Co jeszcze?

— Pojechałem do tego górskiego domku, gdzie tamta pani się zatrzymała. Ta miejscowość nazywa się Jezioro Jelonków koło Puma Point, czterdzieści sześć mil od San Bernardino.

Spojrzałem na Degarmo. Pisał wolno. Jego ręka zatrzymała się na chwilę i zawisła sztywno w powietrzu, a potem znowu opadła na kopertę i pisała dalej. Ciągnąłem dalej:

— Jakiś miesiąc temu żona dozorca w posiadłości Kingsleya pokłóciła się z mężem i jak przypuszczano, wyjechała. Wczoraj znaleziono ją utopioną w jeziorze.

Webber niemalże zamknął oczy i zakołysał się na piętach. Prawie miękko zapytał: — Dlaczego mi pan to opowiada? Czy sugeruje pan jakieś połączenie?

— Jest połączenie w czasie. Lavery był tam. Nie widzę żadnego innego związku, ale sądzę, że lepiej o tym wspomnieć.

Degarmo siedział bardzo cicho patrząc na podłogę przed sobą. Jego twarz była ściągnięta i wyglądała nawet bardziej dziko niż zwykle. Webber zapytał:

— Ta kobieta się utopiła? Samobójstwo?

— Samobójstwo albo morderstwo. Zostawiła kartkę pożegnalną. Ale jej męża aresztowano jako podejrzanego. Jego nazwisko Chess. Bill i Muriel Chess, jego żona.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedział Webber ostro.

— Trzymajmy się tego, co się działo tutaj.

— Nic się tutaj nie działo — odparłem spoglądając na Degarmo. — Byłem tu dwa razy. Za pierwszym razem rozmawiałem z Lavery'm i nie doszedłem do niczego. Drugim razem nie rozmawiałem z nim i też nie doszedłem do niczego.

Webber odezwał się z namysłem:

— Zadam panu pytanie i żądam uczciwej odpowiedzi. Pan nie będzie miał ochoty odpowiedzieć, ale wcześniej czy później będzie musiał to zrobić. I tak się w końcu dowiem. Pytanie jest takie: przejrzał pan dom i wyobrażam sobie, że dość starannie. Czy nie widział pan czegoś, co nasuwa przypuszczenie, że to żona Kingsleya była tutaj?

— To nie jest prawidłowe pytanie — zaprotestowałem. — Domaga się pan od świadka wyciągania wniosków.

— Żądam odpowiedzi — nalegał. — Tu nie sąd.

— Więc odpowiem: tak. Są tu damskie suknie w szafie na dole, które zgadzają się z opisem tych, jakie miała na sobie pani Kingsley w San Bernardino tej nocy, kiedy spotkała Lavery'ego. Opis nie był zupełnie dokładny. Suknia biała z czarnym przybraniem i kapelusz panama z plecioną czarno-białą wstążką.

Degarmo pstryknął palcem w kopertę, którą trzymał:

— Ten pański klient będzie z pana bardzo zadowolony — powiedział. — To umiejscawia tę kobietę w domu, gdzie popełniono morderstwo i ona prawdopodobnie je popełniła. Nie sądzę, żebyśmy daleko musieli się oglądać za mordercą, szefie.

Webber wpatrywał się we mnie nieruchomo, mając twarz prawie bez wyrazu, ale z lekkim odcieniem czujności. Z roztargnieniem kiwnął głową na to, co powiedział Degarmo.

Odezwałem się znowu:

— Przyjmuję, że nie jesteście bandą głupców, panowie. Sukienki są szyte u krawcowej i łatwe do sprawdzenia. Zaoszczędziłem wam nieco czasu mówiąc o tym. Prawdopodobnie nie więcej niż trwałaby jedna rozmowa telefoniczna.

— Coś jeszcze? — spytał Webber spokojnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przed domem zatrzymał się samochód, a potem jeszcze jeden. Webber podskoczył, by otworzyć drzwi. Weszło dwóch mężczyzn — niski kędzierzawy mężczyzna i ogromny, podobny do wołu mężczyzna. Obaj nieśli ciężkie



skórzane walizki. Za nimi wysoki chudy facet w ciemnoszarym garniturze i czarnym krawacie. Miał bardzo jasne oczy i szczupłą twarz.

Webber wymierzył palec w kędzierzawego mężczyznę i powiedział:

—Na dole w łazience, Busoni. Chcę bardzo dużo odcisków palców z całego domu, szczególnie te wszystkie, które wyglądają na damskie. To będzie długa robota.

—Dam radę — chrząknął Busoni. On i podobny do wołu mężczyzna przemaszerowali przez pokój i zeszli po schodach.

—Mamy dla ciebie nieboszczyka, Garland — powiedział Webber do trzeciego mężczyzny. — Zejdź na dół i rzuć na niego okiem. Zamówiłeś karetkę ?

Mężczyzna o jasnych oczach kiwnął krótko i poszedł z Webberem na dół za tamtymi dwoma.

Dergamo schował kopertę i ołówek. Wpatrywał się we mnie drewnianym wzrokiem. Zapytałem:

—Czy mam mówić o naszej wczorajszej rozmowie ...czy też była to sprawa prywatna ?

—Może pan mówić co pan tylko chce — powiedział. — Ochrona obywateli to nasze zadanie.

—To niech pan o tym mówi — rzekłem. — Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o sprawie doktora Almore.

Z wolna poczerwieniał, a jego oczy zrobiły się wściekle.

—Mówił pan, że pan nie zna doktora Almore'a.

—Wczoraj go nie znałem ani nie wiedziałem o nim nic. Ale od tego czasu dowiedziałem się, że Lavery znał panią Almore, że ona popełniła samobójstwo, że Lavery znalazł jej zwłoki, i że był przynajmniej podejrzany o szantażowanie doktora... czy o możliwość szantażowania. A także obaj pana podwładni z pogotowia policyjnego wyglądali na zainteresowanych, że dom Almore'a jest po drugiej stronie ulicy. A jeden z nich zauważył, że sprawie ładnie ukrecono łeb albo coś w tym rodzaju.

Degarmo mówił powoli grobowym tonem: — Odbiorę sukinsynowi legitymację służbową. Wszyscy oni chlapią ozorami. Niech cholera weźmie tych durniów.

—To w takim razie nic w tym nie ma — powiedziałem.

Popatrzył na papierosa.

—Nie ma w czym ?

—Nic nie ma w tej pogłosce, że Almore zamordował swoją żonę, ale miał dość forsy, żeby sprawę załatwić.

Degarmo wstał na nogi, podszedł do mnie i pochylił się.

—Powtórz to jeszcze raz — powiedział miękko.

Powtórzyłem to jeszcze raz.

Uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Moja głowa odskoczyła gwałtownie na bok. Czułem, jak mój policzek robi się gorący i obrzmiały.

—Powtórz to jeszcze raz — rzekł.

Powtórzyłem jeszcze raz. Jego ręka mignęła i znowu moja głowa odskoczyła na bok.

—Powtórz jeszcze raz.

—Nic z tego. Do trzech razy sztuka. Mógłby pan nie trafić.

Ręką roztarłem policzek. Stał pochylając się, ukazując zęby spod ściśniętych warg, twardey zwierzęcy błysk migotał w jego bardzo niebieskich oczach.

—Za każdym razem, jak będziesz w ten sposób mówił do policjanta — powiedział — wiesz, co cię czeka. Tylko spróbuj ! I pamiętaj, że ja będę używał nie tylko dłoni.

Zagryzłem wargi i tarłem policzek.

—Wścibiaj dalej nochal w nasze sprawy, to obudzisz się w ciemnej uliczce i tylko koty będą nad tobą płakały — dodał.

Milczałem. Odszedł i znowu usiadł oddychając ciężko. Przestałem rozcierać twarz, Wyciągnąłem rękę i poruszyłem palcami, żeby rozpędzić skurcz.

—Zapamiętam to sobie — powiedziałem. — Zapamiętam dobrze.

## Rozdział XXII

Zapadał wieczór, gdy wróciłem do swego biura w Hollywood. W budynku były pustki, a na korytarzach panowała cisza. Drzwi stały otworem, a sprzątaczkę kręciły się w pokojach ze swymi odkurzaczkami i ściereczkami.

Otworzyłem drzwi do mego pokoju, wziąłem kopertę, która leżała na tacy do listów, i rzuciłem ją na biurko nie spoglądając na nią wcale. Otworzyłem szeroko okna i wychyliłem się patrząc na jarzące się wcześnie neony, czując ciepłe gęste powietrze, które płynęło z wentylatora sąsiedniej kawiarni.

Zdjąłem marynarkę i krawat, usiadłem przy biurku, wyciągnąłem butelkę z głębokiej szafy i zafundowałem sobie szklaneczkę. Nic mi to nie pomogło. Wypiłem drugą z tym samym rezultatem.

W tym czasie Webber musiał już zobaczyć się z Kingsleyem. Niebawem zacznie się generalny alarm za jego żoną, jeśli już się nie zaczął. Dla policji sprawa wyglądała jasno i prosto. Brzydka afery między dwojgiem raczej niesympatycznych ludzi, za dużo kochania, za dużo picia, za dużo czułości zakończonych nienawiścią i morderczą żądzą śmierci.

Myślałem, że to wszystko jest trochę za proste.

Sięgnąłem po kopertę i rozerwałem ją. Nie miała stempla. Przeczytałem: „Szanowny Panie” ! Rodzice Florence Almore nazywają się Grayson i mieszkają obecnie w Rossmore Arms, 640 South Oxford Avenue. Stwierdziłam to przez biuro numerów telefonicznych. Z szacunkiem — Adrienne Fromsett”.

Elegancki charakter pisma, jak elegancka była ręka, która to pisała. Odsunąłem list i wypiłem nową szklaneczkę. Zaczynałem się czuć nieco mniej dziko. Popychałem przedmioty na stole. Moje ręce były nabrzmięte, gorące i niezgrabne. Pociągnąłem palcem po rogu biurka i patrzyłem na smugę w warstwie kurzu. Popatrzyłem na kurz na moim palcu i starłem go. Spojrzałem na zegarek. Spojrzałem na ścianę. Popatrzyłem w przestrzeń. Schowałem butelkę i poszedłem do umywalki, żeby umyć szklanekę. Zrobiwszy to, wymyłem ręce, zmoczyłem twarz zimną wodą i przyjrzałem się sobie. Zacerwienie zeszło z lewego policzka ale nadal był trochę obrzmiały. Niewiele, ale wystarczająco, żebym znowu poczuł podniecenie. Wyszczotkowałem włosy i spojrzałem na pokazującą się w nich siwiznę. Bardzo dużo siwizny. Twarz pod nią miała chorobliwy wygląd. Wcale mi się nie podobała ta twarz.

Wróciłem do biurka i znowu przeczytałem kartkę panny Fromsett. Wyprostowałem ją na szkle i powąchałem, wygładziłem dokładnie, a potem złożyłem i wsadziłem do kieszeni marynarki.

Siedziałem bardzo spokojnie i słuchałem, jak wieczór milknie za otwartymi drzwiami. I bardzo powoli uspakajałem się wraz z wieczorem.

## Rozdział XXIII

Rossmore Arms był ponurym blokiem z ciemnoczerwonej cegły otaczającym olbrzymie podwórko. Miał hall obity pluszem, w hallu była cisza, rośliny w ogromnych doniczkach, znudzony kanarek w klatce wielkiej jak psia buda i zapach starego kurzu z dywanów.

Graysonowie mieszkali na piątym piętrze od frontu, w północnym skrzydle. Siedzieli razem w pokoju, który wyglądał tak, jakby świadomie utrzymywano go w stylu sprzed dwudziestu lat. Miał przesadnie wypchane meble, u drzwi mosiężne klamki w kształcie jaj, ogromne lustro ścienne w złożonej ramie, przy oknach rozsuwane story z ciemnoczerwonego pluszu. W powietrzu unosił się dym tytoniowy i zapach wskazujące, że na obiad jedli kotlety baranie i broccoli.

Żona Graysona była kobietą z gruba ciosaną, która niegdyś miała ogromne, dziecinne, niebieskie oczy. Teraz wyblakły, były przyćmione przez okulary i lekko wypukłe. Miała żółtawobiałe włosy. Siedziała cerując skarpetki. Skrzyżowała grube łydki, jej stopy ledwie sięgały ziemi. Na kolanach ogromny koszyk do szycia. Greyson był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach, krzaczastych brwiach i żółtej twarzy prawie bez podbródka. Górna część twarzy mówiła, że jej właściciel jest człowiekiem rzeczowym. Dolna część nie mówiła nic. Nosił binokle i właśnie studiował z zapalem dziennik wieczorny. Sprawdziłem go w księdze adresowej. Był rachmistrzem i wyglądał na to w każdym calu. Miał nawet plamy atramentu na palcach i nosił cztery ołówki w kieszeni rozpiętej kamizelki.

Starannie po raz siódmy, przeczytał moją wizytówkę, zlustrował mnie od stóp do głów i zapytał z namysłem:

— W jakim celu pan do nas przybył, panie Marlowe ?

— Jestem zainteresowany pewnym mężczyzną nazwiskiem Lavery. Mieszka on naprzeciwko doktora Almore. Państwa córka była żoną doktora Almore. To właśnie Lavery ją znalazł tej nocy, kiedy ... umarła.

Oboje zastrzygli uszami jak myśliwskie psy, gdy świadomie zawahałem się przy ostatnim słowie. Grayson popatrzył na swoją żonę, a ona potrząsnęła głową.

— Wolelibyśmy nie mówić na ten temat — rzekł szybko Greyson. — To jest dla nas zbyt bolesne.

Czekałem przez moment i wraz z nimi spoglądałem smutno przed siebie. Potem powiedziałem:

— Nie mam państwu tego za złe. Nie chciałbym ranić uczuć państwa. Chętnie skomunikowałbym się z człowiekiem, którego wynajęliście, żeby zajął się tą sprawą.

Znowu popatrzyli na siebie. Pani Grayson tym razem nie potrząsnęła głową. Greyson zapytał: — Dlaczego ?

—Może w takim razie opowiem państwu część sprawy.

Opowiedziałem, w jakim celu mnie wynajęto, nie wymieniając Kingsleya po nazwisku, opowiedziałem im incydent z Degarmo przed domem doktora Almore wczorajszego dnia. Znowu nastawili uszu.

Greyson odezwał się ostro:

—O ile zrozumiałem, doktor Almore pana nie znał, pan się do niego wcale nie zbliżał, a on mimo to wezwał policjanta dlatego, że znajdował się pan w pobliżu jego domu ?

—To się zgadza — powiedziałem. — Byłem tam przynajmniej godzinę. To znaczy stał tam mój samochód.

—To bardzo dziwne — mruknął Greyson.

—Powiedziałbym, że to bardzo nerwowy człowiek — odezwałem się. — A Degarmo spytał, czy jej rodzice, mając na myśli państwa, mnie wynajęli. Wygląda na to, jak gdyby jeszcze nie czuł się pewny.

—Pewny czego ? — nie patrzył na mnie wypowiadając te słowa. Ponownie zapalił fajkę, potem ubił tytoń metalowym końcem ołówka i zapalił ją znowu.

Wzruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem. Szybko spojrzął na mnie i odwrócił głowę. Pani Greyson siedziała pochylona nad swoją robotą, ale nozdrza jej drgały.

—Skąd wiedział, kim pan jest ? — spytał nagle Greyson.

—Zanotował numer rejestracyjny samochodu, zadzwonił do Auto Clubu, sprawdził nazwisko w książce adresowej. Przynajmniej ja bym tak zrobił, a to, co widziałem przez okno, świadczy, że postąpił właśnie w ten sposób.

—W takim razie policja dla niego pracuje — stwierdził Greyson.

—Niekoniecznie. Jeśli wtedy popełnili pomyłkę, nie chcieliby żeby to teraz wykryto.

—Omyłkę ! — roześmiał się hałaśliwie.

—Dobrze — rzekłem. — Sprawa jest bolesna, ale trochę świeżego powietrza jej nie zaszkodzi. Państwo zawsze myśleli, że on zamordował córkę państwa, prawda ? Dlatego wynajęliście detektywa.

Pani Grayson szybko podniosła głowę, opuściła ją znowu i zwinęła kolejną parę wycierowanych skarpet.

Greyson nie odezwał się.

Zapytałem:

—Czy były jakieś dowody, czy po prostu państwo go nie lubią ?

—Były dowody — powiedział gorzko Greyson i niespodziewanie jasnym głosem, jak gdyby zdecydował się na wszystko. — Musiały być. Mówiono nam, że są. Ale nigdy ich nie widzieliśmy. Policja to wszystko zatuszowała.

—Słyszałem, że tamtego człowieka aresztowano i skazano za jazdę po pijanemu.

—Słyszał pan prawdę.

—Ale on nigdy nie mówił państwu, co wykrył ?

—Nie.

—To mi się nie podoba — zauważyłem. — To wygląda tak, jak gdyby ten jegomość nie zdecydował się jeszcze, czy użyć swoich informacji na korzyść państwa, czy też zatrzymać je i wycisnąć trochę pieniędzy z doktora.

Greyson znowu popatrzył na swoją żonę. Odezwała się obojętnie.

—Pan Talley nie robił na mnie takiego wrażenia. Był spokojnym bezpretensjonalnym człowiekiem. Ale wiem, że trudno jest sądzić z pozorów.

Powiedziałem:

—Więc nazywał się Talley. To jedna z informacji, które miałem nadzieję otrzymać od państwa.

—A jakie są inne ? — spytał Greyson.

—Jak mogę znaleźć Talleya i co wzbudziło państwa podejrzania ? Musieliście mieć jakieś podejrzania, bowiem nie wynajęlibyście Talleya, nie wskazując mu, że ma podstawy do działania.

Greyson uśmiechnął się leciutko. Dotknął swego małego podbródka i potarł go długim żółtym palcem.

Pani Grayson rzuciła w przestrzeń: — Narkotyki.

—O to właśnie chodzi — powiedział Greyson, jak gdyby pojedyncze słowo wyjaśniło wszystko. — Almore był i bez wątpienia jest nadal doktorem od narkotyków. Nasza córka nam to wyjaśniła. W jego obecności. To mi się nie podobało.

—Co pan rozumie przez to, że on jest doktorem od narkotyków, panie Greyson ?

—Rozumiem przez to, że wykonuje swą praktykę przede wszystkim wśród ludzi, którzy stoją na krawędzi nerwowego załamania się z pijaństwa i rozpusty. Ludzi, którzy muszą bez przerwy dostawać środki uspokajające i narkotyki. Nadchodzi taki okres, że przywoity lekarz odmawia prowadzenie kuracji domowej i żąda, by pacjent poddał się leczeniu sanatoryjnemu. Ale lekarze w rodzaju doktora Almore nie postępują w ten sposób. Oni opiekują się pacjentem, jak długo ma pieniądze i jak długo jest przy życiu, i pozostaje względnie normalny, nawet jeśli w ten sposób pograża się coraz bardziej w stan krytyczny. Dochodowa praktyka — dodał szorstko — i wyobrażam sobie, że dość niebezpieczna dla lekarza.

—Nie ma wątpliwości — potwierdziłem. — Ale na tym można zarobić mnóstwo pieniędzy. Czy znaliście państwo niejakiego Condy'ego ?

—Nie. Ale słyszeliśmy o nim. Florance podejrzewała, że zaopatrywał doktora Almore w narkotyki.

Powiedziałem:

—Możliwe. Prawdopodobnie doktor nie chciał wypisywać zbyt wielu recept. Znacie Lavery'ego ?

—Nigdy go nie widzieliśmy. Wiemy, kim on jest.

—Nigdy nie wydawało się wam, że Lavery mógłby szantażować Almore'a.

Było to dla niego coś nowego. Przesunął ręką po głowie i twarzy, a potem opuścił dłoń na kościste kolano. Potrząsnął głową.

—Nie, dlaczego miałyby to robić ?

—On pierwszy znalazł ciało — wyjaśniłem. — Jeśli coś wydawało się nie w porządku Talleyowi, musiało być również widoczne dla Lavery'ego.

—Czy Lavery jest tego rodzaju człowiekiem ?

—Nie wiem. Nie ma żadnych widocznych środków utrzymania, nie pracuje. Dużo się bawi, przede wszystkim z kobietami.

—To jest myśl — powiedział Greyson. — A te sprawy można załatwić bardzo dyskretnie. — Uśmiechał się sucho. — Napotykam na ich ślady w mojej pracy. Różne nieuzasadnione

wypłaty przesadnej wysokości. Inwestycje, pozornie bezwartościowe, robione przez ludzi, którzy nigdy nie robili bezwartościowych inwestycji. Uciążliwe długi, które najwidoczniej można by spłacić, a nie spłaca się ich ze strachu przed badaniami kontrolerów podatku dochodowego. O tak, te rzeczy można łatwo aranżować.

Spojrzałem na panią Grayson. Jej ręce nie ustawały w pracy. Skończyła naprawiać tuzin skarpetek. Długie kościste nogi Greysona były dobrze zaopatrzone w skarpetki.

—Co zdarzyło się Talleyowi ? Zrobili mu dętą sprawę ?

—Sądzę, że co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jego żona była bardzo rozgoryczona. Mówiła, że podano mu w barze whisky z domieszką jakiegoś narkotyku, a pił z policjantem. Samochód policyjny czekał na ulicy, aż Talley ruszy swoim wozem, a potem Talley został aresztowany. W areszcie zbadano go tylko powierzchownie.

—To nie znaczy wiele. To on jej opowiedział po aresztowaniu. Zawsze się tak mówi w podobnej sytuacji.

—Tak, nie znoszę myśli, że policja nie jest uczciwa — powiedział Grayson. — Ale takie rzeczy się dzieją i każdy o tym wie.

Mówiłem dalej:

—Jeśli popełnili uczciwą omyłkę w sprawie śmierci córki państwa, nie chcieliby w żadnym wypadku, żeby Talley im to udowodnił. To oznaczałoby parę straconych posad. Jeśli myśleli, że rzeczywiście jest szantażystą, nie aresztowaliby go w tak skomplikowany sposób. Gdzie jest teraz Talley ? Wygląda mi na to, że jeśli był jakiś solidny dowód, to on albo go miał, albo był na tropie i wiedział, czego szuka.

—Nie wiemy gdzie on jest — odparł Grayson. — Dostał sześć miesięcy, ale ten termin dawno upłynął.

—A co z jego żoną ?

Spojrzał na swoją żonę. Powiedziała krótko:

—Ulica Westmore 1618 1z2, Bay City. Eustace i ja posłaliśmy jej trochę pieniędzy. Pozostała bez grosza.

Zapisałem ten adres, usiadłem głębiej w fotelu i oznajmiłem:

—Ktoś zastrzelił Lavery’ego dziś rano w jego łazience.

Pulchne dłonie pani Grayson zatrzymały się na krawędzi grzybka. Grayson siedział z otwartymi ustami trzymając przed nimi fajkę. Odchrząknął lekko, jakby na widok zmarłego. Nic nie mogłoby się poruszyć wolniej niż jego stara, czarna fajka powracająca znów między zęby.

—Oczywiście trudno się spodziewać — rzekł, przerwał i wydmuchnął małą bladą chmurkę, a potem dodał: — że doktor Almore miał z tym jakiś związek.

—Bardzo chętnie myślałbym, że miał — zaprzeczyłem. — Niewątpliwie nie jest to wykluczone. Policja uważa, że żona mojego klienta zastrzeliła Lavery’ego. Ale jeśli Almore ma coś z tym wspólnego, musi się to niewątpliwie łączyć ze śmiercią państwa córki. Dlatego też usiłuję się czegoś na ten temat dowiedzieć.

Grayson powiedział:

—Człowiek, który popełnił jedno morderstwo nie waha się więcej niż w dwudziestu pięciu procentach przed drugim.

Wygłosił to tak, jakby kiedyś poświęcał się szczegółowym badaniom tego przedmiotu.

—Może być — zgodziłem się. — A co przypuszczalnie było motywem pierwszego ?

— Florence była dzika — powiedział smutno. — Dzika i trudna dziewczyna. Rozrzutna i ekstrawagancka. Stale znajdowała sobie nowych i raczej wątpliwych przyjaciół, mówiła za dużo i za głośno, i zasadniczo postępowała głośno. Żona tego typu może być bardzo niebezpieczna dla mężczyzny typu doktora Almore. Ale ja nie sądzę, żeby to był najważniejszy motyw. Co myślisz, Latie ?

Spojrzał na swoją żonę, ale ona nie odwzajemniła mu się spojrzeniem. Wsadziła igłę w okrągły kłębek wełny i nie powiedziała nic.

Grayson westchnął i ciągnął dalej:

— Mamy podstawy przypuszczać, że romansował ze swoją pielęgniarką i że Florence groziła mu publicznym skandalem. Do czegoś podobnego nie mógł dopuścić. Prawda ? Jeden skandal może bardzo łatwo prowadzić do drugiego.

— Jak on dokonał morderstwa ? — spytałem.

— Za pomocą morfiny, oczywiście. Zawsze ją miał i zawsze używał. Był ekspertem w jej stosowaniu. Gdy Florence była nieprzytomna, mógł umieścić ją w garażu i puścić motor. Nie było sekcji, wie pan. a gdyby nawet była, i tak wiadano, że dostała zastrzyk w nocy.

Kiwnąłem głową, a on oparł się o plecy fotela i pociągnął ręką po głowie i twarzy, a następnie opuścił dłoń na kościste kolano. Wyglądało na to, że i tę sprawę dokładnie sobie przemyślał.

Spojrzałem na nich, para starszych ludzi, siedzących tu spokojnie, zatruwających swoje umysły nienawiścią, półtora roku po wypadku. Podobałoby im się, gdyby Almore zastrzelił Lavery'ego. Bardzo by im się to podobało. Napęłiłoby ich to wewnętrznym ciepłem od stóp do głów.

Po przerwie odezwałem się znowu:

— Państwo w to wierzą, ponieważ chcą wierzyć. Jest zawsze możliwe, że popełniła samobójstwo, a sprawę zatuszowano jedynie po to by kryć częściowo szulernię Condy'ego, a częściowo, żeby oszczędzić Almore'owi publicznego przesłuchania.

— Bzdury — zaprotestował Grayson. — Na pewno ją zamordował. Ona była w łóżku, spała.

— Państwo tego nie wiedzą. Może ona sama brała narkotyki. Mogła sobie wyrobić odporność na morfinę. W tym wypadku efekt pierwszego zastrzyku nie trwałby długo. Mogła obudzić się wśród nocy, przejrzeć się w lustrze i zobaczyć, że diabły pokazują na nią palcami. Takie rzeczy się zdarzają.

— Zdaje mi się, że już dość zajął pan nam czasu — powiedział Grayson.

Wstałem. Podziękowałem im obojgu, zrobiłem krok w stronę drzwi i spytałem:

— Czy państwo nic nie robili w tej sprawie od czasu jak Talley został aresztowany ?

— Widziałem się z sędzią śledczym nazwiskiem Leach — chrząknął Grayson. — Bez skutku. On nie wiedział nic, co by uzasadniało jego interwencję. Nie był nawet zainteresowany w sprawie tych narkotyków. Ale zakład Condy'ego został zamknięty w miesiąc później. Być może, że to się z tym łączy.

— Prawdopodobnie policja miejska chciała zatrzeć ślady. Może pan znaleźć Condy'ego w innym miejscu, jeśli pan wie, gdzie go szukać. Z całym jego oryginalnym wyposażeniem w nieskazitelnym stanie.

Znowu ruszyłem ku drzwiom, a Grayson zerwał się z fotela i pobiegł ku mnie. Na jego żółtej twarzy widniał rumieniec.

—Nie chciałem być niegrzeczny — rzekł. — Sądzę tylko, że Letie i ja nie powinniśmy stale wracać do tej sprawy i wciąż nad nią rozmyślać.

—Uważam, że byliście oboje bardzo cierpliwi — odparłem. — Czy w samą sprawę był jeszcze zamieszany ktoś, kogo nie wspomnieliśmy po nazwisku ?

Potrząsnął głową, a potem spojrzał na swoją żonę. Jej ręce pozostawały w bezruchu trzymając kolejną skarpetkę na grzybku do cerowania. Głowę miała nieco pochyloną na bok. Zachowywała się tak, jakby kogoś słuchała, ale bynajmniej nie nas.

—W ten sposób, jak to słyszałem, pielęgniarka doktora Almore kładła owej nocy panią Almore do łóżka. Czy to ta sama, co do której istnieją przypuszczenia, że doktor z nią romansował ?

Pani Grayson odezwała się ostro:

—Chwileczkę. Nigdy nic widzieliśmy tej dziewczyny. Ale ona miała ładne imię. Chwileczkę, niech się zastanowię..

Zaczekaliśmy chwileczkę.

—Mildred czy coś w tym rodzaju — powiedziała i klapnęła szczękami.

Zaczerpnąłem głęboko tchu:

—Czy ona nie nazywała się przypadkiem Mildred Haviland ?

Uśmiechnęła się szeroko i kiwnęła głową.

—Oczywiście, Mildred Haviland. Nie pamiętasz, Eustace ?

Nie pamiętał. Patrzył na nas jak koń, który wszedł do niewłaściwej stajni. Otworzył drzwi i spytał: — A co to ma za znaczenie ?

—Państwo mówili, że Talley był mały — ciągnąłem dalej. — A nie był on na przykład wielkim, hałaśliwym chłopem o ordynarnych manierach ?

—Och, nie — zaprzeczyła pani Grayson. — Pan Talley był najwyżej średniego wzrostu, w średnim wieku, miał kasztanowate włosy, bardzo spokojny głos i jakiś zmartwiony wyraz twarzy. To znaczy, wyglądał tak, jakby zawsze się martwił.

—Zdaje się, że rzeczywiście miał powody do zmartwienia — powiedziałem. Grayson wyciągnął swą kościstą rękę, a ja ją uścisnąłem. Miałem wrażenie, jakbym uścisnął wieszak do ubrania.

—Gdyby go pan dostał — powiedział i zacisnął usta twardo na ustniku fajki — proszę zgłosić się do nas z rachunkiem. Chodzi mi oczywiście o Almore'a.

Odparłem, że wiem, iż myślał o doktorze Almore, ale że nie zgłoszę się z żadnym rachunkiem.

Przeszedłem przez milczący hall. Samoczynna winda była wybita czerwonym pluszem. Miała w sobie jakiś zapach starzyzny jak trzy wdowy pijące herbatę.

## Rozdział XXIV

Dom na ulicy Westmore był małym drewnianym bungalowem, na tyłach większego budynku. Na mniejszym domu nie było numeru, poza wypisaną na szklanej szybce cyfrą 1618, podświetloną od spodu. Wąska betonowa ścieżka prowadziła pod oknami na tyły domu.



Z frontu był mały ganek. Stało na nim jeszcze jedno krzesło. Wszedłem na ganek i zadzwoniłem do drzwi.

Dzwonek dzwiedział niezbyt daleko. Frontowe drzwi były otwarte za siatką, ale w pokoju nie było światła. Z ciemności zrzędny głos zapytał:

—Kto tam ?

Powiedziałem w ciemności:

—Pan Talley jest w domu ?

Głos stał się zgnębiony i bezdźwięczny.

—A kto ma do niego interes ?

—Przyjaciel.

Kobieta siedząca w głębi w ciemności wydała z gardła jakiś dźwięk, który mógłby oznaczać rozbawienie. Albo może tylko odchrząkiwała.

—Dobrze — rzekła. — A jaka suma ?

—To nie rachunek, pani Talley. Przypuszczam, że jest pani panią Talley ?

—Och, idź pan i zostaw mnie w spokoju — powiedział głos. — Pana Talleya nie ma. Nie było go tu i nie będzie.

Przycisnąłem nos do siatki i usiłowałem zajrzeć do pokoju. Mogłem dostrzec tylko niewyraźne zarysy mebli. W tym miejscu, skąd dochodził głos, było coś w kształcie sofki. Leżała na niej kobieta, a przynajmniej zdawało mi się, że leży kobieta i patrzy w sufit. Wcale się nie ruszała.

—Jestem chora — odezwał się głos. — Mam dość kłopotów. Idźcie i zostawcie mnie.

Powiedziałem:

—Przed chwilą właśnie rozmawiałem z Graysonami.

Zapadła chwilka ciszy. Potem westchnienie.

—Nigdy o nich nie słyszałam.

Oparłem się o futrynę drzwi i spojrzałem w kierunku ulicy. Stał tam samochód z zapalonymi światłami parkingowymi. Poza tym nie widziałem innych samochodów. Odezwałem się znowu.

—Na pewno pani słyszała, pani Talley. Pracuję dla nich. Ich jeszcze interesuje ta sprawa. Co z panią ? Nie chce pani żadnej rekompensaty ?

Głos powiedział: — Chcę być sama.

—Potrzebuję informacji — nalegałem. — Muszę je dostać. Spokojnie, jeśli można. Z hałasem, jeśli nie da się inaczej.

Głos zapytał: — Nowy policaj, co ?

—Pani wie, że nie jestem policjantem, pani Talley. Graysonowie nie rozmawialiby z policjantem. Niech pani do nich zadzwoni i zapyta.

—Nigdy o nich nie słyszałam — odezwał się głos. — Gdybym ich nawet znała, nie mam telefonu. Idź stąd policaju. Jestem chora. Jestem chora od miesiąca.

—Nazywam się Marlowe — tłumaczyłem. — Filip Marlowe. Jestem prywatnym wywiadowcą z Los Angeles. Rozmawiałem z Graysonami. Czegoś się dowiedziałem, ale muszę porozmawiać z pani mężem.

Kobieta na sofie roześmiała się z cicha, smutnym śmiechem, który ledwie dosłyszałem.

—Czegoś się pan dowiedział ? — zapytała. — Już coś takiego słyszałam. Mój Boże, słyszałam. Pan się czegoś dowiedział. George Talley również się czegoś dowiedział... kiedyś...

—Może to wykorzystać — powiedziałem —jeśli będzie właściwie grał.

—Jeśli za taką cenę, to lepiej niech go pan w ogóle zabije — odezwała się ona.

Przycisnąłem się mocniej do futryny i podrapałem się po brodzie. Ktoś na ulicy zapalił latarkę. Nie wiedziałem, dlaczego. Latarka znowu zgasła. Zdawało mi się, że ktoś stoi w pobliżu mojego wozu.

Blady cień twarzy poruszył się i zniknął. Jego miejsce zajęły włosy. Kobieta odwróciła się twarzą do ściany.

—Jestem zmęczona — odezwała się teraz głosem przytłumionym, gdyż mówiła do ściany. — Jestem taka strasznie zmęczona. Niech pan stąd ucieka, panie. Niech pan będzie uprzejmy i idzie stąd.

—A może trochę pieniędzy by pomogło ?

—Czy nie czuje pan dymu cygar ?

Pociągnąłem nosem. Nie czułem żadnego dymu cygar. Powiedziałem: — Nie.

—Byli tutaj. Byli tu przez dwie godziny. Boże, jestem zmęczona tym wszystkim. Proszę iść.

—Niech pani słucha, pani Talley ...

Odwróciła się na sofce i cień twarzy ukazał się znowu. Mogłem już niemal dostrzec jej oczy, ale nie bardzo.

—Sam pan słuchaj — rzekła. — Nie znam pana. Nie chcę pana znać. Nie mam panu nic do powiedzenia. Nie chciałabym powiedzieć, gdybym miała. Żyję w tej norze, panie, jeśli to można nazwać życiem. Ale jakoś żyję. Chcę trochę ciszy i spokoju. Teraz niech pan odejdzie i zostawi mnie samą.

—Niech mnie pani wpuści — nalegałem. — Możemy to omówić. Sądzę, że mógłbym udowodnić ...

Odwróciła się znowu gwałtownie a jej nogi stuknęły o podłogę. W jej głosie zabrzmiał tłumiony gniew.

—Jak pan natychmiast nie odejdzie — powiedziała — zacznę krzyczeć ze wszystkich sił. I to zaraz. Natychmiast.

—Dobrze — odezwałem się szybko. — Wsadzę mą wizytówkę w drzwi. Więc pani nie zapomni mego nazwiska. Może się pani namyśli.

Wyjąłem wizytówkę i wetknąłem w szczelinę drzwi.

—Więc dobrej nocy, pani Talley.

Nie było odpowiedzi. Jej oczy patrzyły na mnie przez cały pokój, lekko połyskując w ciemności. Zszedłem z ganku i wąskim chodnikiem wyszedłem na ulicę.

Po drugiej stronie ulicy cicho pomrukiwał samochód z zapalonymi światłami parkingowymi. Silniki pomrukują cicho w tysiącach samochodów na tysiącach ulic, wszędzie.

Wsiadłem do chryslera i ruszyłem.

## Rozdział XXV

Westmore była ulicą prowadzącą z północy na południe, a ja musiałem się dostać na inną stronę miasta. Skierowałem się na północ. Za najbliższym rogiem skręciłem na jeden z nie używanych obecnie traktów miejskich prowadzący między stosami złomu. Za drewnianymi płotami leżały, jak na nowoczesnym polu bitwy, porozwalane trupy starych samochodów o groteskowych kształtach. Stosy zardzewiałych, starych części wyglądały obskurnie w świetle księżyca. Stosy wielkie jak domy, porozdzielane uliczkami.

W lusterku przy kierownicy zabłyśły reflektory nadjeżdżającego z tyłu samochodu. Stawały się coraz większe. Dodałem gazu, wyciągnąłem klucze z mojej kieszeni i otworzyłem przegródkę. Wyjąłem pistolet .38 i położyłem go na siedzeniu tuż przy nodze.

Za stosami złomu była cegielnia. Wysoki komin górował nad pustynną okolicą, ale nie dymił. Czworoboki ciemnych cegieł, niski drewniany budynek z szyldem firmy, pustka, żadnego ruchu ani światła.

Tajemniczy samochód zaczął się zbliżać. Chrapliwy jęk lekko naciśniętej syreny rozdarł nocną ciszę. Dźwięk odbił się od płotu opuszczonego boiska golfowego na wschodzie i od cegielni na zachodzie. Przyspieszyłem troszeczkę, ale nie miało to już sensu. Samochód zbliżał się coraz bardziej i nagle światło olbrzymiego czerwonego reflektora zalało całą drogę.

Samochód zrównał się ze mną i zaczął mi zajeżdżać. Postawiłem chryslera na nosie i zawróciłem tuż za wozem policyjnym, może w odległości pół cala. Puściłem się całym pędem. Za mną zabrzmiał twardy szcęk przekładanych biegów, wycie szalejącego silnika, a czerwony reflektor omiół okolicę na przestrzeni, zdawałoby się całych mil od cegielni.

Nic nie pomogło. Ścigali mnie i znów zbliżali się szybko. Nie miałem zamiaru uciec. Chciałem się tylko dostać między domy i ludzi, którzy by wszystko widzieli i zapamiętali.

Nie udało się. Policyjny samochód mknął już obok mnie, a twardy głos wrzasnął:

—Stawaj, bo ci wystrzelimy dziurę we łbie!

Podjechałem do krawężnika i zacząłem hamować. Pistolet włożyłem z powrotem do przegródki i zatrasnąłem ją. Samochód policyjny podskoczył na resorach tuż przy moim lewym przednim. Tłusty mężczyzna wyskoczył wrzeszcząc:

—Nie znasz policyjnej syreny ? Wyłaź!

Wysiadłem z samochodu i stanąłem przy nim w świetle księżyca. Tłusty mężczyzna miał w ręku pistolet.

—Prawo jazdy — szcęknął głosem twardym jak ostrze łopaty.

Wyjąłem prawo jazdy i trzymałem w ręku. Drugi policjant, który siedział dotąd za kierownicą, wysiadł również i stanąwszy obok wyjął mi je z ręki. Skierował na nie latarkę i przeczytał.

—Nazwisko Marlowe — stwierdził. — O, do diabła, ten facet jest łapaczem! Pomyślcie sobie, Cooney.

Cooney zapytał:

—To wszystko ? Myślę, że mi nie potrzeba broni.

Wsadził pistolet z powrotem do kabury i zapiął ją.

—Myślę, że chyba mogę.

Drugi policjant powiedział:

—Jechał pięćdziesiąt pięć. Pijany nic dziwnego.

—Kaź mu dmuchnąć, temu sukinsynowi — rzekł Cooney.

Drugi policjant pochylił się nade mną z grzecznym szyderstwem.

— Czy zechce pan dmuchnąć, panie łapacz ?

Chuchnąłem.

— Dobra — stwierdził z rozwagą. — Nie podjeżdża. Muszę to przyznać.

— Mamy chłodną noc dzisiaj. Poczęstuj chłopczyka, kolego Dobbs.

— Świetny pomysł — zgodził się Dobbs. Podeszedł do samochodu i wydobyl półkwartową butelkę. Trzymał ją w ręku. Była w jednej trzeciej pełna. — Nawet nie można sobie solidnie łyknąć — powiedział, wyciągnął butelkę. — No, to najlepszego, kolego.

— Przypuścimy, że nie zechcę pić ? — spytałem.

— Tylko nam tego nie mów — zarzął Cooney. — Moglibyśmy wpaść na pomysł, że chcesz mieć ślady na brzuchu.

Wziąłem butelkę, odkręciłem zakrętkę i powąchałem. Płyn w butelce pachniał jak whisky.

— Nie możecie stale powtarzać tego samego kawału — rzekłem.

Zabrał głos Cooney:

— Godzina ósma dwadzieścia siedem. Zapisz, Dobbs.

Dobbs wszedł do samochodu i pochylił się, by zrobić notatkę w książce raportowej. Podniosłem butelkę i powiedziałem do Cooneya: — Wy koniecznie chcecie mnie zmusić, żebym to wypił ?

— Owszem. Chyba, że wolisz kopa w brzuch.

Przechyliłem butelkę, zacisnąłem gardło i napełniłem usta whisky. Cooney rzucił się naprzód i uderzył mnie pięścią w żołądek. Rozprysnąłem płyn i krztusząc się zgiąłem we dwoje. Upuściłem butelkę.

Kiedy się schyliłem, by ją podnieść, ujrzałem tłuste kolano Cooneya podnoszące się ku mojej twarzy. Oskoczyłem w bok, wyprostowałem się i trzasnąłem go w nos z całej siły. Lewą ręką złapał się za twarz i zawył, a prawą sięgnął do kabury. Dobbs rzucił się na mnie z boku zamachnąwszy się szeroko. Pałka uderzyła mnie pod lewym kolaniem. Noga mi zdrętwiała i twardo usiadłem na ziemi, zgrzytając zębami i, plując whisky.

Cooney odjął rękę od twarzy. Była pełna krwi.

— Jezu! — wybełkotał zduszonym, straszliwym głosem. — Krew! Moja krew!

Wydał dziki ryk i wymierzył mi kopniaka w twarz. Zdażyłem się cofnąć, o tyle, że trafił mnie w ramię. Ale i tak wystarczyło. Dobbs skoczył między nas i krzyknął:

— Starczy, Charlie. Na razie starczy.

Cooney zrobił trzy chwiejne kroki i usiadł za kierownicą zakrywając twarz. Wyciągnął chusteczkę i obtarł się delikatnie.

— Daj mi jeszcze minutkę — mówił przez chusteczkę. — Tylko minutkę, kolego. Jedną małą minutkę!

Dobbs powiedział: — Zamknij się. Starczy. Musimy skończyć.

Wolno machał pałką przy nodze. Cooney wstał zza kierownicy i chwiejąc się chciał iść dalej. Dobbs wyciągnął rękę i odpychał go delikatnie. Cooney próbował tę rękę odsunąć z drogi.

— Chcę widzieć krew — skrzeczał. — Więcej krwi!

Dobbs krzyknął ostro:

— Nie da rady. Zamknij się! Załatwiliśmy wszystko, jak trzeba.

Cooney zawrócił i obszedł ciężko samochód policyjny. Nachylił się nad nim mrużąc coś przez chusteczkę. Dobbs powiedział do mnie:

— Wstawaj przyjacielu.

Wstałem rozcierając sobie nogę za kolaniem. Nerw skakał jak rozgniewana małpa.

— Wsiadaj do samochodu — rozkazał Dobbs. — Do naszego samochodu.

Wsiadłem do samochodu.

Dobbs powiedział:

— Ty będziesz prowadził tamtego drugiego grata, Charlie.

— Już ja go urządzę! — zaryczał Cooney.

Dobbs podniósł z ziemi butelkę whisky, wyrzucił ją za płot i usiadł obok mnie w samochodzie. Nacisnął starter.

— To będzie pana drogo kosztowało. Nie powinien pan go uderzyć.

— Dlaczego nie ? — spytałem.

— To dobry chłopak — rzekł Dobbs. — Może trochę za hałaśliwy.

— Ale nie dowcipnym — powiedziałem. — Wcale nie dowcipny.

— Nie mów mu pan tego — oświadczył Dobbs. Wóz policyjny zaczął się poruszać. — Zraniłbyś jego uczucia.

Cooney trzasnął drzwiami chryslera i ruszył przerzucając biegi, jakby chciał je połamać w kawałki. Dobbs zawrócił gładko i ruszył na północ w kierunku cegielni.

— Spodoba się panu nasze nowe więzienie — rzekł.

— A jakie będą sankcje ?

Myślał przez chwilę kierując ostrożnie wozem i spoglądając w lusterko, czy Cooney jedzie za nami.

— Przekroczenie szybkości — oznajmił. — Opór władzy, J.P.P ... J.P.P ... to policyjne określenie na „Jechał po pijanemu”.

— A jak z tą pięścią w brzuch, kopniakiem w ramię, Zmuszaniem do picia pod groźbą cielesnych obrażeń, zagrożeniem bronią i pobiciem pałką bezbronnego ? Nie moglibyście trochę rozwinąć tej sprawy ?

— Ach, głupstwo — burknął niechętnie. — Myśli pan, że ja sam wymyślam sobie takie zabawy ?

— Myślałem, że wreszcie to miasto oczyścili — powiedziałem. — Myślałem, że osiągnęli już tyle, iż przyzwoity człowiek może przejść się nocą ulicami nie zakładając pancерnej kamizelki.

— Troszeczkę je oczyścili — mruknął. — Ale nie chcą, żeby było za czyste. Wystraszyliby w ten sposób różne brudne dolary.

— Lepiej niech pan tak nie mówi — ostrzegłem. — Może pan stracić swoją legitymację służbową.

Roześmiał się.

— Do diabła z legitymacją. Za dwa tygodnie byłbym w armii.

Incydent był dla niego zakończony. Nie miał żadnego znaczenia. Przyjmował go jako rzecz naturalną. Nawet się nie gniewał.

Więzienie było prawie zupełnie nowe. Staloszary kolor ścian i drzwi miał jeszcze świeżość, zniekształconą w dwóch czy trzech miejscach przez plamy soku tytoniowego. Górne okna w suficie zamykała ciężka żelazna krata. Pod jedną ze ścian celi stały dwie prycze, a jakiś mężczyzna chrapał na górnej z nich owinąwszy się ciemnoszarym kocem. Ponieważ spał tak wcześnie i nie czuć go było whisky ani dżinem, i ponieważ wybrał górną prycę, gdzie nie rzucał się w oczy, osądziłem, że był tu starym lokatorem.

Usiadłem na dolnej prycy. Obmacali mnie sprawdzając czy nie mam broni, ale nie rewidowali kieszeni. Wydobyłem papierosa i rozcierałem gorące obrzmienie pod kolanem. Ból promieniował aż do kostki. Whisky, którą wykaszałem na marynarce, miała nieprzyjemny zapach. Dmuchałem na nią dymem. Dym spłynął do płaskiego kwadratu oświetlonego szkła w suficie. Więzienie wyglądało bardzo spokojnie. Jakaś kobieta robiła przeraźliwy hałas, gdzieś daleko w drugiej części budynku. Moja część była spokojna jak kościół.

Kobieta wrzeszczała. Jej wrzask był ostry, cienki nierealny, coś podobnego do wrzasku kojotów w świetle księżyca, ale nie miał wznoszącej się tonacji kojota. Po chwili hałas ucichł.

Wypaliłem dwa papierosy i wrzuciłem niedopałki do małej umywalki w rogu. Mężczyzna na górnej prycy chrapał nadal. Widziałem tylko jego wilgotne, tłuste włosy wystające spod koca. Spał na brzuchu. Spał dobrze. Widać było, że jest przyzwyczajony do tego lokalu.

Usiadłem znowu na prycy. Była zrobiona z płaskich stalowych prętów pokrytych materacem. Dwa ciemnoszare kocy leżały złożone dość równo. Było to bardzo przyjemne więzienie. Mieściło się na dwunastym piętrze nowego ratusza. Był to bardzo przyjemny ratusz. Bay City to bardzo przyjemne miasteczko. Ludzie żyli tu i byli tego zdania. Widziałem piękną niebieską zatokę i rafy, przystań dla jachtów, spokojne ulice obrzeżone domami, stare domy dumające pod starymi drzewami i nowe domy z zielonymi trawnikami, płotami z siatki i żwirowanymi podjazdami. Znałem dziewczynę, która mieszkała na Dwudziestej Piątej ulicy. Ulica była piękna. Dziewczyna piękna. Lubiła Bay City.

Nie myślała o slumsach Meksykańczyków i Murzynów rozciągających się na południe od miasta. Ani o knajpkach nad brzegiem, małych dusznych salach tańca na cyplu, spelunkach narkomanów, ani o wąskich, lisich twarzach wyglądających zza gazet w o wiele za spokojnych hallach hotelowych, ani o doliniarzach i włamywaczach, stopkarzach, pijakach, alfonsach i prostytutkach.

Podszedłem i stanąłem przy drzwiach. Nikogo nie było na korytarzu. Światła paliły się mętnie i milcząco. Żadnego ruchu.

Spojrzałem na zegarek. Dziewiąta pięćdziesiąt cztery. Czas iść do domu, włożyć bambosze i podumać nad szachownicą. Czas na wysoką, chłodną szklaneczkę i długą spokojną fajkę. Czas, żeby usiąść z nogami do góry i myśleć o niczym. Czas na ziewanie nad gazetą. Czas, żeby być istotą ludzką, domatorem, człowiekiem, który nie ma nic do roboty, tylko odpoczywać, wchłaniać nocne powietrze i odbudowywać mózg na jutro.

Mężczyzna w niebieskoszarym uniformie więziennym siedł między celami czytając numery. Stał przed moją celą, otworzył drzwi i obdarzył mnie twardym spojrzeniem, które funkcjonariusze policji uważają za nieodzowne. Jestem policjant, bracie, jestem twardy, uważaj na zakrętach, bracie, bo cię urządzimy, że będziesz łąził na czworakach, bracie, nie

podskakuj, bracie, znaj mores, bracie, nie pajacuj i nie zapominaj, że my jesteśmy twardzi faceci, my jesteśmy policją i z takim gównem jak ty, możemy robić co nam się podoba.

— Wyjść — powiedział.

Wyszedłem z celi, a on zamknął drzwi, pokazał kierunek kciukiem i poszliśmy do szerokiej stalowej bramy. On ją otworzył i zamknął, a klucze zadźwięczały przyjemnie na wielkim stalowym pierścieniu. W chwilę potem przechodziliśmy przez stalowe drzwi, które były od wewnątrz pomalowane na szary kolor, a od zewnątrz na imitację drzewa. Przy balustradzie stał Degarmo rozmawiając z sierżantem z kancelarii.

Zwrócił na mnie swe metaliczno niebieskie oczy i spytał:

— Jak się pan czuje ?

— Wspaniale.

— Jak się panu podoba nas? nowy areszt ?

— Wspaniale.

— Kapitan Webber chce z panem porozmawiać.

— Wspaniale.

— Czy nie zna pan innych słów jak wspaniale ?

— Nie w tej chwili — rzekłem. — I nie tutaj.

— Troszkę pan utyka — zauważył. — Potknął się pan o coś ?

— Tak — odparłem. — Potknąłem się o policyjną pałkę. Ona podskoczyła trochę i trafiła mnie za lewym kolaniem.

— To kiepsko — zauważył Degarmo nie mrugnawszy okiem. — Niech pan odbierze swoje rzeczy z depozytu.

— Mam je przy sobie. Nie odbierano mi ich.

— To wspaniale — powiedział Degarmo.

— Oczywiście — ja na to. — To wspaniale.

Sierżant z kancelarii podniósł swoją skołtunioną głowę i przez długą chwilę przypatrywał się nam obu.

— Powiniście obejrzeć irlandzki nosek Cooneya — rzekł — jeśli chcecie zobaczyć coś wspaniałego. Jest cały rozmazany na twarzy jak czekolada na wafle.

Degarmo zapytał z roztargnieniem:

— A co się stało ? Wdał się w jakąś bójkę ?

— Nie wiem — powiedział kancelista. — Może to ta sama pałka podskoczyła i trafiła jego.

— Jak na kancelistę gadacie cholernie dużo — zauważył Degarmo.

— Kancelista zawsze gada cholernie dużo — odciął sierżant. — Może dlatego nie jest porucznikiem w oddziale zabójstw.

— Widzi pan, jak to u nas jest ? — zwrócił się do mnie Degarmo. — Jak jedna wielka rodzina.

— Z promiennymi uśmiechami na waszych twarzyczkach — dodał sierżant — z rękami otwartymi szeroko na powitanie i pałką w każdej ręce.

Degarmo kiwnął na mnie głową i wyszliśmy.

## Rozdział XXVII

Kapitan Webber wyciągnął nad biurkiem swój ostry, skrzywiony nos i powiedział: — Siadajcie.

Usiadłem na drewnianym fotelu z poręczami i uniosłem nogę znad ostrej krawędzi siedzenia. Byliśmy w dużym, przyjemnym gabinecie narożnym. Degarmo usiadł z boku biurka, skrzyżował nogi, w zamyśleniu potarł dłoni i wyjrzał przez okno.

Webber kontynuował: — Szukaliście awantury i macie ją. Jechaliście pięćdziesiąt pięć mil na godzinę w strefie zamieszkałej, próbowaliście uciec policyjnemu samochodowi, który sygnalizował syreną i czerwonym reflektorem, żebyście się zatrzymali. Stawialiście opór, gdy was zatrzymano, i uderzyliście w twarz policjanta.

Nie powiedziałem nic. Webber uniósł zapałkę znad biurka, złamał ją na połowę i wyrzucił przez ramię.

— Albo może oni kłamią ... jak zwykle ? — zapytał.

— Nie widziałem ich protokołu. Możliwe, że robiłem pięćdziesiąt pięć mil w strefie zamieszkałej czy w każdym bądź razie w granicach miasta. Wóz policyjny był zaparkowany koło domu, który odwiedziłem. Jechał za mną, gdy odjeżdżałem stamtąd, i w tym czasie nie wiedziałem, że to jest wóz policyjny. Nie miał żadnego powodu, by za mną jechać i wcale mi się to nie podobało. Jechałem trochę szybciej, ale próbowałem jedynie dostać się do lepiej oświetlonej części miasta.

Degarmo skierował na mnie puste, nie mówiące nic spojrzenie. Webber niecierpliwie klapnął zębami. Powiedział:

— Gdy wiedzieliście już, że jest to wóz policyjny, zakręciliście w miejscu w pół drogi i nadal usiłowaliście zbiec. Zgadza się ?

— Tak — przyznałem. — Ale żeby to wytłumaczyć, trzeba byłoby szczerzej rozmowy.

— Nie obawiam się szczerzej rozmowy — rzekł Webber. — Próbuję się specjalizować poniekąd w szczerych rozmowach.

Mówiłem dalej:

— Ci policjanci, którzy mnie złapali, parkowali przed domem, gdzie mieszka żona Georga Talleya. Stali już, zanim tam przybyłem. George Talley jest człowiekiem, który był prywatnym detektywem w tym mieście. Chciałem się z nim zobaczyć. Degarmo wie, dlaczego chciałem się z nim zobaczyć.

Degarmo wydobyl z kieszeni zapałkę i spokojnie gryzł jej koniec. Kiwnął głową bez wyrazu. Webber nie spojrział na niego.

Powiedziałem:

— Jest pan głupim człowiekiem, Degarmo. Wszystko, co pan robi, jest głupie i zrobione w głupi sposób. Gdy podszedł pan do mnie wczoraj przed domem Almore'a, musiał pan dużo krzyczeć, choć nie było nic do krzyczenia, musiał pan pobudzić moją ciekawość, kiedy nie trzeba było pobudzać mojej ciekawości. Musiał pan nawet dać mi wskazówki, dzięki którym dowiedziałem się, jak mogę zaspokoić swą ciekawość, gdyby sprawa nabrała wagi. A wszystko, co pan miał do roboty, żeby chronić pańskich przyjaciół, to trzymać usta zamknięte, póki nie zrobię fałszywego kroku. Nigdy bym takiego kroku nie zrobił, a pan by sobie zaoszczędził tego wszystkiego.

— A cóż, u diabła, to wszystko ma wspólnego z aresztowaniem was przy ulicy Wesimore — zdziwił się Webber.



— To łączy się ze sprawą Almore'a — wyjaśniłem — George Talley pracował nad sprawą Almore'a ... Póki nie aresztowano go za jazdę po pijanemu.

— Dobra, ja nigdy nie pracowałem nad sprawą Almore'a — parsknął Webber. — Nie wiem również, kto pierwszy pchnął nożem Juliusza Cezara. Mówcie na temat, dobrze ?

— Mówię na temat. Degarmo wie o sprawie Almore'a. ale nie lubi o niej mówić. Nawet wasi chłopcy z pogotowia wiedzą o tym. Conney i Dobbs nie mieli podstaw by mnie ścigać, poza tym że odwiedziłem żonę człowieka, który pracował nad sprawą Almore'a. Nie robiłem pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, kiedy zaczęli mnie gonić. Próbowałem uciec, ponieważ słusznie się obawiałem, że mogą mnie pobić za to, że tam byłem. Degarmo podsunął mi tę myśl.

Webber spojrział szybko na Degarmo. Twarde, niebieskie oczy Degarmo były utkwione w ścianie.

Powiedziałem:

— I nie uderzyłem Conneya w nos, gdyby nie zmusił mnie do picia whisky, a potem nie uderzył mnie w żołądek, gdy ją piłem, tak, żebym opryskał sobie ubranie i śmierdział alkoholem. Niemożliwe, żeby pan pierwszy raz słyszał o tym kawale, kapitanie.

Webber złamał drugą zapalną. Cofnął się nieco i popatrzył na swoje wąskie, twarde dłonie. Spojrzął znowu na Degarmo i rzekł: — Jeśli się pan dziś bawił w komendanta policji, może byłby pan łaskaw mnie o tym zawiadomić.

— No, cholera, trochę zabawiliśmy się z tym łapaczem — wyjaśnił Degarmo. — Rodzaj kawału. Jeśli ten chłop nie zna się na żartach ...

— Pan posłał Cooneya i Dobbsa ? — spytał Webber.

— No ... tak — potwierdził Degarmo. — Nie widzę, dlaczego byśmy mieli głaskać tych łapaczy, którzy węszą w naszym mieście i grzebią się w starzyźnie tylko po to, żeby wynajdywać sobie zajęcie i wyludzać grubszą forszę z pary starych frajerów. Takim facetom należy dać dobrą szkołę.

— To tak to wygląda w pana oczach ? — spytał Webber.

— Właśnie tak to wygląda w moich oczach — powiedział Degarmo.

— Zastanawiam się, czego potrzeba ludziom takim, jak pan — rzekł Webber. — Na razie uważam, że potrzebuje pan trochę świeżego powietrza. Może się pan tak przewietrzy, poruczniku ?

Degarmo otworzył powoli usta.

— To znaczy, że chce mnie pan stąd wyrzucić ?

Webber pochylił się gwałtownie, przy czym zdawało się, że jego ostry podbródek tnie powietrze, jak dziób samolotu.

— Będzie pan tak uprzejmy ?

Degarmo wstał z wolna, ciemny rumieniec pokrył jego kości policzkowe. Oparł się twardą dłonią o biurko i patrzył na Webbera. Zapanowała chwila pełnej napięcia ciszy.

— Dobrze, kapitanie — rzekł. — Ale postępuje pan niewłaściwie.

Webber nie odpowiedział mu. Degarmo wyszedł. Webber czekał, aż się drzwi zamkną, zanim zaczął mówić.

— Czy to pańska teoria, że można połączyć tę sprawę Almore'a sprzed półtora roku z zastrzeleniem Lavery'ego dzisiaj ? Czy też to tylko dymna zasłona, ponieważ wie pan doskonale, że to żona Kingsleya zastrzeliła Lavery'ego ?

Powiedziałem: — To było połączone, zanim Lavery został zastrzelony. Połączone niezbyt mocno, może tylko jednym punkcikiem. W każdym razie warto się nad tym zastanowić.

—Zająłem się tą sprawą dokładniej, niż pan może sobie wyobrazić — oznajmił Webber chłodno. — Chociaż osobiście nigdy nie zajmowałem się sprawą śmierci Almore'a i nie byłem wtedy szefem działu wywiadowczego. Jeśli pan nawet nie znał Almore'a do wczoraj rano, musiał pan o nim od tego czasu dużo słyszeć.

Opowiedziałem mu dokładnie, co słyszałem zarówno od panny Fromsett jak i od Graysonów.

—Więc pańską teorią jest, że Lavery mógł szantażować doktora Almore'a ? — zapytał w końcu, — I że to może mieć coś wspólnego z morderstwem ?

—To nie jest teoria. To jest nie więcej niż możliwość. Ale nie byłbym detektywem, gdybym to ignorował. Stosunki, jeśli istniały, między Lavery'm i Almore'em mogły być bliskie i niebezpieczne albo mogły się ograniczać do najzwyczajszej znajomości, albo nawet i to nie. Z tego, co faktycznie wiem, mogli nawet nie zamienić słowa między sobą. Ale jeśli w sprawie Almore'a nie ma żadnego haczyka, dlaczego tak wydziwiać nad kimś, kto okazuje nią zainteresowanie ? Mogło być przypadkiem, że George Talley został zamknięty za jazdę po pijanemu, kiedy pracował nad tą sprawą. Mogło być przypadkiem, że Almore zaweźwał policjanta, gdy spojrzałem na jego dom, i że Lavery został zastrzelony, zanim mogłem z nim porozmawiać po raz drugi. Ale nie jest przypadkiem, że dwóch pana podwładnych czatowało przed domem Talleya, żeby mnie unieszkodliwić, jeśli tam wejść.

—Przyznaję panu rację — powiedział Webber. — I na tym incydencie się to nie skończy. Chce pan złożyć skargę ?

—Życie jest za krótkie, żeby składać skargi o napad przeciwko funkcjonariuszom policji. Zmarszczył się nieco.

—W takim razie zmyjemy to wszystko i po prostu zapiszemy sobie w pamięci — rzekł. — O ile wiem, nie wpisano pana nawet do rejestru, więc może pan iść do domu, kiedy tylko pan ma ochotę. Ale gdybym ja był panem, podzieliłbym się z kapitanem Webberem wszystkim, co wiem o sprawie Lavery'ego i każdym najdalszym połączeniu, jakie może ona okazywać ze sprawą doktora Almore.

Dodałem:

—Czy również każdym najdalszym związkiem jaki mogłaby ona mieć z kobietą o nazwisku Muriel Chess, znalezioną wczoraj w górskim jeziorze koło Puma Point ?

Uniósł nieco brwi. — Uważa pan ?

—Tylko że pan może jej nie znać jako Muriel Chess. Założywszy, że pan ją znał, musiałby pan wiedzieć, że jest ona tą samą osobą, co Mildred Haviland, która była pielęgniarką doktora Almore. Która układała do łóżka panią Almore tej samej nocy, kiedy znaleziono ją martwą w garażu, i która, jeśli w tym wszystkim była jakaś kombinacja, mogłaby wiedzieć, kto brał w niej udział, i zostać przekupioną albo zmuszoną pod strachem do opuszczenia miasta w krótki czas potem.

Webber wziął dwie zapalki i złamał je. Jego małe czarne oczka tkwiły nieruchomo w mojej twarzy. Nie powiedział nic.

—Iw tym punkcie natknie się pan na podstawowy przypadek, jedyny, który rzeczywiście jestem skłonny uznać. Bowiem ta Mildred Haviland spotkała mężczyznę o nazwisku Bill Chess w restauracji w Riverside i ze znanych sobie powodów wyszła za niego za mąż, i

zamieszkała razem z nim przy Jeziorku Jelonków. A Jeziorko Jelonków jest własnością człowieka, którego żona żyła w intymnych stosunkach z Lavery'm — człowiekiem, który znalazł ciało pani Almore. To tylko nazwałbym rzeczywistym przypadkiem. Nie może być niczym innym, ale ma zasadnicze fundamentalne znaczenie. Wszystko inne wynika z tego.

Webber wstał od biurka, podszedł do chłodzonego zbiornika z wodą i wypił dwa papierowe kubki wody. Zwolna zgniół kubki w rękę, połamał je i wyrzucił do metalowego kosza pod zbiornikiem. Stał przy oknie i patrzył na zatokę. Było to jeszcze wtedy, gdy nie obowiązywało zaciemnienie, i na przystani dla jachtów paliło się mnóstwo świateł. Wrócił powoli do biurka i usiadł. Wziął się palcami za nos. Namyslał się nad czymś.

—Nie widzę co, cholera, za sens miałyby mieszanie tego wszystkiego z czymś, co zdarzyło się półtora roku temu — oznajmił.

—Dobrze — powiedziałem — i dziękuję, że poświęcił mi pan tyle cennego czasu.

Wstałem, żeby odejść.

—Jak z pańską nogą ? — zapytał, gdy się pochylałem, by ją rozetrzeć.

—Dość kiepsko, ale nieco lepiej.

—Praca policyjna — odezwał się prawie delikatnie — nasuwa mnóstwo problemów. Bardzo przypomina politykę. Wymaga najlepszych ludzi, ale nie ma w niej nic, co by przyciągało do niej tych najlepszych ludzi. Więc musimy pracować z tymi, których mamy ... I w rezultacie wychodzą podobne sprawy.

—Wiem jak to jest. Nie mam żadnego żalu. Dobranoc, panie kapitanie.

—Niech pan poczeka minutkę — zawołał. — Niech pan siada. Jeśli marny to połączyć ze sprawą Almore'a, musimy się nad nią trochę zastanowić.

—Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił — powiedziałem i usiadłem znowu.

## Rozdział XXVIII

Webber odezwał się spokojnie:

—Myślę, że niektórzy ludzie uważają, iż jesteśmy jedną bandą łobuzów. Myślą, iż jakiś facet zabija swoją żonę, a potem dzwoni do mnie i mówi: „Cześć kapitanie, popełniłem właśnie malutkie morderstwo. Mam pięć setek wolnych dolarów, które mogłyby zmienić właściciela”. A ja na to „Klawo. Niech pan siedzi spokojnie, a ja zaraz przyjeżdżam, to wszystko obrobimy”.

—Tak źle nie jest — powiedziałem.

—W związku z czym chciał pan zobaczyć Talleya, gdy pan pojechał do jego domu ?

—On miał jakieś wskazówki co do śmierci . Florence Almore. Jej rodzice go wynajęli, by prowadził dochodzenie, ale nigdy im nie powiedział, co znalazł.

—A pan myślał że panu powie ? — zapytał Webber sarkastycznie,

—Mogłem spróbować.

—A może to było tylko dlatego, że Degarmo postąpił z panem po grubiańsku, a pan chciał odplacić mu się tym samym ?

—Możliwe, że to też miało pewne znaczenie — powiedziałem.

— Talley był drobnym szantażystą — rzekł Webber lekceważąco. — Nie tylko przy tej okazji. Należało się go pozbyć. obojętnie jakim sposobem. Powiem panu, co on zdobył. On miał pantofel, który ukradł z nogi Florence Almore.

— Pantofel ?

Uśmiechnął się lekko.

— Tylko pantofel. Znalaziono go później w jego domu. Był to zielony aksamitny pantofel do tańca z małymi klejnocikami na obcasie. Zrobiony na obstalunek przez jakiegoś faceta z Hollywood, który robi pantofle teatralne i tym podobne rzeczy. Teraz może mnie pan spytać, co było ważnego w tym pantoflu ?

— Co w nim było ważnego, kapitanie ?

— Miała ich dwie pary, zupełnie jednakowych, zrobionych na to samo zamówienie. Wydaje się, że nie ma w tym nic niezwykłego. Na wypadek, gdyby jeden z nich gdzieś się zgubił albo jakiś pijany wół podepcze kobiecie nogę. — Przerwał i uśmiechnął się lekko. — Wygląda na to, że tej drugiej pary nigdy nie nosiła.

— Sądzę, że zaczynam to pojmować — powiedziałem.

Usiadł wygodniej i bębnił po poręczach fotela. Czekał.

— Chodnik od bocznych drzwi domu do garażu jest z betonu — powiedziałem. — Dość chropowatego. Przypuśćmy, że ona nie szła sama, tylko że ją niesiono. I przypuśćmy, że ten, kto ją niósł, założył jej pantofle ... I to te, których nie używała.

— Tak ?

— I przypuśćmy, że Talley to zauważył, gdy Lavery telefonował do doktora, który był na wizytach. Więc zdjął ten nie używany pantofel, traktując go jako dowód, że Florence Almore została zamordowana.

Webber kiwnął głową.

— To byłby dowód, gdyby zostawił go na miejscu, żeby policja go znalazła. Od chwili, gdy go zabrał, pantofel stał się tylko dowodem, że Talley jest łobuzem.

— Czy sprawdzano zawartość dwutlenku węgla w jej krwi ?

Położył dłoń na biurku i wpatrywał się w nią.

— Tak — powiedział. — I rzeczywiście był dwutlenek węgla. Funkcjonariusze śledczy uznali objawy za wystarczające. Nie było śladów użycia siły. Uznali, że doktor Almore nie zamordował swojej żony. Może się pomylili. Sądzę, że śledztwo prowadzono nieco powierzchownie.

— A komu je zlecono ? — spytałem.

— Sądzę, że zna pan odpowiedź na to pytanie.

— Kiedy przyjechała policja, czy nikt nie zauważył, że brakuje pantofla ?

— Kiedy przyjechała policja, nie brakowało pantofla. Musi pan pamiętać, że doktor Almore wrócił już do domu po telefonie Lavery'ego, zanim wezwano policję. Wszystko, co wiemy o tym pantoflu, pochodzi od samego Talleya. Mógł zabrać ten nie noszony pantofel z domu. Boczne drzwi nie były zamknięte na klucz. Służące spały. Oczywiście, można by zapytać skąd on wpadł na pomysł, że można tam zabrać nie noszony pantofel. Ale kto wie ? Z niego jest taki chytry szczur. Nie można mieć pewności.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie rozmyślając.

— Poza tym — dodał — możemy przypuszczać, że ta pielęgniarka doktora Almore była zaplątana wraz z Talleyem w sprawę szantażu. To jest możliwe. Są poszlaki, które by

świadczyły na korzyść takiego rozumowania. Ale więcej poszlak jest przeciwko. Co pan ma na dowód, że ta dziewczyna utopiona w górach była pielęgniarzką Almore'a ?

—Dwa dowody, każdy z nich oddzielnie mało przekonujący, ale bardzo silny, gdy się je połączy razem. Jakiś facet, który wyglądał i postępował jak Degarmo, był tam parę tygodni temu pokazując fotografię Mildred Haviland, kobiety dość podobnej do Muriel Chess. Inne włosy i brwi, i inne detale, ale duże podobieństwo. Nikt mu wiele nie powiedział. Podawał, że nazywa się De Soto i że jest policjantem z Los Angeles. W Los Angeles nie ma policjanta o nazwisku De Soto. Gdy Muriel Chess o tym usłyszała wyglądała na przestraszoną. Jeśli to był Degarmo, to łatwo ustalić. Drugi dowód: w chacie Billa Chessa w puszczy z cukrem pudrem był ukryty medalion. Znalaziono go po aresztowaniu męża Muriel. Na odwrocie serduszka był wygrawerowany napis: „Al dla Mildred w dowód miłości. 28 czerwiec 1938”.

—Mógł to być jakiś inny Al i jakaś inna Mildred — rzekł Webber.

—Pan nie mówi tego na serio, kapitanie.

Pochylił się naprzód i machnął w powietrze wskazującym palcem.

—I co pan chce w ten sposób udowodnić ?

—Chcę udowodnić, że żona Kingsleya nie zastrzeliła Lavery'ego. Ta śmierć łączy się w jakiś sposób ze sprawą Almore'a. I z Mildred Haviland. I możliwe, że z doktorem Almore. Chcę udowodnić, że żona Kingsleya zniknęła, bo coś ją bardzo wystraszyło, że może coś wiedzieć o wszystkim, ale nie zamordowała nikogo. Jest pięćset dolarów nagrody dla mnie, jeśli potrafię to udowodnić. Wolno mi próbować.

Kiwnął głową. — Oczywiście. A ja pomógłbym panu, gdybym widział do tego jakieś podstawy. Nie znaleźliśmy tej kobiety, ale mieliśmy bardzo mało czasu. Ale nie mogę panu pomagać w tym, co by obciążało kogoś z moich chłopców.

Powiedziałem:

—Słyszałem, że zwraca się pan do Degarmo przez „Al”. Ale myślałem o doktorze Almore. Ma na imię Albert ?

Webber spojrzał na swój kciuk.

—Ale doktor nigdy nie był mężem tamtej kobiety — zauważył spokojnie. — Degarmo był. Mogę panu powiedzieć, że ona dała mu szkołę. Wiele jego złych cech jest właśnie tego rezultatem.

Siedziałem bardzo cicho. Po chwili rzekłem:

—Zaczynam teraz widzieć rzeczy, o których nie wiedziałem, że egzystują. Co to była za dziewczyna ?

—Sprytna, obrotna i nic dobrego. Potrafiła sobie radzić z mężczyznami. Potrafiła zmusić ich, że czołgali się u jej stóp. Degarmo urwałby z miejsca głowę człowiekowi, który by coś przeciwko niej powiedział. Ona się z nim rozwiodła, ale dla niego to się jeszcze nie skończyło.

—Czy on wie, że ona nie żyje ?

Webber siedział spokojnie przez długą chwilę, a potem rzekł: — Z tego, co mówił dotychczas, wygląda, że nie wie. A jak mógłby to ukryć, jeśli jest to ta sama dziewczyna ?

—On nigdy nie znalazł jej w górach... Przynajmniej o ile wiemy.

Wstałem i pochyliłem się nad biurkiem.

—Niech pan słucha, kapitanie, pan ze mnie nie żartuje ?

—Nie. Ani trochę. Niektórzy mężczyźni tacy są i niektóre kobiety potrafią ich takimi zrobić. Jeśli pan myśli, że Degarmo szukał jej, ponieważ chciał jej zrobić jakąś krzywdę, to jest pan głupi jak stołowe nogi.

—Nigdy właściwie tego nie słyszałem. Byłoby to możliwe, zakładając, że Degarmo dobrze znał tamte okolice. Ten, kto zamordował tę kobietę, znał okolicę bardzo dobrze.

—To wszystko między nami — zastrzegł się. — Chciałbym, żeby to pan traktował w ten sposób.

Kiwnąłem głową, ale nic nie obiecałem. Powiedziałem mu znowu dobranoc i wyszedłem. Patrzył za mną, gdy przechodziłem przez pokój. Wyglądał na zmartwionego i zakłopotanego.

Chrysler stał wśród wozów policyjnych z boku budynku, z kluczykami w stacyjce. Nie znalazłem żadnych uszkodzeń. Cooney nie wykonał swych gróźb. Wróciłem do Hollywood, do mego mieszkania w Bristolu. Było późno, prawie północ.

Korytarzy utrzymany w kolorze zielonym i kości słoniowej był pograżony w głuchoj ciszy. Z któregoś pokoju dobiegał dzwonek telefonu. Dzwonił bez przerwy i stał się bardziej donośny, gdy podszedłem do moich drzwi. Otworzyłem drzwi. To był mój telefon.

Po ciemku podszedłem do aparatu, który stał na rogu dębowego biurka przy jednej ze ścian. Musiał dzwonić przynajmniej z dziesięć razy, zanim go usłyszałem. Podniosłem słuchawkę. Mówił Derace Kingsley. Jego głos był zduszony, podenerwowany i pełen napięcia.

—Boże, gdzie, do wszystkich diabłów, był pan przez cały czas ? — krzyczał. — Całymi godzinami próbuję pana złapać.

—Dobra. Teraz jestem — powiedziałem. — O co chodzi ?

—Miałem od niej wiadomość.

Mocniej ująłem słuchawkę, a potem powoli wciągnąłem oddech i powoli go wypuściłem.

—Niech pan mówi.

—Jestem stąd niedaleko. Będę u pana za pięć czy sześć minut. Proszę się przygotować do wyjazdu.

Odłożył słuchawkę.

Stałem trzymając słuchawkę w pół drogi między uchem a aparatem. Potem odłożyłem ją bardzo powoli i popatrzyłem na rękę, która trzymała słuchawkę. Była jeszcze zgięta i sztywna, jakby nadał coś trzymała.

## Rozdział XXIX

Dyskretne pukanie zabrzmiało przy drzwiach a ja poszedłem i otworzyłem. Kingsley wyglądał jak wielki koń w kremowym szotlandzkim płaszczu sportowym z zielono—żółtym szalikiem pod nastawionym kołnierzem. Na czoło nacisnął czerwonobrazowy kapelusz o szerokim rondzie, a pod tym rondem jego oczy patrzyły jak oczy chorego zwierzęcia.

Panna Fromsett była z nim razem. Miała na sobie spodnie i sandały, ciemnozielone wdzianko, była bez kapelusza a jej włosy miały jakiś zaczarowany połysk. W uszach tkwiły kolczyki w kształcie kunsztownych kwiatów gardenii, wiszących jeden nad drugim, po dwa w każdym uchu.

Zapach Gilerlain Regal, szampan perfum, wszedł razem z nią do pokoju.

Zamknąłem drzwi i wskazując na umeblowanie powiedziałem: — Kieliszek prawdopodobnie trochę pomoże.

Panna Fromsett usiadła w fotelu, skrzyżowała nogi i poszukała papierosa. Znalazła jednego, zapaliła, zaciągnęła się głęboko i uśmiechnęła się do sufitu.

Kingsley stał na środku pokoju usiłując się ugryźć we własny podbródek. Poszedłem do dinette, zamieszałem trzy coctails, przyniosłem je i podałem. Podeszedłem do krzesła za stolikiem z szachami.

Kingsley zapytał:

— Co pan robił i co jest z tą nogą ?

— Policjant mi przykropił. To prezent od wydziału policji Bay City. Pod tym względem zapewniają regularną obsługę. Co do tego, gdzie byłem — to siedziałem w kryminale za jazdę po pijanemu. A z wyrazu pańskiej twarzy wnioskuję, że bardzo rychło mogę znaleźć się tam znowu.

— Nie wiem, o czym pan mówi — oświadczył krótko. — Nie mam najmniejszego pojęcia. Nie ma czasu na żarty.

— W porządku, to niech pan nie żartuje — powiedziałem. — Co pan słyszał i gdzie ona jest ?

Usiadł ze swoim kieliszkiem i wsadził prawą rękę do kieszeni. Wyciągnął ją wraz z długą kopertą.

— Musi pan to jej zanieść — rzekł. — Pięćset dolarów. Chciała więcej, ale to jest wszystko, co mogłem zrealizować. Zamieniłem czek na gotówkę w nocnym lokalu. To nie było łatwe. Ona musi wyjechać z miasta.

— Z jakiego miasta ? — spytałem.

— Z Bay City. Nie wiem dokładnie skąd. Spotka pana w lokalu „Pod Pawiem” na bulwarze Arguello przy Ósmej Ulicy albo gdzieś w pobliżu.

Spojrzałem na pannę Fromsett. Nadal patrzyła w kąt sufitu, jak gdyby przyszła tu, żeby sprawdzić, czy trzeba odnowić mieszkanie.

Kingsley rzucił kopertę na stolik do szachów. Zajrzałem do środka. Rzeczywiście były w niej pieniądze. To najbardziej nadawało sens całej historii. Nie wziąłem koperty. Leżała na małym politurowanym stoliku o kwadratach z brązu i bladego złota.

Powiedziałem: — A czy ona nie mogła podjąć swoich własnych pieniędzy ? Każdy hotel zrealizowałby dla niej czek. W wielu z nich można płacić czekami. Czy jej konto bankowe zostało obłożone aresztem, czy co ?

— W ten sposób nie można mówić — odezwał się ciężko Kingsley. — Szukają jej. Nie wiem, skąd ona wie, że jej szukają. Chyba że przez radio ogłoszono list gończy. Czy ogłoszono ?

Powiedziałem, że nie wiem. Nie miałem czasu, by słuchać wiadomości policyjnych. Byłem zbyt zajęty słuchaniem żywych policjantów.

Kingsley rzekł: — Ona chyba nie chce ryzykować realizowania teraz czeku. Przedtem mogła to robić. Ale nie teraz.

Podniósł powoli oczy i spojrzał na mnie jednym z najbardziej pustych spojrzeń, jakie kiedykolwiek widziałem.

—W ten sposób nie możemy dorobić sensu tam, gdzie go nie ma — oświadczyłem. —  
Więc ona jest w Bay City. Pan z nią rozmawiał ?

—Nie. Panna Fromsett przyjęła telefon. Ona zadzwoniła do biura. Było już po godzinach,  
ale ten policjant z Wybrzeża, kapitan Webber, był u mnie. Panna Fromsett naturalnie nie  
chciała wtedy w ogóle z nią rozmawiać. Kazała jej zatelefonować drugi raz. Ona nie podała  
żadnego numeru, pod który moglibyśmy zadzwonić.

Spojrzałem na pannę Fromsett. Odwróciła oczy od sufitu i skierowała je na czubek mojej  
głowy. W tych oczach nie było nic. Były jak zaciągnięte firanki.

Kingsley mówił dalej:

—Nie chciałem z nią rozmawiać. Ona nie chciała ze mną rozmawiać. Nie chcę się z nią  
widzieć. Sądzę, że nie ma wątpliwości, iż to ona zastrzeliła Lavery'ego. Wydawało mi się, że  
Webber jest tego dość pewny.

—Nie ma znaczenia — wyjaśniłem. — To, co on mówi, i to co on myśli, to są zasadniczo  
różne rzeczy. Nie podoba mi się, że ona wie, iż policja jej szuka. Na ogół nikt nie słucha  
policyjnej krótkofalówki dla przyjemności. Tak więc później zadzwoniła znowu. I wtedy co ?

—Było prawie wpół do siódmej — powiedział Kingsley — musieliśmy siedzieć w biurze i  
czekać na jej telefon. Ty mu powiedz — zwrócił głowę do dziewczyny.

Odezwała się panna Fromsett:

—Przyjęłam telefon w gabinecie pana Kingsleya. On siedział koło mnie. ale nie  
rozmawiał. Powiedziała, żeby przysłać pieniądze „Pod Pawia” i spytała, kto je przyniesie.

—Czy wyglądała na przestraszoną ?

—W najmniejszym stopniu nie. Zupełnie spokojna. Powiedziałabym, że lodowato  
spokojna. Sądzę, że to wszystko było sztuczne. Uważała, że pieniądze powinien przynieść jej  
ktoś, kogo nie zna. Zdawała się wiedzieć, że Derry... chciałam powiedzieć pan Kingsley, nie  
przyjdzie z pieniędzmi.

—Niech pani go nazywa Derry — powiedziałem. — Potrafię zgadnąć, o kim pani mówi.

Uśmiechnęła się słabo.

—Będzie wchodziła do wspomnianej restauracji co godzina, w ciągu pierwszego  
kwadransu. Ja ... ja przypuszczałam, że to pan pójdzie. Opisałam jej pana. I ma pan mieć na  
szyi szalik Derry'ego. Opisałam ten szalik, On ma trochę ubrania w biurze, a ten szalik  
znalazł się między innymi rzeczami. Jest dość znaczny.

To było wszystko. Rzeczywiście szalik był znaczny.

—Jak na taki kurzy mózdek ona postępuje bardzo rozsądnie — zauważyłem.

—Nie ma czasu na żarty — wtrącił ostro Kingsley.

—Już pan to przedtem mówił — powiedziałem. — Ale ma pan diabelnie dużo  
bezcelności proponując mi. abym zaniósł pieniądze i umożliwił ucieczkę komuś, kogo  
poszukuje policja.

Zacisnął rękę na kolanie, a jego twarz wykrzywiła się w sztucznym uśmiechu.

—Przyznaję, że to poważna sprawa — rzekł. — No, i jak będzie ? To stwarza poważne  
obciążenie dla nas trojga na wypadek, gdyby się wszystko wydało.

—Może małżonkowi tej pani i jego osobistej sekretarce nie będzie zbyt trudno się  
wykręcić, ale to, co mnie spotka, dalekie będzie od czyichkolwiek marzeń o sposobie  
spędzenia urlopu.



—Postaram żeby się to panu opłaciło — powiedział. — A nic się nam nie stanie, jeśli ona nie popełniła przestępstwa.

—Chętnie w to wierzę. W innym wypadku nie rozmawiałbym z wami. A ponadto, jeśli się upewnię, że ona popełniła morderstwo, sam ją wydam w ręce policji.

—Ona nie będzie z panem rozmawiała — powiedział.

Sięgnąłem po kopertę i wsadziłem ją do kieszeni.

—Będzie, jeśli chce pieniędzy — rzekłem. Spojrzałem na zegarek. — Jeśli zaraz wyruszę, będę tam, nie przekroczywszy terminu pierwsza piętnaście. W tym barze muszą ją znać na pamięć po tylu godzinach. To również bardzo przyjemne.

—Ufarbowała włosy na ciemnobrązowo — odezwała się panna Fromsett. — To powinno trochę pomóc.

—To nic nie pomoże w myśleniu, że ona jest tylko niewinną, nieszczęśliwą ofiarą. — Skończyłem mój kieliszek i witałem. Kingsley połknął swój jednym haustem, zdjął szalik z szyi i podał go mnie.

—Co pan zrobił, że policja się do pana przyczepiła ? — spytał.

—Staralem się wykorzystać pewną informację, jakiej panna Fromsett była łaskawa mi udzielić. To skłoniło mnie do szukania pewnego mężczyzny nazwiskiem Talley, który pracował nad zagadnieniem śmierci pani Almore. A to prowadzi do kryminału. Obstawili jego dom. Talley to był ten agent, którego wynajęli Graysonowie — dodałem patrząc na wysoką ciemną dziewczynę. — Prawdopodobnie będzie pani mogła wytłumaczyć panu Kingsley, o co chodzi. Zresztą to bez znaczenia. Teraz nie mam czasu rozwodzić się nad tą sprawą. Chcecie tu zaczekać ?

Kingsley potrząsnął głową. — Pojedziemy do mojego mieszkania i będziemy czekali na telefon od pana.

Panna Fromsett wstała i ziewnęła.

—Nie. Jestem zmęczona, Derry. Wracam do domu i idę do łóżka.

—Pojedziesz ze mną — powiedział ostro. — Musisz mnie pilnować, żebym nie zwariował.

—Gdzie pani mieszka, panno Fromsett ? — spytałem.

—Bryson Tower przy Sunset Place. Numer mieszkania 716. Dlaczego ?

Obrzuciła mnie domyślnym spojrzeniem.

—Możliwe że będę się chciał z panią skomunikować w jakimś czasie.

Kingsley miał poirytowany wyraz twarzy, ale jego oczy pozostawały nadal oczami chorego zwierzęcia. Okręciłem sobie szyję szalikiem i poszedłem do dinette, żeby wyłączyć światło. Gdy wróciłem, oboje stali w drzwiach. Kingsley obejmował ją ramieniem. Wyglądała na bardzo zmęczoną i raczej znudzoną.

—No, mam jednak nadzieję ... — zaczął mówić, po czym postąpił szybko jeden krok i wyciągnął rękę, — Pan jest bardzo porządnym człowiekiem, Marlowe.

—No, dobra uciekajcie — powiedziałem. — Idźcie stąd. Idźcie jak najszybciej.

Spojrzał na mnie dziwnie i wyszli.

Nie ruszyłem się z miejsca, póki nie usłyszałem, że podjeżdża winda, zatrzymuje się, drzwi się otwierają i znowu zamykają, a winda zjeżdża na dół. Potem zszedłem po schodach do garażu i znowu obudziłem mojego chryslera..

## Rozdział XXX

Bar „Pod Pawiem” mieścił się obok sklepu, na którego oknie wystawowym stała taca z małymi kryształowymi zwierzątkami połyskując w świetle ulicznej latarni. Bar miał ścianę ze szklanych płytek, a delikatne światło jarzyło się wokół podobizny pawia z kolorowego szkła, umieszczonej w ceglanej ścianie. Wszedłem do środka i rzuciłem okiem wzdłuż baru, a następnie usiadłem naprzeciw wejścia w małej łoży. Światło było bursztynowe, obicia mebli z czerwonej skóry, a stoliki miały blaty z polerowanego plastyku. W jednej z łoż czterech żołnierzy ponuro piło piwo. Mieli nieco szkliste oczy i byli widocznie zmęczeni piciem piwa. Naprzeciwko nich siedziało towarzystwo składające się z dwóch dziewczyn i dwóch obskurnie wyglądających mężczyzn i robiło jedyny w tym zakładzie hałas. Nie widziałem nikogo, kto by wyglądał jak moje wyobrazenie o Crystal Kingsley.

Wychudły kelner o złych oczach i twarzy podobnej do obgryzionej kości położył serwetkę z wydrukowanym na niej pawiem na moim stoliku i podał mi coctail bacardi. Ciągnąłem go i patrzyłem na bursztynowy cyferblat barowego zegara. Minęła właśnie pierwsza piętnaście.

Jeden z mężczyzn, którzy siedzieli z dwiema dziewczynami wstał nagle, pokuśtykał do drzwi i wyszedł. Dał się słyszeć głos drugiego mężczyzny:

—Dlaczego obraziłaś chłopaka ?

Odpowiedział cienki głos dziewczyny:

—Obraziłam go ? Dobrze sobie ! On mi zrobił niewłaściwą propozycję.

Głos męski mówił tonem zarzutu: — No, dobra, ale ty nie powinnaś go obrażać, co ?

Jeden z żołnierzy zaśmiał się nagle z głębi piersi, następnie stał śmiech z twarzy brązową dłonią i jeszcze napił się trochę piwa. Rozcierałem sobie nogę pod kolanem. Była gorąca i jeszcze napuchnięta, ale uczucie drętwienia już minęło.

Chudy meksykański chłopiec o bladej twarzy i nienormalnie wielkich czarnych oczach wszedł z porannymi gazetami i przemykał się koło łoż usiłując sprzedać z parę egzemplarzy, zanim barman go wygoni. Kupiłem gazetę i przejrzałem ją, by stwierdzić, czy były jakieś interesujące morderstwa. Nie było żadnych.

Złożyłem gazetę i spostrzegłem, że jakaś szczupła dziewczyna o brązowych włosach, czarnych jak węgiel spodniach w żółtej bluzce i długim szarym zakiecie zjawiła się skądś i przeszła koło mnie, wcale na mnie nie patrząc. Usiłowałem sobie uświadomić, czy gdzieś już widziałem tę twarz, czy też był to raczej standardowy typ wysokiej, raczej chłodnej piękności, który musiałem spotykać tysiące razy. Wyszła na ulicę. W dwie minuty później mały meksykańczyk wrócił, szybko spojrzał na barmana i wyminawszy stoliki stanął przede mną.

—Panie — powiedział, a jego wielkie czarne oczy połyskiwały figlarnie. Potem kiwnął na mnie i znowu zniknął.

Skończyłem mój kieliszek i wyszedłem za chłopcem. Dziewczyna w szarym zakiecie, żółtej bluzce i czarnych spodniach stała przed sklepem obserwując wystawę. Jej oczy poruszyły się, gdy wyszedłem. Stałem koło niej.

Spojrzała na mnie znowu. Twarz miała bladą i zmęczoną, jej włosy wydawały się ciemniejsze niż u zwykłych szatynek. Odwróciła wzrok i mówiła do szyby.

—Proszę mi dać pieniądze. — Mała mgiełka pojawiła się na szybie od jej oddechu.

—Muszę wpięrow się dowiedzieć, kto pani jest — odparłem.

—Pan wie, kim jestem — powiedziała miękko. — Ile pan przyniósł ?

—Pięćset.

—To nie wystarczy — rzekła. — Grubo za mało. Proszę mi je dać szybko. Czekałam całą wieczność, żeby ktoś się zjawił.

—Gdzie możemy porozmawiać ?

—Nigdzie. Nie mamy o czym rozmawiać. Proszę mi dać pieniądze i odejść.

—To nie jest takie proste. Ja ryzykowałem. Muszę przynajmniej wiedzieć co się dzieje i jaka jest moja sytuacja.

—Niech pana cholera — powiedziała jadownicie. — Dlaczego on nie przyszedł sam ? Nie chcę rozmawiać. Chcę odjechać jak najprędzej.

—Pani nie chciała, żeby on sam przyszedł. On zrozumiał, że pani nawet nie chce z nim mówić przez telefon.

—To prawda — potaknęła szybko i kiwnęła głową.

—Ale ze mną, musi pani mówić. Ja nie jestem taki miękki jak on. Albo ze mną, albo z policją. Innego wyjścia nie ma. Jestem prywatnym detektywem i również muszę mieć gwarancję pewnego bezpieczeństwa.

—No, czyż on nie jest czarujący ! — zawołała. — Prywatny detektyw i wszystko. — W jej głosie brzmiało szyderstwo.

—Zrobił to najlepiej, jak mógł. Nie było mu łatwo zorientować się, jak miał postąpić.

—O czym pan chce ze mną mówić ?

—O pani, o tym, co pani robiła i gdzie pani była, i co pani zamierza robić dalej. Sprawy tego rodzaju. Małe ale ważne.

Chuchnęła na szybę wystawową i czekała, aż zniknie mgiełka jej oddechu.

—Sądzę, że byłoby o wiele lepiej — rzekła tym samym chłodnym, bezbarwnym głosem — gdyby pan mi dał pieniądze i pozwolił, żebym sama załatwiła swoje sprawy.

—Nie.

Znowu spojrzała na mnie ostro z ukosa. Niecierpliwie poruszyła ramionami.

—Bardzo dobrze, jeśli to się ma odbyć w ten sposób. Mieszkam w Granadzie, dwie przecznice na północ przy Ósmej Ulicy. Mieszkanie 618. Proszę mi zostawić dziesięć minut. Wolę iść sama.

—Mam samochód.

—Wolę iść sama.

Odwróciła się i szybko odeszła. Wróciła do rogu, przeszła przez bulwar i zniknęła na ulicy za linią drzew pieprzowych. Wsiadłem do chryslera i dałem jej dziesięć minut for, zanim ruszyłem.

Granada była brzydkim szarym budynkiem na rogu. Oszklone drzwi wejściowe znajdowały się na poziomie ulicy. Objechałem budynek i zobaczyłem mleczną kulę z napisem „Garaz”. Zjeżdżało się w dół do milczącego pomieszczenia, pełnego zapachu gumy i zaparkowanych rzędami samochodów. Chudy Murzyn wyszedł z oszklonego pokoiku biurowego i obejrzał chryslera.

—Ile będzie kosztowało zostawienie tego wozu tutaj na krótki czas ? Wchodzę na górę.

Spojrzał na mnie z ukosa.

—Dość późno, szefie. Trzeba go solidnie odkurzyć. Będzie dolar.

—Co się tu dzieje ?

—Będzie dolar — powtórzył drewniano.

Wysiadłem. Dał mi numer. Ja mu dałem dolara. Choć go nie pytałem, powiedział mi, że winda mieści się z tyłu za biurem, przy męskiej toalecie.

Wjechałem na piąte piętro i szedłem patrząc na numery przy drzwiach, słuchając ciszy i wdychając morskie powietrze, napływające na przecznice korytarzy. Dom wyglądał dość przyzwoicie. Jak w każdym tego rodzaju domu mieszkało tu niewątpliwie kilka wesołych kobietek. To tłumaczyłoby, dlaczego chudy Murzyn żądał dolara. Znał się na ludziach ten chłopak. Podszedłem do drzwi mieszkania 618, stałem przez chwilę, a następnie zapukałem delikatnie.

### Rozdział XXXI

Miała jeszcze na sobie szary żakiet. Stała przy drzwiach, a ja przeszedłem koło niej do kwadratowego pokoju z dwoma łózkami w ścianie i minimum nieciekawego umeblowania. Mała lampa na stole przy oknie dawała mętne żółtawe światło. Okno było otwarte.

Kobieta powiedziała: — Niech pan siada i mówi.

Zamknęła drzwi i usiadła na ponurym fotelu na biegunach. Ja umieściłem się na kanapie. Przy kanapie były drugie otwarte drzwi, zawieszane zieloną zasłonką. Prawdopodobnie prowadziły do ubieralni i łazienki. Z drugiej strony dostrzegłem zamknięte drzwi. Tam prawdopodobnie mieściła się kuchenka. To było wszystko.

Dziewczyna skrzyżowała nogi, oparła głowę o plecy fotela i patrzyła na mnie spod długich, wygiętych rzęs. Jej brwi były cienkie i łukowate i tego samego koloru co włosy. Miała spokojną skrytą twarz. Nie wyglądała na osobę, która marnuje zbyt wiele słów.

—Z opisu Kingsleya wyobrażałem sobie panią trochę inaczej — rzekłem.

Jej wargi zacisnęły się lekko. Nie powiedziała nic.

—Z opisu Lavery'ego również — dodałem. — To tylko wskazuje, jak różnymi językami mówimy do różnych ludzi.

—Nie mam czasu na tego rodzaju rozmowy — rzekła. — Czego pan ma się dowiedzieć ?

—On mnie wynajął, żebym panią znalazł. Pracowałem nad tą sprawą. Przypuszczam, że się pani o tym dowie.

—Tak. Jego biurowa kochanka poinformowała mnie o tym telefonicznie. Powiedziała, że pan nazywa się Marlowe. Powiedziała mi o szaliku.

Zdjąłem szalik z szyi, złożyłem go i wsadziłem do kieszeni. Mówiłem dalej:

—Tak więc, wiem trochę o pani poruszeniach. Niewiele. Wiem, że zostawiła pani swój samochód w hotelu Prescott i że tam spotkała się pani z Lavery'm. Wiem, że wysłała pani telegram z El Paso. Co pani robiła potem ?

—Potrzebuję tylko pieniędzy, które mi przysłał. Nie sędzę, żeby moje działania mogły pana interesować.

—Nie potrzebuję dyskutować na ten temat — odparłem. —To zależy od tego, czy pani chce otrzymać te pieniądze.

—Przyjechaliśmy do El Paso — powiedziała zmęczonym głosem. — Myślałam o wyjściu za mąż za niego. Więc wysłałam ten telegram. Widział pan ten telegram ?

—Tak.

—No i rozmyślałam się. Poprosiłam go, żeby wrócił do domu i zostawił mnie. Zrobił mi scenę.

—Czy rzeczywiście wyjechał do domu i zostawił panią ?

—Tak. Dlaczegożby nie ?

—Co pani potem robiła ?

—Pojechałam do Santa Barbara i zatrzymałam się tam parę dni. Faktycznie ponad tydzień. Potem do Pasadena. To samo. Potem do Hollywood. Stamtąd przyjechałam tutaj. To wszystko.

—Była pani sama przez cały czas ?

Zawahała się przez chwilę, a potem powiedziała: — Tak.

—Bez Lavery'ego ? Nawet przez parę dni ?

—Nie, od czasu jak pojechał do domu.

—Co to za pomysł ?

—Jaki pomysł ? — jej głos zabrzmiał nieco ostro.

—Jeździć po tych miejscowościach i nie przysłać ani słowa ? Nie wiedziała pani, że on się mógł niepokoić ?

—Och, pan mówi o moim mężu — odezwała się chłodno. — Nie sędzę, żebym się o niego martwiła. On myślał, że jestem w Meksyku, prawda ? A co do tego pomysłu — no, po prostu musiałam przemyśleć sprawę. Moje życie weszło w ślepy zaułek. Musiałam być sama i wyjść z tego impasu.

—Przedtem — powiedziałem — spędziła pani miesiąc przy Jezioroku Jelonków usiłując wyjść z impasu i nie osiągając nic. Zgadza się ?

Spojrzała na swoje pantofle, potem na mnie i poważnie skinęła głową. Faliste, kasztanowate włosy opadły jej na policzki. Podniosła lewą rękę i odsunęła je do tyłu, a następnie jednym palcem potarła skroń.

—Wydawało mi się, że potrzebuję nowego miejsca — rzekła. — Niekoniecznie interesującego. Po prostu obcego. Bez skojarzeń. Miejsca, gdzie rzeczywiście byłabym sama. Jak w hotelu.

—No i jak się pani w tym powiodło ?

—Nieszczególnie. Ale nie wrócę do Derace Kingsleya. A czy on mnie chce ?

—Nie wiem. Dlaczego przyjechała pani tutaj, do miasta, gdzie mieszka Lavery ?

Ugryzła się w palec i popatrzyła na mnie nad swoją dłonią.

—Chciałam się z nim znowu zobaczyć. Wszystko się miesza w mojej duszy. Nie kochałam go, a jednak ... przypuszczam, że w pewien sposób tak. Nie sędzę jednak, bym chciała go zaślubić. Czy to ma sens. ?

—Część tego ma sens. Ale przebywanie z dala od domu w różnych podrzędnych hotelach nie ma sensu. O ile wiem, żyła pani swoim własnym życiem od lat.

—Muszę być sama, żeby ... żeby przemyśleć wszystko — powtórzyła nieco po desperacku, a potem znowu ugryzła się w palec. — Zechce pan oddać mi pieniądze i wyjść ?

—Oczywiście. Zaraz. Ale czy nie istniały żadne inne powody, dla których opuściła pani Jezioro Jelonków ? Coś związanego na przykład z Muriel Chess ?

Wyglądała na zdziwioną. Ale każdy może wyglądać na zdziwionego.

—Wielki Boże, a to co znowu ? Ta wydra o wyblakłej twarzy ... czym ona jest dla mnie ?

—• Myślałem, że się pani z nią trochę poróżniła ... o Billa.

—Billa ? Billa Chessa ?

Wyglądała na jeszcze bardziej zdziwioną. Prawie na zaudto zdziwioną.

—Bill powiada, że pani go uwiodła.

Odchyliła głowę i roześmiała się słabym i nierealnym śmiechem.

—Boże, ten obmierzły pijak!

Jej twarz stała się nagle poważna.

—Co się stało ? Co to za tajemniczość ?

—On może być pijakiem — powiedziałem. — Policja uważa, że jest również mordercą. Mordercą swojej żony. Znalaziono ją utopioną w jeziorze. Po miesiącu.

Zwilżyła wargi, przechyliła głowę na bok wpatrując się we mnie intensywnie. Zapadła chwila ciszy. Wilgotny powiew Pacyfiku unosił się w pokoju wokół nas.

—Nie dziwię się zbytnio — odezwała się z wolna. — Więc do tego doszło! Okropnie się z sobą kłócili niekiedy. Uważa pan, że to ma coś wspólnego z moim wyjazdem ?

Skinąłem głową.

—Tak by się wydawało.

—Nie ma nic wspólnego — zaprzeczyła poważnie i kilka razy potrząsnęła głową. — Wszystko odbyło się w ten sposób, jak panu powiedziałam. Nic poza tym.

—Muriel nie żyje — ciągnąłem dalej. — Utopiona w jeziorze. Zdaje się, że nie wstrząsnęło to panią zbytnio, prawda ?

—Ledwie ją znałam — odparła. — Rzeczywiście. Była bardzo nietowarzyska. Poza tym ...

—Nie przypuszczam, żeby pani wiedziała, iż ona pracowała niegdyś jako pielęgniarka doktora Almore ?

Wyglądała teraz na kompletnie zdumioną.

—Nigdy nie byłam w gabinecie doktora Almore — powiedziała z namysłem. — Owszem odwiedzał mnie parę razy w domu, już dawno temu. Ja ... O czym pan mówi ?

—Muriel Chess nazywała się w rzeczywistości Mildred Haviland. To pielęgniarka, która pracowała w gabinecie doktora Almore.

—Co za dziwny zbieg okoliczności — zdziwiła się: — Wiem, że Bill spotkał ją w Riverside. Nie wiem, w jakich okolicznościach, ani skąd przybyła. Gabinet doktora Almore, co ? To nie ma chyba żadnego znaczenia ?

—Nie. Sądzę, że to dziwny zbieg okoliczności. Takie rzeczy się zdarzają. Ale dlaczego chciałem z panią pomówić: Muriel znalaziono utopioną, pani wyjechała, a Muriel, czy Mildred Haviland, była powiązana z doktorem Almore swego czasu... A Lavery był również, w nieco inny sposób. Jak wiadomo, Lavery mieszka na przeciwko doktora Almore, Czy Lavery znał Muriel jeszcze skądinąd ?

Myślała nad tym, delikatnie przygryzając dolną wargę.

—Widział ją tam w górach — odezwała się wreszcie. — Nie zachowywał się tak, jakby ją znał przedtem.

—A powinien, będąc tego rodzaju typem mężczyzny — powiedziałem.

—Ja nie sędzę, że Chris miał cośkolwiek wspólnego z doktorem Almore. Znał żonę doktora Almore. Nie sędzę, że w ogóle znał doktora. A więc prawdopodobnie nie znał jego pielęgniarce.

—No tak. Sędzę, że w tym wszystkim nie ma nic, co by mi pomogło — rzekłem. — Ale teraz pani widzi, dlaczego musiałem z panią mówić. Sędzę, że teraz mogę dać pani pieniądze.

Wydobyłem kopertę, wstałem i położyłem ją na jej kolanie. Nie ruszyła jej. Usiadłem znowu.

—Bardzo dobrze odgrywa pani tę rolę — powiedziałem. — Ta obrażona niewinność z odcieniem surowości i rozgoryczenia ! Ludzie popełnili poważną omyłkę co do pani. Uważali, że pani jest roztrzepaną idiotką bez mózgu i bez opanowania. Bardzo się mylili.

Patrzyła na mnie unosząc brwi. Nie mówiła nic. Potem mały uśmiech uniósł kąciki jej ust. Sięgnęła po kopertę, wygładziła ją na kolanie i położyła obok na stole. Patrzyła na mnie przez cały czas.

—Tę rolę pani Falbrook również odegrała pani doskonale — dodałem. — Ale jak się na nią teraz patrzy z odstępem czasu, sędzę, że była nieco przefajnowana. Jednak przez cały czas w nią wierzyłem. Ten purpurowy kapelus, który pasowałby do blond włosów, ale wyglądał fantastycznie na kasztanowatych, ten gruby makijaż, jakby ktoś malował go na wariata po ciemku i wywichniętą ręką. Wszystko bardzo dobre. A gdy włożyła mi pani do ręki pistolet, o w ten sposób ... czułem się jak bohater.

Poderwała się i wsadziła ręce do głębokiej kieszeni zakietu. Jej obcasy stukwały po podłodze.

—A dlaczego pani w ogóle wracała ? — spytałem. — Dlaczego tak ryzykować w jasny dzień, o dość późnej porze ?

—Więc pan przypuszcza, że zastrzeliłam Chrisa Lavery ? — spytała spokojnie.

—Nie przypuszczam. Wiem.

—Dlaczego wróciłam ? Tego się chce pan dowiedzieć ?

—Właściwie mało mnie to obchodzi — powiedziałem.

Roześmiała się. Oстрыm chłodnym śmiechem.

—Miał wszystkie moje pieniądze. Ograbił mnie do czysta. Miał wszystko, nawet drobne. Dlatego wróciłam. Powrót nie stanowił żadnego ryzyka. Wiem, jak on żył. Właściwie było bezpieczniej wrócić. Wnieść do środka mleko czy gazety na przykład. Ludzie tracą głowy w takich sytuacjach. Ja nie. Nie widzę, dlaczego miałabym tracić. W ten sposób jest o wiele bezpieczniej.

—Rozumiem. W takim razie oczywiście zastrzeliła go pani w nocy. Powinienem był o tym pomyśleć, aczkolwiek nie ma to znaczenia. Golił się. Ale faceci z czarnym zarostem i kobieciarze niekiedy golą się wieczorem, prawda ?

—Podobno tak — powiedziała prawie wesoło. — No i co zamierza pan z tym zrobić ?

—Jest pani najbardziej zimnokrwistą zmiją, jaką kiedykolwiek widziałem — rzekłem. — Co zrobię ? Wezwę oczywiście policję. To będzie po prostu przyjemność.

—Pan tak nie myśli — wyrzuciła słowa prawie niedbale. — Ciekawiło pana, dlaczego oddałam panu nienabity pistolet ? Dlaczegożby nie ? Miałam drugi w torebce. Właśnie taki.

Jej prawa ręka wysunęła się z kieszeni zakietu i wymierzyła we mnie.

Uśmiechnąłem się. Może nie był to najbardziej szczery uśmiech na świecie, ale w każdym razie uśmiech.

—Nigdy nie lubiłem tej sceny — powiedziałem. — Detektyw wykrywa mordercę. Morderca wyciąga pistolet i wymierza go w detektywa. Morderca opowiada detektywowi całą smutną historię z zamiarem zastrzelenia go na jej końcu. W ten sposób marnuje się mnóstwo cennego czasu, nawet jeśli na końcu morderca strzela do detektywa. Tylko, że morderca nigdy nie strzela. Zawsze się coś zdarza, co temu przeszkodzi. Bogowie również nie lubią tej sceny. Zawsze coś zorganizują, by ją udaremnić.

—Ale tym razem — powiedziała miękko, wstała i delikatnie podchodziła ku mnie po dywanie — przypuszczam, że zrobimy to nieco inaczej. Przypuśćmy, że nic panu nie opowiem i nic się nie zdarzy i rzeczywiście pana zastrzelę ?

—W dalszym ciągu nie będę lubił takiej sceny:

—Nie wygląda pan na wystraszonego — zauważyła i wolno oblizywała wargi ostrożnie podchodząc ku mnie po dywanie, który tłumił jej kroki.

—Nie boję się — skłamałem. — Jest już późna noc, jest zbyt cicho, okno jest otwarte, a rewolwer narobiłby dużo hałasu. Wydostać się stąd na ulicę nie będzie łatwo, a pani nie jest zbyt wprawna w strzelaniu. Prawdopodobnie chybi mnie pani. Do Lavery’ego chybiła pani trzy razy.

—Wstań — powiedziała.

Wstałem.

—Tym razem będę za blisko, żeby nie trafić. — Dotknęła rewolwerem mojej piersi. — Na przykład tak. Teraz nie mogę chybić, prawda ? Teraz stój bardzo spokojnie, trzymaj ręce do góry i nie ruszaj się w ogóle. Jeśli się ruszysz, rewolwer wystrzeli.

Założyłem ręce na kark. Spojrzałem na rewolwer. Zdawało mi się, że język mam trochę za gruby, ale mogłem nim jeszcze poruszać.

Obmacała mnie jedną ręką, czy nie mam broni. Opuściła lewą rękę i zagryzła wargi wpatrując się we mnie. Rewolwer opierał się nadal o moją pierś.

—Proszę się odwrócić — powiedziała grzecznie jak krawiec przy przymiarce.

—We wszystkim, co pani robi jest jakiś mały błąd — zauważyłem. — Rzeczywiście nie jest pani dobra do rewolweru. Po pierwsze stoi pani za blisko, a nie lubię tego podkreślać ... a ponadto ten stary kardynałny błąd z bezpiecznikiem. To pani również przeoczyła.

Teraz musiała wykonać dwie rzeczy naraz: zrobić długi krok wstecz i sprawdzić kciukiem bezpiecznik nie odwracając oczu od mojej twarzy. Dwie bardzo proste rzeczy, których wykonanie zajęłoby zaledwie sekundę. Ale nie podobało jej się, że zwróciłem na to uwagę. Zmieszała się, że ją lekceważę. Ogarnęła ją chwilowa konsternacja.

Kaszlnęła. A ja gwałtownie wyrzuciłem moją prawą dłoń i mocno uderzyłem twarzą kobiety o moją pierś. Lewa ręka uderzyła w jej prawy przegub, napiętek mojej ręki w nasadę jej kciuka. Rewolwer wyskoczył jej z dłoni na podłogę. Jej twarz wbiła się w moją pierś. Sądzę, że miała ochotę wrzasnąć.

Potem spróbowała mnie kopnąć i straciła tę resztę równowagi, jaka jej została. Jej dłonie wpiły się we mnie. Schwyciłem ją za przeguby i zacząłem wyginać jej ręce za kark. Była bardzo silna, ale ja byłem o wiele silniejszy. Więc zdecydowała opaść bezwładnie i cały swój ciężar przerzuciła na tę moją rękę, którą trzymałem ją za głowę. Nie mogłem jej utrzymać jedną ręką. Zaczęła się osuwać, a ja musiałem się nad nią pochylić.

Słysząc było tylko słaby odgłos naszych stóp na podłodze i ciężkie oddechy, a jeśli skrzypnęła jakaś deska, ja tego nie słyszałem. Zdawało mi się tylko, że kółko zasłony



szczękneło ostro na gzymisie. Nie byłem pewny i nie miałem zamiaru zastanawiać się nad tym problemem. Jakaś postać wynurzyła się nagle z lewej strony, nieco z tyłu, w ten sposób, że nie mogłem jej dokładnie zobaczyć. Widziałem tylko, że jest to mężczyzna i to wysoki mężczyzna.

To wszystko, co sobie uświadomiłem. Cała scena eksplodowała w ogień i ciemność. Nawet nie przypominam sobie, że mnie ktoś uderzył. Ogień i ciemność, a tuż przed ciemnością ostry atak mdłości.

## Rozdział XXXII

Śmierdziałem dzinem. Nie tak normalnie, jakbym wypił cztery czy pięć kieliszków jakiegoś zimowego ranka przed wyjściem z łóżka, ale tak, jakby Ocen Spokojny składał się z czystego dzinu, a ja bym go przepłynął wplaw. Dzin był w moich włosach i na brwiach, na brodzie i pod brodą. Był na mojej koszuli. Śmierdziałem jak zdechła ropucha.

Nie miałem na sobie marynarki, leżałem na plecach na czyimś dywanie tuż koło kanapy i patrzyłem na oprawny w ramki obraz. Rama była z taniego miękkiego drzewa, politurowana, a obraz przedstawiał część niewiarygodnie wysokiego, bladożółtego wiaduktu, po którym połyskliwie czarna lokomotywa ciągnęła błękitne wagony. Przez jeden z wysokich łuków wiaduktu widać było szeroką żółtą plażę, usianą ludźmi i parasolami plażowymi. Trzy dziewczęta szły obok siebie z papierowymi parasolkami w ręku, jedna dziewczyna ubrana na żółto, jedna na błękitno, a jedna na zielono. Za plażą rozległa zatoka była bardziej niebieska niż jakakolwiek zatoka ma prawo być, a przy tym zalana słońcem oraz popstrzona przesadnie białymi żaglami. Z jednego brzegu zatoki wznosiły się trzy rzędy pagórków w kontrastowych kolorach: złotym, terakota i zielonym.

W rogu widniał napis: ZWIEDZAJ FRANCUSKĄ RIVIERĘ BŁĘKITNYM EKSPRESSEM.

Akurat nastał odpowiedni czas, żeby to robić.

Ostrożnie uniosłem rękę i pomacałem tył głowy. Była obrzmiała. Ukłucie bólu po dotknięciu przeszło przeze mnie aż do podbicia stóp. Jęknąłem, ale ten jęk przeszedł w chrząknięcie — z zawodowej dumy albo raczej z tego, co z niej pozostało. Obróciłem się powoli i ostrożnie i spojrzałem na nóżkę opuszczonego ściennego łóżka. Drugie było jeszcze przy ścianie. Wzór na malowanym drzewie skądś sobie przypomniałem. Obraz wisiał nad kanapą i pierwszy raz widziałem go na oczy.

Gdy się obracałem, kanciasta butelka dzinu spadła z mojej piersi i uderzyła o podłogę. Była przezroczysta i próżna. Nie wydawało mi się możliwe, żeby tyle dzinu mogło się zmieścić w jednej butelce.

Zgramoliłem się na kolana i przez chwilę stałem na czworakach, węsząc jak pies, który nie może skończyć obiadu, ale żał mu go zostawić. Poruszyłem głową na karku. Bolało. Poruszyłem się znowu i bolało nadal, tak że wstałem na nogi i odkryłem, iż nie mam wcale butów.

Buty leżały na podłodze wyglądając tak rozpustnie, jak buty zawsze wyglądają. Włożyłem je z trudem. Byłem teraz starym człowiekiem. Dożywałem końca swoich lat. Jednak pozostał mi jeszcze jeden ząb. Pomacałem go językiem. Jakoś nie poczułem smaku dżinu.

— To się wszystko odbije na twoim zdrowiu — powiedziałem do siebie. — Któregoś dnia to ci się wszystko przypomni. I wtedy dopiero będziesz płakał.

Na stole przy otwartym oknie stała lampa. Była też zielona wypchana kanapa. Drzwi zasłonięte zieloną kotarą. Nigdy nie siadaj plecami do zielonej kotary. To się zawsze źle skończy. Zawsze coś się zdarzy. Komu to mówiłem ? Dziewczynie z rewolwerem. Dziewczynie o nieruchomej twarzy i kasztanowatych włosach, które były kiedyś jasne.

Rozejrzałem się za nią. Była tu jeszcze. Leżała na łóżku.

Miała na sobie tylko parę cielistych pończoch i nic poza tym. Włosy miała rozczochrane. Na szyi widniały ciemne sińce. Z otwartych ust wychodził spuchnięty język. Oczy wytrzeszczone, a ich białka nie były białe.

Na jej nagim brzuchu cztery gniewne krechy odcinały się szkarłatem od białego ciała. Głębokie gniewne zadrapania, wyrwane przez cztery rozwścieczone paznokcie.

Na kanapie leżały skotłowane części garderoby, przeważnie damskiej. Moja marynarka była tu również. Wyciągnąłem ją i założyłem. Coś mi zaszeleściło pod ręką między częściami ubrania. Wyciągnąłem długą kopertę. Były w niej jeszcze pieniądze. Włożyłem ją do kieszeni. Marlowe, pięćset dolarów, miałem nadzieję, że cała suma tam jest. Poza tym wydawało się, że nie pozostało już nadziei na cokolwiek innego.

Stąpałem delikatnie, jakbym szedł po cienkim lodzie. Nachyliłem się, żeby rozetrzeć sobie stłuczone miejsce za kolaniem, i zastanawiałem się, co bardziej boli — kolano czy głowa.

Ciężkie kroki zabrzmiały na korytarzu i rozległ się szmer głosów. Kroki ucichły. Twarda pięść zastukała do drzwi.

Stałem patrząc z ukosa na drzwi. Czekałem, czy ktoś je otworzy i wejdzie. Ktoś poruszył klamkę, ale nie wszedł. Znowu zaczęło się kołatanie, ucichło, znowu zaszemrały głosy. Kroki oddaliły się. Zastanawiałem się, ile czasu zajmie znalezienie administratora z zapasowym kluczem. Doszedłem do wniosku że niewiele.

Za mało czasu, żeby Marlowe mógł wrócić do domu z francuskiej Rivieri.

Wszedłem za zieloną kotarę, zasunąłem ją i rozejrzałem się w krótkim ciemnym korytarzyku, prowadzącym do łazienki. Wszedłem tam i zapaliłem światło. Dwie maty na podłodze, prześcieradło kąpielowe złożone na krawędzi wanny, okno z matowego szkła w rogu nad wanną. Zamknąłem łazienkę, stanąłem na krawędzi wanny i otworzyłem okno. Byłem na piątym piętrze. Nie było siatki. Wysadziłem głowę i spojrzałem w dół na połyskujące światła ulicy. Spojrzałem w bok i zobaczyłem, że okno łazienki sąsiedniego pokoju znajduje się nie dalej niż trzy stopy. Dobrze odżywiona kozica pokonałaby tę przestrzeń bez żadnych trudności. Pytanie tylko, czy potłuczony prywatny detektyw potrafi zrobić to samo, a jeśli tak — jaki będzie tego plon.

Z tyłu za mną raczej odległy i przytłumiony głos zdawał się wyśpiewywać policyjną litanię: — Otwieraj, bo wywalimy drzwi !

Uśmiechnąłem się szyderczo do tego głosu. Nie wywałą. Musieliby mocno je kopać, a od kopania drzwi bolą nogi. Policjanci bardzo szanują swoje nogi. Szanują je ponad wszystko.

Porwałem rącznik z wieszaka, opuściłem obie połówki okna i stanąłem na futrynie. Wyrzuciłem połowę mego ciała trzymając się bocznej ramy. Mogłem sięgnąć, ażeby pchnąć

sąsiednie okno, gdyby było otwarte. Nie było otwarte. Zamachnąłem się nogą i wybiłem szybę nad zamkiem. Powstał przy tym taki hałas, że powinno go usłyszeć całe miasto. Owinąłem ręcznikiem moją lewą rękę i sięgnąłem żeby odsunąć zasuwkę. W dole ulicy przejechał samochód, ale nikt na mnie nie wrzasnął.

Pchnąłem otwarte okno. Ręcznik wypadł mi z ręki i sfrunął mi w ciemność na znajdujący się głęboko w dole trawnik między dwoma skrzydłami budynku.

Wlaziłem przez okno do drugiej łazienki.

### Rozdział XXXIII

Macalem w ciemności, dotarłem do drzwi, otworzyłem je i nasłuchiwałem. Światło księżycy przesączaające się przez okna pokazało mi sypialnię z dwoma zasłanymi i pustymi łózkami. Nie były to łóżka ścienne, lecz zwykłe, gdyż to mieszkanie było większe od sąsiedniego. Koło łóżek przeszedłem do izby mieszkalnej. Oba pokoje były zamknięte i pachniały stęchlizną. Cienka warstwa kurzu osiadła na meblach, taka, jaka zawsze gromadzi się nawet w najczystszych pomieszczeniach, gdy są zamknięte.

W pokoju znajdował się stół, radio z adapterem, duża szafa pełna powieści, na których zachowały się jeszcze obwoluty, syfon, kryształowa karafka i cztery szklanki przewrócone do góry dnem na mosiężnej tacy. Koło tego fotografia w srebrnej ramce, mężczyzna i kobieta w średnim wieku, oboje z okrągłymi zdrowymi twarzami i wesołymi oczyma. Patrzyli na mnie, jakby moja obecność wcale im nie przeszkadzała. Powąchałem płyn w karafce, okazał się szkocką whisky i zużyłem pewną jego część. Wskutek tego moja głowa poczuła się gorzej, ale reszta mojej istoty — znacznie lepiej. Zapaliłem światło w sypialni i zajrzałem do szaf. Jedna z nich zawierała męskie garnitury, wszystkie robione na miarę, całe mnóstwo garniturów. Kartka przy podszewce stwierdzała, że nazwisko właściciela brzmi H. G. Talbot. Podeszedłem do bielizniarki, pogrzebałem w niej i znalazłem miękką, niebieską koszulę, która wyglądała na nieco za małą dla mnie. Zaniósłem ją do łazienki, rozebrałem się, wymyłem twarz i pierś, wytarłem włosy mokrym ręcznikiem i założyłem niebieską koszulę. Użyłem dość dużo pachnącej wody do włosów pana Talbota, a następnie wykorzystałem jego szczotkę i grzebień. W tym okresie, jeśli w ogóle śmierdziałem dżinem, to już bardzo słabo.

Guzik kołnierzyka nie chciał dojść do dziurki, więc znowu poszukałem w bielizniarce, znalazłem granatowy krawat jedwabny i zawiązałem go na moim karku. Wyglądałem trochę za świeżo jak na czwartą godzinę w nocy, nawet na tak porządnego człowieka, jak wskazywały ubrania pana Talbota. Za świeżo i za trzeźwo. Trochę zmierzwiłem włosy, rozluźniłem krawat, wróciłem do karafki i robiłem co się dało, żeby nie być zbyt trzeźwym. Zapaliłem jeden z papierosów pana Talbot, i miałem nadzieję że państwo Talbot kimkolwiek byli, lepiej spędzają czas niż ja. Miałem nadzieję, że będę żył dość długo, żeby przyjść tu jeszcze raz i ich odwiedzić.

Podeszedłem do drzwi pokoju, tych prowadzących na korytarz, uchyliłem je nieco i wyjrzałem paląc papierosa. Nie myślałem, że się to uda. Ale nie myślałem również, że czekanie, aż znajdą mój ślad przez okno, będzie lepsze.

Jakiś mężczyzna zakasłał lekko w korytarzu, a ja wysunąłem głowę dalej. Patrzył na mnie. Podszedł szybko. Był to mały, szczupły człowieczek w starannie wyprasowanym mundurze policyjnym. Miał rudawe włosy i czerwonozłote oczy.

Ziewnąłem i spytałem leniwo:

—Co się tu dzieje, panie władzo ?

Patrzył na mnie z namysłem.

—Mała awantura w sąsiednim mieszkaniu. Słyszał pan coś ?

—Zdaje mi się, że słyszałem stukanie. Dopiero co wróciłem do domu.

—Nieco późno — zauważył.

—To kwestia gustu — powiedziałem. — Mówi pan, awantura w sąsiednim pokoju, hm ?

—Pewna pani — rzekł. — Zna ją pan ?

—Zdaje się, że ją widziałem.

—Tak — rzekł. — Powinien pan zobaczyć ją teraz. — Ujął się dłońmi za gardło, wybałuszył oczy i zachrapał nieprzyjemnie. — Coś w tym, rodzaju — dodał. — Nic pan nie słyszał, co ?

—Nic specjalnego. Poza pukaniem.

—Tak. Pana nazwisko ?

—Talbot.

—Chwileczkę, panie Talbot. Pan poczeka tu chwileczkę.

Podszedł do otwartych drzwi, przez które płynęło światło.

—Panie poruczniku ! — zawołał. — Jest tu lokator z sąsiedniego pokoju.

Wysoki mężczyzna wyszedł na korytarz i stanął patrząc prosto na mnie. Wysoki mężczyzna o płowych włosach i bardzo, bardzo niebieskich oczach. Degarmo. Tego mi tylko brakowało.

—Tu jest facet, który mieszka w sąsiednich drzwiach — meldował gorliwie mały staranny policjant. — Nazywa się Talbot.

Degarmo patrzył prosto na mnie, ale nic w jego jadowniczo niebieskich oczach nie wskazywało, że widział mnie kiedykolwiek. Szybko przeszedł przez korytarz oparł swą twardą rękę o moją pierś i wepchnął mnie do pokoju. Gdy zrobiliśmy już ze trzy kroki od drzwi, rzucił przez ramię:

—Chodź tu i zamknij drzwi, Krótki!

Mały policjant wszedł i zamknął drzwi.

—Poniekąd dowcip — odezwał się Degarmo leniwie. — Trzymaj go pod rewolwerem, Krótki.

Krótki w mgnieniu oka otworzył kaburę i jak błyskawica wyciągnął rewolwer. Oblizął wargi.

—Och, ludzie — powiedział miękko z lekkim poświstem.

—Och ludzie. Jak pan o tym wiedział, poruczniku ?

—Wiedział, co ? — spytał Degarmo nie odwracając ode mnie oczu. — Co pan szanowny myślał zrobić ? Zejść na dół, żeby kupić gazetę i sprawdzić, czy ona nie żyje ?

—Och, ludzie — mówił Krótki. — Zboczeniec. Zdarł z dziewczyny ubranie i zadusił ją własnymi rękami, poruczniku. Jak pan wiedział ?

Degarmo milczał. Stał kiwając się troszkę na obcasach, jego twarz była bez wyrazu i twarda jak granit.

— Tak. On z pewnością jest mordercą — powiedział nagle Krótki. — Niech pan tu tylko powącha, poruczniku. To mieszkanie nie było wietrzone od długiego czasu. I proszę spojrzeć na kurz na półkach z książkami. Zegar stoi. On tu się dostał... Proszę mi pozwolić sprawdzić. Za minutkę będę z powrotem, poruczniku.

Wybiegł do sypialni. Słyszałem, jak tam się grzebie. Degarmo stał jak drewno.

Krótki wrócił. — Wszedł przez okno łazienki. Leży potłuczone szkło w wannie. A coś tam cholernie śmierdzi dżinem. Pamięta pan, jak tamten pokój śmierdział dżinem, gdy weszliśmy? Tu jest koszula, poruczniku, śmierdzi, jakby ją wyprał w dżinie.

Podniósł koszulę. Momentalnie naperfumowała powietrze. Degarmo rzucił na nią okiem, a potem nagle postąpił krok naprzód, rozpiął swoją marynarkę i spojrzał na koszulę jaką miałem na sobie.

— Wiem co on zrobił — zawołał Krótki. — On ukradł jedną z koszul faceta, który tu mieszka. Widzi pan, co on zrobił, poruczniku?

— Tak. — Degarmo wyciągnął rękę w stronę mojej piersi, a potem opuścił ją z wolna. Rozmawiali o mnie, jakbym był kawałkiem drzewa.

— Obmacaj go, Krótki.

Krótki obmacał mnie tu i tam szukając broni. — Nie ma nic przy sobie — oznajmił.

— Pójdziemy z nim tylnym wyjściem — powiedział Degarmo. — On jest nasz, jeśli zdążymy wszystko załatwić, zanim Webber tu nadejdzie. A ten fajtłapa Reed to nie potrafi złapać nawet muchy w rosole.

— Kiedy pana nie skierowali do tej sprawy — odezwał się Krótki z powątpiewaniem. — Zdaje się, słyszałem, że pan jest zawieszony czy coś w tym rodzaju?

— Co mogę stracić, jeśli jestem zawieszony? — zapytał Degarmo.

— Ja mogę stracić swój mundur — rzekł Krótki.

Degarmo spojrzał na niego ponuro. Mały policjant poczerwieniał, a w jego jasnych czerwonozłotych oczach pojawił się strach.

— Dobra, Krótki. Idź i powiedz Reedowi.

Mały policjant obliznął wargi.

— Niech pan powie słowo, a będę z panem, poruczniku. Nie muszę wiedzieć, że pan został zawieszony.

— Odprowadzimy go sami, tylko my obaj — rzekł Degarmo.

— Tak, pewnie.

Degarmo wyciągnął palec i dotknął mojego podbródka. — Zboczeniec — zauważył spokojnie. — Niech to cholera. — Uśmiechnął się do mnie lekko, poruszając jedynie zewnętrznymi kącikami swoich szerokich brutalnych ust.

## Rozdział XXXIV

Wyszliśmy z mieszkania i ruszyliśmy korytarzem w przeciwnym kierunku do pokoju 618. Światło płynęło jeszcze z otwartych drzwi. Dwóch mężczyzn w mundurach stało teraz przy drzwiach paląc papierosy w złożonych dłoniach, jakby na wietrze. Z pokoju dolatywał hałas zmieszanych głosów.

Doszlismy do końca korytarza, gdzie znajdowała się winda. Degarmo otworzył drzwi przeciwpożarowe koło szybu windy i zaczęliśmy schodzić stukając po betonowych schodach, piętro po piętrze. Koło hallu Degarmo zatrzymał się, położył rękę na klamce i nasłuchiwał. Spojrzał przez ramię.

— Ma pan samochód ? — spytał mnie.

— W podziemnym garażu.

— To bardzo dobrze.

Zeszliśmy po schodach do mrocznej sutereny. Murzyn wyszedł ze swego małego biura, a ja dałem mu swój numer. Spojrzał ukradkiem na policyjny mundur Krótkiego. Nie powiedział nic. Wskazał na chryslera.

Degarmo wlaźł za kierownicę. Ja usiadłem koło niego, a Krótki na tylnym siedzeniu. Wyjechaliśmy po rampie i ruszyliśmy w ciemną wilgotną noc. Wielki samochód z podwójnymi reflektorami zbliżał się do nas z przeciwnej strony ulicy.

Degarmo splunął przez okno i skierował chryslera w innym kierunku.

— To będzie Webber — powiedział. — Znowu się spóźnił na pogrzeb. Ale przytarliśmy mu nosa, Krótki.

— Wcale mi się to nie podoba, poruczniku. Uczciwie mówię.

— Głowa do góry, chłopie. Możesz dostać się do oddziału zabójstw.

— Wolę nosić mundur i jeść — odparł Krótki. Odwaga ulatniała się szybko

Degarmo dodał gazu, wyminął z dziesięć przecznic, a potem zwolnił. Krótki zauważył niepewnie:

— Sądzę, że pan wie, co pan robi, poruczniku ale tędy się nie jedzie do ratusza.

— Zgadza się — potwierdził Degarmo. — Nigdy się tędy nie jechało.

Zwolnił jeszcze bardziej, a następnie zwrócił się ku dzielnicy mieszkalnej, składającej się z małych domków, przycupniętych za małymi trawnikami. Przyhamował delikatnie, podjechał do chodnika i zatrzymał samochód.

Oparł rękę na plecach siedzenia i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Krótkiego.

— Myślisz, że ten facet ją zabił, Krótki ?

— Słucham ? — zapytał Krótki głosem pełnym napięcia.

— Masz latarkę ?

— Nie.

Odezwałem się:

— Latarka jest w kieszeni obicia przy lewych drzwiach.

Krótki pogrzebał, szcęknał metal i rozjarzył się biały strumień światła. Degarmo powiedział:

— Spójrz na tył głowy tego faceta.

Światło poruszyło się, słyszałem jak mały człowieczek dyszy za mną i maca mój kark. Dotknął opuchlizny. Stęknąłem. Światło zgasło i znowu zapadła ciemność.

Krótki rzekł:

— Zdaje mi się, że on czymś dostał po karku, poruczniku. Nie rozumiem tego.

— Dziewczyna również — uzupełnił Degarmo. — Nie patrzyłem dokładnie, ale też miała znak. ktoś ją zamrocył, tak że mógł z niej ściągnąć ubranie i pokaleczyć ją, zanim została zabita. Dlatego zadrapania krwawiły. Potem została uduszona. A to wszystko nie robi

żadnego hałasu. Absolutnie. A w tamtym mieszkaniu nie ma telefonu. Kto o tym zameldował, Krótki ?

—Skąd, u diabła mam wiedzieć ? Jakiś facet zatelefonował i powiedział, że została zamordowana kobieta pod numerem 618 w gmachu Granada przy Ósmej ulicy. Reed rozglądał się za fotografem, kiedy pan przyszedł. Dyżurny mówił, że tamten facet miał gruby głos, prawdopodobnie umyślnie zmieniony. Nie podał nazwiska.

—Dobra — rzekł Degarmo. — Gdybyś ty zamordował tę dziewczynę, jakbyś się stamtąd wy dostał ?

—Wyszedłbym — odparł Krótki. — Dlaczego nie ? Hej — krzyknął do mnie niespodziewanie. — Dlaczegoście nie wyszli ?

Nie odpowiedziałem. Degarmo odezwał się bezdźwięcznie:

—Nie wyłączyłbyś z okna łazienki sześć piętér nad ziemią i nie włączyłbyś do drugiej łazienki w obcym mieszkaniu, gdzie ludzie prawdopodobnie śpią, prawda ? Nie udawałbyś, że jesteś tym facetem, który tam mieszka, i nie marnowałbyś czasu na rozmowy z policją, prawda ? Cholera, ta dziewczyna mogła tam leżeć przez tydzień. Nie zmarnowałbyś takiej możliwości, co, Krótki ?

—Jasne, że tak — przyznał Krótki rzeczowo. — Nie sądzę, żebym w ogóle telefonował. Ale ci zboczeńcy seksualni robią różne śmieszne rzeczy, poruczniku. Oni nie są normalni jak my. A ten facet mógł mieć współnika i jego kolega mógł go zamrocyć, żeby na niego padło podejrzenie.

—Jak na ciebie to wcale nieźle wymyślone — chrząknął Degarmo. — No i my łamiemy sobie głowę, a ten gość, co zawsze jest taki wyszczekany, siedzi tu z nami i nie piknie ani słówka. — Odwrócił swą wielką głowę i popatrzył na mnie. — Co tam robiłeś ?

—Nie mogę sobie przypomnieć — odpowiedziałem. To uderzenie w głowę, zdaje się, całkiem mi odebrało pamięć.

—Może ci pomożemy — rzekł Degarmo. — Zabierzemy cię na wzgórze, parę mil stąd, gdzie będziesz leżał spokojnie, patrzył na gwiazdy i wspominał. Wszystko sobie przypomnisz.

Krótki rzekł:

—Nie lubię takiej gadki, poruczniku. Dlaczego nie pojedziemy z powrotem do ratusza i nie załatwimy sprawy tak jak nakazuje regulamin ?

—Do diabła z regulaminem — warknął Degarmo. — Ten facet mi się podoba. Chcę przeprowadzić z nim długą wzruszającą rozmowę. On potrzebuje tylko trochę zachęty, Krótki. Jest bardzo nieśmiały.

—Nie chcę absolutnie w tym brać udziału — zaprotestował Krótki.

—A co chcesz robić, Krótki ?

—Chcę wrócić do ratusza.

—Nikt cię nie zatrzymuje, chłopcze. Chcesz iść na piechotę ?

Krótki milczał przez chwilę.

—Tak jest — oznajmił wreszcie spokojnie. — Chcę iść na piechotę. Otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

—I myślę, że pan rozumie, że muszę o tym wszystkim zameldować, poruczniku ?

—Słusznie — przyznał Degarmo. — Powiedz Webberowi, że przysyłam mu pozdrowienia. Powiedz mu, że jak następnym razem kupi sobie parówki, to niech zostawi dla mnie pusty talerz.

—Nic z tego nie rozumiem — powiedział mały policjant.

Zatrzęsnał drzewi.

Degarmo ruszył znowu. Przy pierwszej przecznicy miał na liczniku czterdzieści mil na godzinę. Przy trzeciej ciągnął już pięćdziesiąt. Zwolnił nieco przy bulwarze, skręcił na wschód i zaczął jechać z przepisową szybkością. Trochę spóźnionych samochodów płynęło po obu stronach ulicy. Ale większa część świata leżała w chłodnej ciszy przedświt.

Po krótkiej chwili minęli granicę miasta i Degarmo odezwał się wreszcie.

—A teraz mów pan — oznajmił spokojnie. — Może jakoś to wszystko załatwimy.

Samochód jechał między podobnymi do parku terenami szpitala weteranów. Małe, potrójne latarnie uliczne miały wokół siebie aureole od morskiej mgły, która napłynęła w nocy. Zacząłem mówić:

—Kingsley przyszedł dziś w nocy do mojego mieszkania i powiedział, że otrzymał telefoniczną wiadomość od żony. Chciała szybko trochę pieniędzy. Chodziło o to, żebym jej zaniósł forszę i pomógł w miarę potrzeby. Ja miałem jeszcze inny zamiar. Powiedziano jej, jak mnie zidentyfikować. Miałem być w barze „Pod Pawiem” przy rogu ulicy Ósmej i Arguello.

Degarmo oznajmił z namysłem:

—Chciała zwiąć, a to znaczy, że miała powód, by zwiewać. Na przykład taki powód jak morderstwo. — Podniósł lekko rękę, a potem znowu opuścił ją na kierownicę.

—Poszedłem tam w kilka godzin po jej telefonie. Powiedziano mi, że ma włosy farbowane na ciemno. Przeszła koło mnie wychodząc z baru, ale jej nie poznałem. Nigdy nie widziałem jej w naturze. Widziałem tylko bardzo dobre zdjęcie migawkowe, ale nie zawsze zdjęcie jest dość dobre.

Przysłała meksykańskiego gazeciarza, żeby mnie wywołał. Ona chciała pieniędzy, a nie rozmowy. Ja chciałem, żeby mi wszystko opowiedziała. Wreszcie zgodziła się, że możemy porozmawiać i powiedziała, że mieszka w Granadzie. Kazała mi czekać dziesięć minut, zanim za nią pojedę.

Degarmo przerwał: — Czas na przygotowanie zasadzki.

—Rzeczywiście była tam zasadzka, ale nie jestem pewny, czy ona ją przygotowała. Ona nie chciała, żebym tam przyszedł, nie chciała rozmawiać. Ale powinna była wiedzieć, że będę nastawał na pewne wyjaśnienia, zanim dam jej pieniądze, a więc jej wahania mogły być tylko udane, żeby mi zapewnić poczucie, iż kontroluję sytuację. Grać to ona umiała bardzo dobrze. Przekonałem się o tym. W każdym razie pojechałem i rozmawialiśmy. Nic z tego co mówiła, nie miało wiele sensu, póki nie zaczęliśmy rozmawiać o zastrzeleniu Lavery’ego. Wtedy to nabrało sensu aż za szybko. Powiedziałem, że zamierzam wydać ją policji.

Na północ od nas pojawiła się wieś Westwood, ciemna z wyjątkiem nocnej stacji benzynowej i kilku odległych okien w pensjonatach,

—Więc ona wyciągnęła pistolet — mówiłem. — Sądzę, że chciała go użyć, ale podeszła za blisko mnie i złapałem ją w klucz. Gdy się mocowaliśmy, ktoś wyskoczył zza zielonej zasłony i zamrocył mnie. Kiedy przyszedłem do siebie, morderstwo zostało już dokonane.

Degarmo zapytał z namysłem:

—A nie zauważył pan, kto pana uderzył ?



—Nie. Ale zdaje mi się, czy też jakbym widział kątem oka, że był to mężczyzna i to wysoki. A to właśnie leżało na kanapie, pomieszane z innym ubraniem. — Wyciągnąłem żółto-zielony szalik Kingsleya i położyłem go na kolanie Degarmo. — Widziałem, że Kingsley miał ten szalik na szyi wczoraj wieczorem.

Degarmo spojrział na szalik. Podniósł go bliżej oczu.

—Czegoś takiego szybko się nie zapomina — zauważył. — Jest bardzo znaczny i rzuca się w oczy. Kingsley, hm ? No, niech to cholera. A co było potem ?

—Stukanie do drzwi. Ja jeszcze trochę zamroczony, nie bardzo przytomny i trochę w strachu. Byłem zalany dżinem, a moje buty i marynarkę ktoś ściągnął i może być, że wyglądałem i śmierdziałem jak człowiek, który mógłby zedrzeć ubranie z kobiety i udusić ją. Więc, uciekłem przez okno łazienki, oczyściłem się, jak się dało, a resztę pan zna.

Degarmo powiedział:

—Dlaczego nie położył się pan w tym pokoju, do którego się pan dostał, i nie udawał, że pan śpi ?

—No i co z tego za korzyść ? Przypuszczałem, że nawet miejski policjant z Bay City znajdzie w krótkiej chwili drogę, jaką się wydostałem. Jeśli była jaka możliwość, to właśnie uciekać, zanim się zorientują, jak uciekłem. Jeśli nie byłoby nikogo, kto mnie znał, miałbym duże szanse wyjścia z budynku.

—Nie przypuszczam — zauważył Degarmo. — Ale przyznaję, że nie wiele pan stracił ryzykując. Co pan sądzi o motywach ?

—Dlaczego Kingsley ją zabił, jeśli w ogóle zabił ? To nietrudne. Oszukiwała go, przysparzała mu mnóstwo kłopotów, zagrażała jego posiadaniu, a teraz zabiła człowieka. Ponadto miała pieniądze, a Kingsley chciał się ożenić z inną kobietą. Mógł się bać, że ona mając pieniądze może wyjść cało z tej opresji i śmiać się z niego. A gdyby nie wyszła cało i została skazana, nie dostałby tych pieniędzy w swoje ręce. Musiałby postarać się o rozwód, żeby się od niej odczepić. To wszystko przedstawia wystarczające motywy dla morderstwa. Ponadto widział okazję zrobienia ze mnie kozła ofiarnego. To by mu się nie udało, ale w każdym razie wprowadziłoby zamieszanie i zwłokę. Gdyby mordercy nie sądzili, że uda im się wykręcić, bardzo mało morderstw by popełniano.

Degarmo powiedział:

—Mimo wszystko to mógł być zupełnie kto inny, ktoś, kogo zupełnie nie brano dotychczas w rachubę. Nawet jeśli Kingsley tam przyszedł, żeby się z nią zobaczyć, ktoś inny mógł to zrobić. Ktoś inny mógł zabić Lavery'ego.

—Jak pan uważa.

Odwrócił głowę.

—Ja w ogóle nic nie uważam. A jeśli rozwiążę tę sprawę, wszystko skończy się na reprimendzie wydziału policji. Jeśli jej nie rozwiążę, wylecę z posady. Pan powiedział, że jestem głupi. Dobra, jestem głupi. Gdzie mieszka Kingsley ? Jedną rzecz ja potrafię: zmusić ludzi do mówienia.

—965 Carson Drive, Beverly Hills. Jakies pięć przecznic stąd skręci pan na północ do wzgórz. To jest po lewej stronie tuż koło Sunset Place. Nigdy tam nie byłem, ale wiem jak idą numery.

Oddał mi zielono-żółty szalik. — Wsadź pan to do kieszeni, zanim nie podsadzimy mu tego pod nos.

## Rozdział XXXV

Był to jednopiętrowy budynek z ciemnym dachem. Jasne światło księżyca pokrywało jego ściany jak świeża warstwa farby. Dolne połówki okien miały kraty z kutego żelaza. Do samych frontowych drzwi podchodził trawnik. Wszystkie widoczne okna były ciemne.

Degarmo wysiadł z samochodu, przeszedł koło trawnika i zajrzał do garażu. Słyszałem stuk zamykanych i otwieranych drzwi. Pojawił się znowu przy rogu domu, kręcił głową w moim kierunku i przeszedł przez trawnik do frontowych drzwi. Nacisnął kciukiem dzwonek, jedną ręką wydobyl z kieszeni papierosa i wsadził go do ust. Odwrócił się, żeby go zapalić, a błysk zapalniczki oświetlił bruzdy w jego twarzy.

Judasz w drzwiach odskoczył do tyłu. Zobaczyłem, że Degarmo pokazuje swój znaczek. Wolno, jakby niechętnie, drzwi się otworzyły. Wszedł do środka.

Był przez cztery czy pięć minut. Światła zapalały się w różnych oknach, a potem gasły. Potem wyszedł z domu. Natychmiast reszta światel zgasła i cały dom znowu stał się tak ciemny, jak go zastaliśmy.

Stał koło samochodu paląc i patrzył na zakręt ulicy.

—Jeden mały wóz w garażu — powiedział. — Kucharka mówi, że to jej. Ani śladu Kingsleya. Mówią, że nie widzieli go od wczoraj rano. Zajrzałem do wszystkich pokoi. Myślę, że mówią prawdę. Webber i daktyloskop byli dziś wieczorem, i pełno proszku jest jeszcze w głównej sypialni. Webber zdejmował odciski palców, żeby porównać je z tym, co znaleźliśmy w domu Lavery'ego. Nie powiedział mi, co znalazł. Gdzie on może być, ten Kingsley ?

—Gdziekolwiek — wyjaśniłem. — Na ulicy, w jakimś hotelu, w łaźni, żeby uspokoić nerwy. Ale spróbujmy najpierw u jego przyjaciółki. Jej nazwisko Fromsett. Mieszka w wieżowcu Bryson przy Sunset Place. To jest bliżej centrum, koło Bullock Wilshire.

—Co ona robi ? — spytał Degarmo siadając za kierownicą.

—Prowadzi jego biuro i prowadzi go za nos poza godzinami biurowymi. Zresztą ona nie jest żadnym kociakiem biurowym. Ma głowę i styl.

—W tej sytuacji musi użyć wszystkiego, co ma — rzekł Degarmo. Ruszył w stronę Wilshire i znowu skręcił na wschód.

W ciągu dwudziestu pięciu minut zajechaliśmy do Bryson, pałacu wykładanego sztukaterią, z antycznymi latarniami przy podejździe i wysokimi daktylowymi palmami. Wejście miało kształt litery L. Wchodziło się po marmurowych schodach przez portyk w stylu mauretańskim i hall, który był za duży, i dywan, który był za niebieski. Naokoło poustawiano niebieskie dzbany Ali Baby, wystarczająco wielkie, by w każdym z nich ukryć tygrysa. W hallu było biurko, a za nim nocny portier z wąsikami, które zmieściłyby się za paznokciem.

Degarmo przeszedł koło biurka w kierunku otwartej windy, przy której siedział na stołku zmęczony stary człowiek czekając na klientów. Portier rzucił się na Degarmo jak terier.

—Chwileczkę ! Kogo łaskawi panowie chcą widzieć ?

Degarmo zakręcił się na pięcie i spojrzał na mnie ze zdziwieniem. — Czy on powiedział „łaskawie” ?

— Tak, ale nie bij go pan — powiedziałem. — Istnieje takie słowo.

Degarmo oblizał wargi.

— Wiem, że istnieje — zauważył. — Często dziwiłem się, gdzie je schowali. Słuchaj, kolego — zwrócił się do portiera. — Chcemy iść pod numer 716. Są jakieś zastrzeżenia ?

— Oczywiście, że są zastrzeżenia — powiedział chłodno portier. — Nie anonsujemy gości o godzinie... — podniósł rękę i spojrzał na wąski, podłużny zegarek — o godzinie czwartej dwadzieścia nad ranem.

— Tak sobie i myślałem — odparł Degarmo. — Dlatego też nie chciałem pana niepokoić. Rozumie pan ? — Wyjął znaczek z kieszeni i podniósł go tak, że światło zabłysło na złotej i niebieskiej emalii. — Jestem porucznikiem policji.

Portier wzruszył ramionami.

— Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że nie będzie żadnych przykrości. Jednak może raczej panów zaanonsuję. Jakie nazwiska ?

— Porucznik Degarmo i pan Marlowe.

— Apartament 716. To będzie panna Fromsett. Chwileczkę.

Wszedł za szklaną przegrodę i słyszeliśmy, jak po dłuższej przerwie mówi do telefonu. Wrócił po chwili i skinął głową.

— Panna Fromsett jest obecna. Przyjmie panów.

— To kamień mi spada z serca — oświadczył Degarmo. — I nie trudź się pan, żeby wołać waszego firmowego kapusia i przysyłać go na podsłuch. Jestem alergiczny na firmowych kapusiów.

Portier uśmiechnął się lekko i oziębło i weszliśmy do windy.

Szóste piętro było chłodne i spokojne. Wydawało się, że korytarz ma z miłą długości. Podeszliśmy wreszcie do drzwi oznaczonych pozłacanym numerem 716 w kółku z pozłacanych liści. Przy drzwiach był guzik z kości słoniowej. Degarmo nacisnął go, wewnątrz zagrała pozytywka, i drzwi się otworzyły.

Panna Fromsett miała pikowany niebieski szlafrok narzucony na pidżamę, a na nogach małe pantofelki z pomponikami. Włosy już przyczesła, starła z twarzy krem i nałożyła makijaż w wystarczającej ilości.

Przeszliśmy koło niej do raczej wąskiego pokoju z kilkoma pięknymi owalnymi lustrami i szarymi meblami, wybitymi niebieskim adamaszkiem. Nie były to meble spotykane zazwyczaj w pokojach do wynajęcia. Usiadła na wąskim szezlongu, pochyliła się do tyłu i czekała, aż ktoś coś powie.

Powiedziałem:

— To jest porucznik Degarmo z policji miejskiej Bay City. Szukamy Kingsleya. Nie ma go w domu. Myśleliśmy, że będzie pani mogła podsunąć nam myśl, gdzie go znaleźć.

Spytała nie patrząc na mnie:

— Czy to pilne ?

— Tak, coś się stało.

— Co się stało ?

Degarmo wypalił prosto z mostu.

—Chcemy tylko wiedzieć, gdzie jest Kingsley, siostró. Nie mamy czasu, żeby odgrywać operę.

Dziewczyna spojrzała na niego bez wyrazu. Popatrzyła znowu na mnie i rzekła:

—Sądzę, że lepiej byłoby, gdyby mi pan powiedział, panie Marlowe.

—Poszedłem tam z pieniędzmi — mówiłem. — Spytałem ją, jak było umówione. Poszedłem do jej mieszkania, żeby z nią pogadać. Tam zostałem zamroczony przez jakiegoś mężczyznę, który ukrył się za zasłoną. Nie widziałem tego mężczyzny. Kiedy przyszedłem do siebie, ona była zamordowana.

—Zamordowana ?

—Zamordowana — potwierdziłem.

Przymknęła swe piękne oczy, a kąciki jej ładnych ust ściągnęły się. Potem wstała gwałtownie i podeszła do marmurowego stolika. Wyjęła papierosa z małej skrzyneczki z kutego srebra i zapaliła go wpatrując się bezmyślnie w stół. Kilkakrotnie poruszyła zapalką, a wreszcie rzuciła ją niezgaszoną do popielniczki. Odwróciła się i oparła o stół.

—Przypuszczam, że powinnam krzyknąć albo coś w tym rodzaju — zauważyła. — Ale wydaje mi się, że nie doznaję żadnych uczuć w związku z tym wydarzeniem.

Degarmo powiedział:

—Na razie nie jesteśmy zainteresowani pani uczuciami. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie jest Kingsley. Może nam pani powiedzieć albo nie. W każdym razie może pani zrezygnować z ceremonii. Potrzebna nam jest tylko odpowiedź.

Spytała mnie spokojnie:

—Ten porucznik jest oficerem policji miejskiej Bay City ?

Potaknąłem. Zwróciła się ku niemu wolno z lekceważącą godnością. — W tym wypadku — rzekła — nie ma większego prawa do przebywania w moim mieszkaniu niż jakiś wrzaskliwy włóczęga, który usiłuje pokazać, jaki jest ważny.

Degarmo popatrzył na nią. Uśmiechnął się, przeszedł przez pokój i usiadłszy na głębokim fotelu, wyciągnął swe długie nogi i kiwnął na mnie ręką.

—Dobra, niech pan z nią rozmawia. Mógłbym zyskać współpracę chłopaków z Los Angeles, ale zanim im wytłumaczę całą sprawę, to upłynie tydzień czasu.

Powiedziałem:

—Panno Fromsett, jeśli pani wie, gdzie on jest albo gdzie wyjechał, proszę nas poinformować. Chyba pani rozumie, że musimy go znaleźć.

Spytała spokojnie: — Dlaczego ?

Degarmo potrząsnął głową i roześmiał się.

—Ta dzidzia jest dobra — zawołał. — Może ona myśli, że będziemy utrzymywać przed nim w sekrecie, że jego żona została zabita.

—Ona jest lepsza, niż pan przypuszcza — zauważyłem. Jego twarz spoważniała i ugryzł się w kciuk. Obrażliwie obejrzał sobie pannę Fromsett od stóp do głowy.

—Czy to tylko dlatego, żeby mu o tym powiedzieć ? — spytała.

Wyjąłem zielono-żółty szalik z kieszeni, potrząsnąłem nim i pokazałem jej.

—To znaleziono w tym pokoju, gdzie została zamordowana. Myślę, że pani to widziała.

Popatrzyła na szalik, popatrzyła na mnie i w żadnym z tych spojrzeń nie było żadnego wyrazu. Odezwała się znowu:

—Pan żąda zbyt wielkiego zaufania, panie Marlowe. Zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę, że nie jest pan bynajmniej zbyt zręcznym detektywem.

—Żądam i spodziewam się je otrzymać — powiedziałem. — A jaki jestem zręczny, to na ten temat nie wie pani właściwie nic.

—To bardzo mądre — wtrącił Degarmo. — Wy dwoje przedstawiacie bardzo przyjemną parę. Potrzeba jeszcze akrobatów, żeby wam towarzyszyli. Ale teraz ...

Przerwała, jakby go w ogóle nie było.

—Jak została zamordowana ?

—Była uduszona, rozebrana do naga i podrapana paznokciami.

—Derry nie zrobiłby czegoś takiego — zauważyła spokojnie.

Degarmo parsknął.

—Nikt nigdy nie wie, co ktoś inny może zrobić. Każdy policjant wie coś o tym.

Nadal nie spojrzała na niego. Spytała tym samym spokojnym tonem: — Pan chce wiedzieć, dokąd pojechaliśmy, gdyśmy wyszli z pańskiego mieszkania, czy on mnie odwiózł do domu i tak dalej ?

—Tak.

—Ponieważ, gdyby to zrobił, nie miałby czasu jechać na brzeg i jej zabić ? O to chodzi ?

—Przede wszystkim o to.

—Nie odwiózł mnie do domu — odezwała się z namysłem. — Złapałam taksówkę na bulwarze hollywoodzkim, nie później niż pięć minut po wyjściu z pana mieszkania. Od tej chwili go nie widziałam. Przypuszczam, że wrócił do domu.

—Zazwyczaj dziewczynki próbują zapewnić swoim przyjaciółom trochę lepsze alibi — rzekł Degarmo. — Ale to różnie bywa, co ?

Panna Fromsett powiedziała do mnie.

—Chciał mnie odwieźć do domu, ale to było dla niego nie po drodze i oboje byliśmy zmęczeni. Dlatego to panu mówię, ponieważ wiem, że i tak to ostatecznie nie ma znaczenia. Gdybym myślała, że tak nie jest, nie powiedziałabym nic.

—A więc miał czas —zauważyłem.

Potrząsnęła głową.

—Nie wiem. Nie wiem, ile czasu potrzebował. Nie wiem, skąd mógłby wiedzieć, gdzie ona była. Nie ode mnie ani nie od niej za moim pośrednictwem. Ona mi nie powiedziała. — Jej ciemne oczy badawczo zagłębiały się w moich.

—Czy na tego rodzaju zaufaniu panu zależało ? — spytała.

Złożyłem szalik i włożyłem go znowu do kieszeni.

—Chcemy wiedzieć, gdzie on teraz jest.

—Tego nie mogę powiedzieć, ponieważ nie mam pojęcia.

Jej oczy śledziły szalik aż do mojej kieszeni i zatrzymały się tam.

—Mówił pan, że ktoś pana ogłuszył. To znaczy, był pan nieprzytomny ?

—Tak. Ktoś kto ukrył się za zasłoną. Stale wpadamy w takich wypadkach. Ona groziła mi rewolwerem, a ja usiłowałem go jej odebrać. Nie ma wątpliwości, że to ona zastrzeliła Lavery'ego.

Degarmo wstał nagle:

—Odgrywacie bardzo ładną scenę kolego — warknął — ale nie dochodzicie do żadnych rezultatów. Idziemy.

Powiedziałem:

—Niech pan poczeka minutkę, jeszcze nie skończyłem. Przypuśćmy, że coś mu ciążyło, panno Fromsett, coś go bardzo dręczyło. Tak właśnie wyglądał. Przypuśćmy, że wiedział o tym wszystkim więcej niż my, czy powiedzmy, ja wiedziałem, i wiedział o rzeczach bardzo przykrych. Czy nie pojechałby gdzieś, gdzie by mógł posiedzieć spokojnie i pomyśleć, co dalej robić ? Jak pani sądzi ?

Zatrzymałem się i czekałem spoglądając z boku na zniecierpliwionego Degarmo. Po chwili dziewczyna odezwała się bezdźwięcznie:

—Nie uciekłyby ani nie ukryłyby się, ponieważ nie było nic, przed czym miałyby uciekać albo się ukrywać. Ale możliwe, że chciały trochę mieć czasu do namysłu.

—W jakimś obcym miejscu, w hotelu — powiedziałem rozmyślając o historii, którą mi opowiadano w Granadzie. — Albo w o wiele spokojniejszym miejscu niż hotel.

Rozejrzałem się za telefonem.

—Jest w mojej sypialni — rzekła panna Fromsett wiedząc raptem, za czym się rozglądam.

Udałem się tam. Degarmo siedł za mną. Sypialnia była utrzymana w kolorze kości słoniowej i herbacianych róż. Stało tam duże łóżko, a na poduszce było małe zaokrąglone zagłębienie od głowy. Przybory toaletowe połyskiwały na wbudowanej w ścianie toalecie kilkuczęściowym lustrem. Przez otwarte drzwi widać było kolorowe kafelki łazienki. Telefon stał na nocnym stoliku przy łóżku.

Usiadłem na krawędzi łóżka, pogładziłem miejsce, gdzie spoczywała głowa panny Fromsett, podniosłem słuchawkę i nakręciłem numer międzymiastowej. Gdy zgłosiła się telefonistka, poprosiłem o połączenie z Jimem Pattonem w Puma Point, osobiście, bardzo pilne. Odłożyłem słuchawkę i zapaliłem papierosa. Degarmo wpatrywał się we mnie stojąc na rozkraczonych nogach, twardy, nie zmęczony i gotów do awantury. — Co teraz ? — Chrząknął.

—Czekajmy i zobaczymy.

—Co to za komedia ?

—Sam mnie pan prosił, żebym ją odegrał. Robię to, jeśli pan nie chce, żeby sprawą zajęła się policja z Los Angeles.

Zapałił zapałkę na paznokciu kciuka, patrzył, jak się pali, i usiłował ją zdmuchnąć długim mocnym oddechem, ale tylko odchylił płomień. Rzucił zapałkę, wsadził drugą między zęby i gryzł ją. Za chwilę zadzwonił telefon.

—Puma Point na linii.

Dał się słyszeć zaspany głos Pattona.

—Tak ? Tu Patton, Puma Point.

—Tu Marlowe w Los Angeles — oznajmiłem. — Pamięta mnie pan ?

—Pewnie, że cię pamiętam, synu. Tylko jestem jeszcze półprzytomny.

—Mam wielką prośbę — powiedziałem — Chociaż nie wiem, dlaczego miałyby ją pan spełnić: niech pan pojedzie albo pośle kogoś do Jeziora Jelonków i sprawdzi, czy jest tam Kingsley. Tylko niech on pana nie zobaczy. Może pan sprawdzić, czy jest jego wóz przy domku albo czy pali się światło. I żeby nigdzie nie odjechał. Proszę zadzwonić, jeśli pan będzie wiedział. Zaraz przyjadę. Może pan to zrobić ?

Patton rzekł:

—Nie mam powodu, żeby go zatrzymać, gdyby chciał odjechać.

—Ze mną będzie oficer policji z Bay City, który chce go przesłuchać na okoliczność morderstwa. Nie pańskiego morderstwa, innego.

Mrukliwa cisza zapadła na linii. Patton zapytał: — Nie żartujesz, synu ?

—Nie. Proszę zadzwonić do mnie pod Tunbrigde 2722.

—Prawdopodobnie zajmie mi to z pół godziny — powiedział.

Odłożyłem słuchawkę. Degarmo teraz wyszczerzał zęby w zadowolonym uśmiechu. — Ta dzidzia dała panu jakiś znak, którego nie mogłem zrozumieć ?

Wstałem z łóżka.

—Nie. Po prostu usiłuję czytać w jego myślach. On nie jest zimnokrwistym zabójcą. Cały ogień, jaki w nim był, teraz się wypalił. Myślałem, że powinien siedzieć w najbardziej spokojnym i odległym miejscu, jakie zna, po prostu żeby zapomnieć trochę o zmartwieniach. W kilka godzin przyjdzie do siebie. Będzie wyglądało lepiej dla pana, jeśli pan go złapie, zanim do tego dojdzie.

—Jeśli nie napcha sobie ołowiu do głowy — rzekł Degarmo chłodno. — Faceci tego typu, co on, są bardzo skłonni to tego.

—Nie może mu pan przeszkodzić, póki pan go nie znajdzie.

—To prawda.

Wróciliśmy do pokoju. Panna Fromsett wytknęła głowę z kuchenki i powiedziała, że zrobi kawę, jeśli chcemy się napić. Wypiliśmy trochę kawy i siedzieliśmy jak ludzie, którzy czekają na stacji kolejowej na przyjazd przyjaciół.

Patton zadzwonił za dwadzieścia pięć minut. W domu Kingsleya świeciło się światło i stał przy nim samochód.

## Rozdział XXXVI

Przegryźliśmy coś niecoś w Alhambrze i uzupełniłem benzynę. Zjechaliśmy z autostrady numer 70 i zaczęliśmy wymijać ciężarówki jadące do kraju rancz. Siedziałem za kierownicą. Degarmo ponuro tkwił w rogu trzymając ręce głęboko w kieszeniach.

Obserwowałem gęste szeregi drzew pomarańczowych. Słuchałem pojękiwania opon na bruku i czułem się zmęczony i osowiały z powodu nie przespanej nocy i zbyt wielu emocji.

Dotarliśmy do długiego stoku na południe od San Dimas, który wznosi się do grzbietu i opada w dół do Pomony. Tu kończy się pas mgieł i zaczyna się na wpół pustynna okolica, gdzie słońce rankiem jest jasne i czerwone jak dojrzała wiśnia, gorące jak rozpalone palenisko w południe, a wieczorem spada jak cegła za horyzont.

Degarmo wsadził zapalną w kącik ust i odezwał się prawie kpiąco:

—Webber zrobił mi straszną awanturę wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że mówił z panem i powiedział o czym.

Milczałem. Spojrzał na mnie i odwrócił oczy. Pomachał ręką.

—Gdyby ode mnie zależało, nigdy nie mieszkałbym w tej przekłętej okolicy. Powietrze jest tu zatechłe od wschodu słońca.

—Za minutę będziemy w Ontario. Skręcimy później w aleję i zobaczy pan pięć mil najpiękniejszych drzew grevillea na świecie.

—Mało mnie one obchodzą — mruknął Degarmo.

Przejechaliśmy przez centrum miasta i skręciliśmy na północ od Euclid wzdłuż wspaniałej parkowej alei. Degarmo szyderczo uśmiechał się do drzew. Po chwili rzekł:

—To moja dziewczyna utopiła się w tamtym jeziorze. Nie miałem po kolei w głowie od czasu jak o tym usłyszałem. Wszędzie widzę krew. Gdybym mógł dostać w swoje ręce tego Chessa ...

—Już pan dosyć narobił biedy — powiedziałem — pozwalając jej uciec, kiedy zamordowała żonę Almore'a.

Patrzyłem wprost przed siebie na szybę ochronną. Widziałem, że jego głowa poruszała się, a jego oczy jak skamieniałe wpatrzyły się we mnie. Nie wiedziałem, jaki wyraz maluje się na jego twarzy. Po długiej chwili zaczął mówić. Słowa wychodziły przez zęby i urywały się.

—Zwariował pan czy co ?

—Nie — odparłem. — Pan również nie zwariował. Pan wie równie dobrze, jak każdy, że Florence Almore nie wyszła z łóżka i nie poszła sama do garażu. Wie pan, że ją zaniesiono. Wie pan, dlaczego Talley ukradł jej pantofel, że ten pantofel nigdy nie dotknął betonowego chodnika. Wie pan, że Almore dał swojej żonie zastrzyk w rękę w szulerni Condy'ego i że był to zastrzyk normalny, ani trochę nie za duży. Almore umiał robić zastrzyki w rękę tak biegle, jak pan umie nastraszyć włóczęgę, który nie ma pieniędzy ani miejsca do spania. Wie pan, że Almore nie zamordował swojej żony za pomocą morfiny i że gdyby chciał ją zamordować, morfina byłaby ostatnim środkiem, jakiego by użył. Ale wie pan, że zrobił to ktoś inny i że Almore zaniósł żonę do garażu i położył ją tam — formalnie jeszcze na tyle żywą, żeby mogła wciągnąć w płuca trochę dwutlenku węgla, ale medycznie tak martwą, jakby już przestała oddychać. Wszystko to pan wie.

Degarmo zapytał miękko: — Bracie, jak ci się udało, że do tej pory jeszcze żyjesz ?

Odpowiedziałem:

—Udało to mi się w ten sposób, że nie wpadam łatwo na różne kawały i nie boję się zaudowowanego gburowatych facetów. Tylko wariat zrobiłby to, co Almore, tylko wariat i ogromnie wystraszony człowiek, który ma na swoim sumieniu sprawę, jakie nie mogą ujrzeć dziennego światła. Technicznie mógłby nawet być winien morderstwa. Nie wiem, czy podobnego rodzaju kwestię kiedykolwiek rozstrzygano. Z pewnością miałby diabelnie dużo roboty z udowodnieniem, że ona była już w takim stanie, że nie istniała już żadna możliwość pomocy, biorąc sprawę praktycznie, jeśli zapytamy, kto ją zabił, to pan wie doskonale, że zabiła ją tamta kobieta.

Degarmo roześmiał się. Był to zgrzytliwy śmiech, nieprzyjemny, nie tylko bezlitosny, ale i bez sensu.

Przebyliśmy aleję i znowu skręciliśmy na wschód. Myślałem, że jeszcze jest chłodno, ale Degarmo pocił się. Nie mógł zdjąć marynarki z powodu pistoletu, który miał pod pachą. Mówiłem dalej:

—Mildred Haviland romansowała z Almor'em i jego żona o tym wiedziała. Groziła mu. Dowiedziałem się o tym od jej rodziców. Mildred Haviland wiedziała wszystko o morfinie, gdzie dostać, co jej było potrzebne, i ile użyć. Była sama w domu z Florence Almore, potem jak ją położyła do łóżka. Była na tyle wyrafinowana, że napełniła strzykawkę odpowiednią ilością morfiny i wstrzyknęła ją nieprzytomnej kobiecie przez nakłucie pozostałe po zastrzyku doktora Almore. Jego żona mogłaby nawet umrzeć zanim wrócił do domu i on znalazłby ją



martwą. Sam musiałby sobie poradzić z całą sprawą. Nikt by nie uwierzył, że ktoś śmiertelnie zatrul jego żonę. Nikt, kto by nie znał wszystkich okoliczności. Ale pan znał. Musiałbym przypuszczać, że jest pan o wiele większym głupcem, niż myślałem, żeby wierzyć, iż pan nie wiedział. Wypędził pan ją z miasta, spoza niebezpieczeństwa, spoza zasięgu prawa, ale pokrył pan za nią wszystko. Ukręcił pan łeb sprawie. Potrafiła pana tak omotać. Dlaczego przyjechał pan szukać jej w górach?

—A jak wpadłem na to, gdzie szukać? — zapytał szorstko. — Czy nie byłoby uciążliwe dla pana i to także wytłumaczyć?

—Nie sędzę — powiedziałem. — Miała już dosyć Billa Chessa, jego czułości, jego humorów i pijaństwa. Ale, żeby uciec, musiała mieć pieniądze. Uważała, że jest teraz bezpieczna i że ma haczyk na doktora Almore. Więc napisała do niego o pieniądze. On posłał pana, żeby pan z nią pogadał. Nie napisała, jakie jest jej obecne nazwisko, ani nie podała żadnych szczegółów, gdzie i jak mieszka. List zaadresowany na Mildred Haviland w Puma Point doszedłby do niej. Potrzebowała tylko o niego spytać. Ale żaden list nie przyszedł i nikt nie łączył jej z Mildred Haviland, a pan miał tylko starą fotografię i pańskie jak zwykle gburowate maniere. A to panu nie mogło pomóc u tutejszych ludzi.

Degarmo spytał głucho:

—Kto panu powiedział, że chciała pieniędzy od Almore'a?

—Nikt. Musiałem coś wymyślić, żeby mi pasowało. Gdyby Lavery albo pani Kingsley zorientowali się, kim była Muriel, i powiedzieli o tym, wiedziałby pan, gdzie jej szukać i jakiego nazwiska używa. Tych rzeczy pan nie wiedział. Stąd też trop prowadzi do jedynej osoby która wiedziała, kim ona jest, a tą osobą była ona sama. Dlatego też przypuszczam, że ona pisała do Almore'a.

—Dobra — odezwał się wreszcie. — Mniejsza o to. Teraz to nie robi już różnicy. Jeśli wleciałem w błoto, to mój interes. Zrobilibym to samo w podobnych okolicznościach.

—To w porządku — powiedziałem. — nie myślę tego wykorzystywać przeciwko komukolwiek. Ani nawet przeciwko panu. Wspomniałem o tym przede wszystkim dlatego, że pan nie próbował przyczepić Kingsleyowi jeszcze jakichś morderstw, które do niego nie należą. Wystarczy mu to jedno, jeśli je popełnił.

—Dlatego mi to pan powiedział? — zapytał.

—Tak.

—Myślałem, że dlatego, iż mnie pan nienawidzi.

—Skończyłem już z nienawidzeniem pana — odparłem. — To już wszystko ze mnie spłynęło. Nienawidzę ludzi mocno, ale nie nienawidzę ich długo.

Jechaliśmy teraz przez krainę winorośli, otwartą piaszczystą krainę u stóp jałowych zboczy pagórków. W krótkim czasie przybyliśmy do San Bernardino i pojechaliśmy dalej nie zatrzymując się ani na chwilę.

## Rozdział XXXVII

Przy linii grzbietu, na poziomie pięciu tysięcy stóp, nie zaczęło się jeszcze ocieplać. Zatrzymaliśmy się na piwo. Kiedy wróciliśmy do samochodu, Degarmo wyjął rewolwer ze

swojej kabury umieszczonej pod pachą i obejrzał go. Był to Smith and Wesson kalibru .38 na łożu pistoletu .44. Cholerna broń, z kopsem jak czterdziestka piątka, a o wiele większym skutecznym zasięgiem.

—Nie będzie pan tego potrzebował — powiedziałem. — On jest kawał chłopca i silny, ale nie taki zacięty.

Schował znowu rewolwer pod pachę i chrząknął. Nie rozmawialiśmy już więcej. Zatacaliśmy się na zakrętach i ostrych krawędziach ogrodzonymi białymi poręczami ochronnymi, a w niektórych miejscach ścianami z polnych kamieni i ciężkimi żelaznymi łańcuchami. Wymijaliśmy wysokie dęby i wspinaliśmy się na wyżyny, gdzie dęby nie były już tak wysokie, a sosny wyrastały coraz wyższe i wyższe. Wreszcie dotarliśmy do tamy przy Jeziorze Pummy.

Zatrzymałem samochód, a wartownik przerzucił broń przez plecy i podszedł do nas.

—Proszę zamknąć wszystkie okna przed wjazdem na tamę — oznajmił.

Sięgnąłem, żeby podkręcić okno po mojej stronie. Degarmo podniósł swój znaczek. — Nie zwracaj głowy, kolego. Jestem oficerem policji — powiedział ze zwykłym taktem.

Wartownik obdarzył go długim spojrzeniem bez wyrazu.

—Proszę zamknąć wszystkie okna — powtórzył tym samym tonem.

—Guzik — chłopcze — powiedział Degarmo. — Guzik żołnierzyku.

—Taki jest rozkaz — rzekł wartownik. Jego mięśnie szczęk lekko nabrzmiały. Jego ciemnoszare oczy wpatrywały się w Degarmo. — A ja nie piszę rozkazów, panie. Zamknąć okna!

—A jakbym ci powiedział, żebyś skoczył do jeziora ? — szydził Degarmo.

Wartownik powiedział:

—Mógłbym to zrobić. Ja jestem bardzo strachliwy.

Poklepał twardą ręką kolbę karabinu. Degarmo odwrócił się i zamknął okno po swojej stronie. Przejechaliśmy po grobli. W środku stał również wartownik, a na drugim końcu jeszcze jeden. Pierwszy musiał im dać jakiś sygnał. Patrzyli na nas nieruchomymi czujnymi oczyma bez życzliwości.

Jechałem między spiętrzonymi masami granitu i w dół wśród łąk szorstkiej trawy, gdzie pasły się krowy. Te same śmieszne spodnie i krótkie szorty i wiejskie chusteczki jak wczoraj, ten sam lekki powiew i złote słońce, i jasne, niebieskie niebo, ten sam zapach sosnowego igliwia, ta sama chłodna miękkość górskiego lata. Ale wczoraj było przed wiekiem, wczoraj to coś, co zastygło w czasie jak mucha w bursztynie.

Skręciłem na drogę do Jeziora Jelonków i jechałem drogę wijącą się wśród ogromnych skał i nad bulgoczącym wodospadem. Brama do posiadłości Kingsleya była otwarta, a wóz Pattona stał przy drodze skierowany w stronę niewidocznego stąd jeziora. W samochodzie nikt nie siedział. Na szybie ochronnej w dalszym ciągu widniał napis: WYBIERZCIE PONOWNIE KONSTABLEM JIMA PATTONA. ON JEST ZA STARY, ŻEBY PRACOWAĆ.

W pobliżu, skierowany w przeciwną stronę, stał mały podniszczony samochód. Wewnątrz było widać kapelusz łowcy lwów. Zatrzymałem się za wozem Pattona, zgasiłem motor i wysiadłem. Andy wyszedł ze swego wozu i stał patrząc na nas drewniano. Powiedziałem: — To jest porucznik Degarmo z policji Bay City.

Andy na to: — Jim jest po drugiej stronie wzgórza. Czeka na was. Nie jadł śniadania.

Poszliśmy drogą pod górę, a Andy wsiadł do swego samochodu. Poniżej droga wpadała do błękitnego jeziora. Domek Kingsleya po drugiej stronie wody wydawał się bez życia.

— To jest Jezioro Jelonków — odezwałem się.

Degarmo popatrzył na nie w milczeniu. Jego ramiona poruszyły się ciężko.

— Chodźmy do tamtego sukinsyna — rzekł.

Poszliśmy dalej i Patton wstał do nas zza skały. Nosił tego samego starego Stetsona, spodnie khaki i koszulę zapiętą pod grubą szyją. Gwiazda na lewej piersi miała nadał zagięty promień. Jego szczęki poruszały się zwolna żując tytoń.

— Cieszę się, że się znowu spotykamy — rzekł nie patrząc na mnie, ale na Degarmo.

Wyciągnął dłoń i uściśnął twardą łapę Degarmo.

— Ostatnim razem jak pana widziałem, poruczniku, nosił pan inne nazwisko. Rodzaj kryptonimu, sądzę, jak wy to nazywacie. Myślę również, że nie postąpiłem z panem właściwie. Przepraszam. Zdaje się że wiedziałem przez cały czas, kto był na tej pańskiej fotografii.

Degarmo kiwnął głową i nie powiedział nic.

— Wygląda na to, że gdybym postępował właściwie i zrobił to, co do mnie należy, zaoszczędziłoby się kupę zmartwień — mówił Patton. — Może można było ocalić jedno życie. Trochę się martwię, ale znowu nie jestem facetem, który martwi się bardzo długo. Przypuszczam, że usiądziemy tutaj i opowiecie mi, co powinniśmy teraz robić.

Degarmo rzekł:

— Żona Kingsleya została zamordowana wczoraj w nocy w Bay City. Muszę z nim na ten temat pogadać.

— Chce pan przez to powiedzieć, że go pan podejrzewa ?

— I jeszcze jak — burknął Degarmo.

Patton potarł się po karku i spojrzał na drugą stronę jeziora.

— Nie pokazał się z chałupy. Prawdopodobnie usnął. Wczesnym rankiem pokręciłem się trochę koło domku. Było puszczone radio i słyszałem, jakby ktoś się bawił butelką i kieliszkiem. Nie podchodziłem do niego. Dobrze zrobiłem ?

— Pójdziemy tam teraz — powiedział Degarmo.

— Ma pan broń, poruczniku ?

Degarmo poklepał się pod lewą pachą. Patton spojrzał na mnie. Potrząsnąłem głową. Nie miałem broni.

— Kingsley też może mieć — zauważył Patton. — Nie bardzo bym chciał, żeby przypadkiem doszło do strzelaniny, poruczniku. Nie byłoby dobre dla mnie, żeby zdarzyła się u nas jakaś walka na rewolwery. Nie mamy tu na to odpowiedniego społeczeństwa. Wygląda mi pan na człowieka, który potrafi szybko wyciągnąć pistolet.

— Mam dobrą szybkość, jeśli o to panu chodzi — powiedział Degarmo. — Ale chcę, żeby ten facet gadał.

Patton spojrzał na Degarmo, spojrzał na mnie, spojrzał znowu na Degarmo i wypluł długim strumieniem sok tytoniowy.

— Nie słyszałem dosyć, żeby nawet podejść do niego — nalegał uparcie.

Usiedliśmy więc na ziemi i opowiedzieliśmy mu całą historię. Słuchał w milczeniu nie mrugnawszy nawet okiem.

W końcu rzekł do mnie:

—Pan w jakiś śmieszny sposób pracuje dla swoich chlebobawców, zdaje mi się. Osobiście mam wrażenie, że wy, chłopaki, jesteście diabelnie wprowadzeni w błąd przez kogoś. Dobra, chodźmy i zobaczymy. Ja wejdę pierwszy — w wypadku, gdybyście mieli rację, a Kingsley miał broń i był zdesperowany. Mam duży brzuch. Jest z niego niezła tarcza.

Wstaliśmy i ruszyliśmy drogą przy jeziorze. Gdy doszliśmy do małego falochronu, spytałem:

—Czy przeprowadzili obdukcję, szeryfie ?

Patton kiwnął głową. — Rzeczywiście się utopiła. Mówią, że są zadowoleni. To znaczy, chciałem powiedzieć, że rzeczywiście się utopiła. Nikt jej nie zakłuł nożem ani nie zastrzelił, ani nie rozbił głowy czy coś w tym rodzaju. Są ślady na ciele, ale nie takie, żeby miały jakieś znaczenie. Ale nie jest to zbyt ładne ciało do badań.

Degarmo zbladł i widać było, że się wścieka.

—Sądzę, że nie powinienem tego powiedzieć, poruczniku — dodał Patton łagodnie. — Trudno się z tym pogodzić. Widzę, że pan znał tę panią dość dobrze.

Degarmo powiedział:

—Nie mówmy o tym i róbmy, co do nas należy.

Podeszliśmy do domku Kingsley'a. Weszliśmy na schody. Patton przeszedł spokojnie przez ganek do drzwi. Poruszył siatką. Nie była zamknięta. Otworzył ją i spróbował drzwi. Również nie były zamknięte. Nie otwierał drzwi całkowicie, trzymając rękę na klamce, a Degarmo ujął siatkę i rozsunał ją szeroko. Patton otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Derace Kingsley, z zamkniętymi oczami, leżał w głębokim fotelu przy wygasłym kominku. Koło niego stała pusta szklanka i prawie pusta butelka whisky. W pokoju czuć było whisky. Popielniczka koło butelki była pełna niedopałków. Dwa zgniecione opakowania leżały na niedopałkach.

Wszystkie okna były zamknięte, powietrze duszne i gorące. Kingsley był ubrany w sweter, twarz miał czerwoną i obrzmiałą. Chrapał, a jego ręce zwisały z fotela, tak, że palce dotykały podłogi.

Patton podeszedł bliżej i stał patrząc na niego w milczeniu przez długą chwilę, zanim zaczął mówić.

—Panie Kingsley — powiedział łagodnym równym głosem — chcieliśmy z panem trochę porozmawiać.

## Rozdział XXXVIII

Kingsley drgnął gwałtownie, otworzył oczy i poruszył nimi nie poruszając głową. Popatrzył na Pattona, potem na Degarmo, wreszcie na mnie. Z wolna usiadł na fotelu i potarł dłońmi policzki.

—Usnąłem — rzekł. — Usnąłem dwie godziny temu. Zdaje się, że byłem pijany jak świnia. W każdym razie bardziej pijany, niż to lubię.

Opuścił ręce bezwładnie. Patton powiedział:

—To jest porucznik Degarmo z policji miejskiej Bay City. Ma z panem pomówić.

Kingsley spojrział krótko na Degarmo, a potem skierował wzrok na mnie. Gdy przemówił, jego głos brzmiał trzeźwo i spokojnie, lecz był śmiertelnie zmęczony.

—Więc wydał im ją pan ? — spytał.

—Powiniennem był to zrobić, ale do tego nie doszło — odparłem.

Kingsley zastanowił się nad tym patrząc na Degarmo. Patton zostawił frontowe drzwi otworem. Podniósł weneckie żaluzje przy dwóch frontowych oknach i otworzył okna. Siedział na fotelu koło jednego z nich i złożył ręce na brzuchu. Degarmo stał patrząc rozjarzonym wzrokiem na Kingsleya.

—Pańska żona nie żyje, Kingsley — powiedział brutalnie. — Jeśli to jest jakaś nowość dla pana.

Kingsley patrzył na niego i zwilżył wargi.

—Jakoś nie bardzo się tym przejmujemy, prawda ? — rzekł Degarmo. — Pokaż pan mi ten szalik.

Wyciągnąłem zielono-żółty szalik i powiałem nim. Degarmo ruszył kciukiem. — Pana ?

Kingsley kiwnął głową. Znowu zwilżył wargi.

—To już frajerstwo zostawiać takie rzeczy za sobą — szydził Degarmo. Oddychał mocno. Nos miał zaróżowiony, a głębokie bruzdy biegingy od nosa do kąćików jego ust.

Kingsley zapytał spokojnie:

—Zostawiać za sobą ?

Ledwie rzucił okiem na szalik. W ogóle nie patrzył na mnie.

—W gmachu Granada przy Ósmej ulicy w Bay City. Mieszkanie 716. Czy to dla pana nowość ?

Kingsley bardzo wolno podniósł wzrok, by spotkać moje oczy.

—Czy ona tam była ? — szepnął.

Kiwnąłem.

—Nie chciała, żebym tam poszedł. Nie chciałem jej dać pieniędzy, póki z nią nie porozmawiam. Przyznała, że zastrzeliła Lavery'ego. Wyciągnęła rewolwer i chciała ze mną zrobić to samo. Ktoś wyskoczył zza zasłony i zamrocył mnie, ale nie zdążyłem zauważyć kto. Gdy przyszedłem do siebie, ona była zamordowana.

Opowiedziałem mu, w jaki sposób ją zamordowano i jak wyglądała. Powiedziałem mu, co zrobiłem, i co ze mną robiono.

Słuchał i ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy. Gdy skończyłem, zrobił nieznaczny gest w stronę szalika.

—A to co ma z tym wszystkim wspólnego ?

—Porucznik uważa to za dowód, że to pan był ukryty w mieszkaniu.

Kingsley zastanowił się. Miałem wrażenie, że niezbyt szybko wyprowadza wnioski. Odchylił się w fotelu i oparł się o jego plecy.

—Mówcie dalej — odezwał się wreszcie. — Przypuszczam, że wiecie, o co wam chodzi. Ja osobiście, jestem pewny, że nie wiem.

Degarmo powiedział:

—Dobra, odgrywaj pan głupiego. Zobaczysz pan, czy to się panu opłaci. A może by pan tak wpierw powiedział, co pan robił wczorajszej nocy, potem jak odstawił pan swoją cizję do domu.

Kingsley rzekł obojętnie:

—Jeśli pan ma na myśli pannę Fromsett, to nie byłem u niej. Przyjechałem bezpośrednio tutaj. Uważałem, że przejażdżka, noc i spokój pomogą mi przyjść do siebie.

—Pomyślcie sobie — zarzął Degarmo. — Przyjść do siebie po czym, jeśli wolno zapytać ?

—Przyjść do siebie po wszystkich moich zmartwieniach.

—Cholera — powiedział Degarmo. — Taka drobnostka jak uduszenie żony i podrapanie jej paznokciami chyba nie przysporzyła panu tylu zmartwień.

—Synu nie powinieneś mówić takich rzeczy — wtrącił Patton z tyłu. — To nie jest metoda. Nie przedstawiłeś dotychczas nic, co byłoby z grubsza podobne do dowodu.

—Nie ? — rzucił się Degarmo. — A co z tym szalikiem, tłuszczochu ? To nie jest dowód ?

—Nie połączyłeś tego z żadnym faktem ... a przynajmniej nie słyszałem nic w tym rodzaju — powiedział Patton pojednawczo. — Ponadto wcale nie jestem tłusty, tylko tęgawy.

Degarmo odwrócił się od niego z niesmakiem. Wymierzył swój palec w Kingsleya.

—Może pan w ogóle nie wyjeżdżał do Bay City, co ?

—Nie. Po co miałem w ogóle wyjeżdżać ? Marlowe tym się zajmował. A ponadto nie rozumiem, dlaczego pan robi taką historię z szalika. Marlowe go nosił.

Degarmo stanął jak skamieniały. Obrócił się bardzo wolno i rzucił mi wściekle spojrzenie.

—Nie kapuję — zawołał. — Słowo daję, nie kapuję. Wygląda na to, że ktoś ze mnie robi żarty. Co to jest ?

Powiedziałem:

—Mówiłem tylko, że ten szalik był w tamtym pokoju, i że Kingsley nosił go wcześniej tego samego wieczora. Panu to całkowicie wystarczyło, Mogłem dodać, że później nosiłem ten szalik sam, tak żeby kobieta, mogła mnie łatwiej zidentyfikować.

Degarmo odwrócił się od Kingsleya i oparł się o ścianę przy kominku. Wyciągnął swą dolną wargę między palcem wskazującym a kciukiem. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie u boku, palce lekko zakrzywione.

Mówiłem dalej: — Powiedziałem panu, że znałem panią Kingsley tylko z amatorskiego zdjęcia. Któryś z nas musiał mieć pewność co do zidentyfikowania drugiej osoby. W rzeczy samej widziałem ją już raz przedtem, choć o tym nie wiedziałem wtedy, gdy wychodziłem na to spotkanie. Ale też od razu jej nie poznałem. — Zwróciłem się do Kingsleya:

—Pani Fallbrook — wyjaśniłem.

—Pan, zdaje się mówił, że pani Fallbrook była właścicielką domu — odezwał się z namysłem.

—Wtedy tak powiedziała. I wtedy jej wierzyłem. Dlaczego miałbym nie wierzyć ?

Degarmo chrząknął. Oczy miał trochę błędne, kiedy opowiedziałem mu o pani Fallbrook, jej purpurowym kapeluszu, jej gadatliwości i o pustym pistolecie, jaki trzymała, i jak oddała go mnie. Gdy skończyłem, powiedział bardzo ostrożnie: — Nie słyszałem, żeby pan coś o tym mówił Webberowi.

—Nic mu nie mówiłem. Nie chciałem przyznać w ten sposób, że już byłem w domu trzy godziny wcześniej. Że wyszedłem, żeby całą sprawę omówić z Kingsleyem, zanim zamelduję ją w policji.

—To się nam ogromnie podoba — rzekł Degarmo z zimnym szyderstwem. — Jezu, co ze mnie za frajer. Ile pan płaci ternu łapaczowi, panie Kingsley, za załatwianie panu pańskich morderstw ?

—Zwykłą gażę — odparł Kingsley bezmyślnie. — I pięćset dolarów premii, jeśli potrafi udowodnić, że moja żona nie zamordowała Lavery’ego.

—Tylko kiepsko, że tego nie będzie mógł zrobić — zarzął Degarmo.

—Nie bądź pan głupi — powiedziałem. — Już to zrobiłem.

W pokoju zaległa cisza. Taka naładowana elektrycznością cisza, która zdaje się czekać na to, żeby wybuchnąć gromem. Wisiała ciężka i groźna. Kingsley poruszył się nieco w swoim fotelu, a po długiej chwili skinął głową.

—Nikt prawdopodobnie nie wie tego lepiej niż pan, panie Degarmo — rzekłem.

Patton miał w swojej twarzy tyle wyrazu, co kawał drzewa. Spokojnie obserwował Degarmo, w ogóle nie patrzył na Kingsleya. Degarmo patrzył w punkt pomiędzy moimi oczami, ale nie tak jakby patrzył na coś, co jest w pokoju. Raczej jakby wpatrywał się w coś bardzo dalekiego, jakąś górę za odległą doliną.

Po długiej, jak się zdawało, chwili Degarmo zapytał spokojnie:

—Nie wiem dlaczego. Absolutnie nic nie wiem o żonie Kingsleya. Według mojej najlepszej wiedzy nigdy nie widziałem jej na oczy aż do wczorajszej nocy.

Nieco opuścił powieki i obserwował mnie uważnie. Doskonale wiedział, co powiem. Powiedziałem to jednak mimo wszystko.

—I nie widział pan jej również ostatniej nocy. Ponieważ nie żyła już od miesiąca. Ponieważ została utopiona w Jezioru Jelonków. Ponieważ kobieta, którą pan widział w Granadzie, to była Mildred Haviland, a Mildred Haviland jest tą samą osobą co Muriel Chess. A ponieważ pani Kingsley w tym czasie, gdy zastrzelono Lavery’ego, już od dawna nie żyła, wniosek stąd, że pani Kingsley go nie zastrzeliła.

Kingsley zacisnął dłonie na poręczach fotela, ale nie odezwał się, nawet nie mrugnął.

## Rozdział XXXIX

Znowu zapadła ciężka cisza. Patton przerwał ją mówiąc dobitnym, powolnym głosem:

—Czy to nie zupełnie dzikie przypuszczenie ? Uważasz, że Bill Chess nie znał swojej własnej żony ?

Powiedziałem:

—Po miesiącu w wodzie ? W ubraniu jego żony i z jej błyskotkami ? Z wymytmymi przez wodę blond włosami, identycznymi z włosami jego żony, i prawie nierozpoznawalnej twarzy ? Dlaczego miałby mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Zostawiła samobójczą kartkę. Zniknęła. Kłócili się. Jej ubranie i samochód zniknęły. Przez miesiąc nikt o niej nie słyszał. Nie miał pojęcia, dokąd się udała. A potem wynurza się z wody ciało ubrane w kurtkę Muriel. Blondynka tego samego wzrostu, co jego żona. Oczywiście, można by znaleźć jakieś różnice, gdyby podejrzewano zamianę. Ale nie było powodów, by cokolwiek podejrzewać. Crystal Kingsley nadal żyła. Wyjechała z Lavery’em. Zostawiła swój samochód w San Bernardino. Wysłała telegram do męża z El Paso. Jeśli idzie przynajmniej o Billa Chessa wszystko było w porządku. W ogóle o niej nie myślał. Dla niego ona w ogóle nie wchodziła w rachubę. Dlaczego miałby o niej myśleć ?

Patton rzekł:

—Sam powinienem był o tym pomyśleć. Ale gdybym nawet pomyślał, przedstawiałoby się to dla mnie jako jedno z przypuszczeń, które się natychmiast odrzuca, natychmiast, gdy się nasuną. Wyglądałoby to nazbyt skomplikowanie.

—Pozornie tak — powiedziałem. — Ale tylko pozornie. Przypuśćmy że ciało nie zostałoby znalezione przed upływem roku albo w ogóle, póki by nie spuszczano w tym celu jeziora. Muriel Chess zniknęła i nikt nie zamierzał zawracać sobie głowy jej szukaniem. Moglibyśmy nigdy o niej nie usłyszeć. Pani Kingsley była w innej sytuacji. Miała pieniądze i stosunki, i zaniepokojonego męża. Szukano by jej dalej. Ale nie wcześniej, zanim by nie zdarzyło się coś wzbudzającego podejrzenia. Upłynęłyby miesiące, zanim by wykryto. Można byłoby spuścić jezioro, ale gdyby poszukiwania wskazywały, że opuściła tę miejscowość i dotarła aż do San Bernardino, a stąd pociągiem na wschód — wtedy nigdy by nie osuszano jeziora. Gdyby nawet znaleziono ciało, w myśl wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy by nie zidentyfikowano go właściwie. Bill Chess został aresztowany za zamordowanie żony. Z tego co wiem, mógłby zostać nawet skazany. Crystal Kingsley nadal by nie było i ten fakt pozostałby nierozwiązaną zagadką. Najwyżej można byłoby przypuszczać, że coś się jej zdarzyło i że ona już nie żyje. Ale nikt by nie wiedział, gdzie i co się zdarzyło. Gdyby nie było Lavery’ego, prawdopodobnie nie rozmawialibyśmy o tym. Lavery stanowił klucz do wszystkiego. Znalazł się w hotelu Prescott w San Bernardino tej nocy, kiedy przypuszczano, że Crystal Kingsley stąd wyjechała. Zobaczył kobietę, która miała samochód Crystal Kingsley, była ubrana w jej suknię i oczywiście wiedział, kim ona jest. Ale nie musiał wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Nie musiał wiedzieć, że ta kobieta jest ubrana w suknię Crystal Kingsley albo że zostawiła jej samochód w garażu. Na pewno wiedział tylko, że spotkał Muriel Chess. Muriel zajęła się resztą.

Przerwałem i czekałem, żeby ktoś coś powiedział. Nikt się nie odezwał. Patton siedział nieruchomo w swoim fotelu, niezgrabnie, bezwłose ręce trzymał złożone wygodnie na żołądku. Kingsley odchylił głowę do tyłu, miał oczy na wpół przymknięte i nie poruszał się. Degarmo oparł się o ścianę przy kominku — wysoki, blady i chłodny, potężny, twardy i ponury. Twardy i ponury mężczyzna, którego myśli były głęboko ukryte.

Ciągnąłem dalej:

—Jeśli Muriel Chess grała rolę Crystal Kingsley, to również ją zamordowała. To elementarna rzecz. Dobrze, rozpatrzmy tę sprawę. Wiemy, kim była Muriel Chess i jakiego rodzaju kobietą była. Popełniła już mord, zanim spotkała Billa Chessa. Była pielęgniarką u doktora Almore i jego kochanką, i zamordowała żonę doktora Almore tak sprytnie, że Almore musiał ją kryć. Była żoną pewnego funkcjonariusza policji w Bay City, który również był w wystarczającym stopniu frajerem, żeby ją kryć. Potrafiła tak owijać mężczyzn dookoła palca, że skoczyliby za nią w ogień. Nie znałem jej wystarczająco długo, żeby wiedzieć dlaczego, ale jej przeszłość na to wskazuje. Najlepszy przykład, co potrafiła zrobić z Lavery’em. Bardzo pięknie. Zabijała ludzi, którzy weszli jej w drogę, a żona Kingsleya również weszła jej w drogę. Właściwie nie powinienem o tym mówić, ale teraz nie ma to większego znaczenia. Crystal Kingsley również potrafiła po trosze owijać mężczyzn dookoła palca. Wzięła się za Billa Chessa, a żona Billa Chessa nie była kobietą, która by przechodziła nad takimi rzeczami do porządku dziennego. Ponadto była śmiertelnie znudzona życiem tutaj — na pewno była — i chciała się stąd wydostać. Ale potrzebowała pieniędzy. Próbowwała je wyciągnąć od Almore’a, a on wysłał Degarmo, żeby z nią pogadał. To ją trochę speszyło. Degarmo jest tego



rodzaju człowiekiem, o którym nigdy nie wiadomo, jak postąpi. Miała rację, że nie była go pewna, prawda, Degarmo ?

Degarmo ruszył nogą: — Gadaj dalej, kolego, i łyżj aż się kurzy — powiedział ponuro. — Opowiadaj te swoje bujdy, póki możesz.

—Mildred potrzebowała koniecznie sukni i samochodu Crystal Kingsley, a Kingsley mówi, że jego żona miała zwyczaj nosić przy sobie duże sumy. Ponadto musiała mieć biżuterię, którą ewentualnie można zamienić na pieniądze. I to wszystko czyniło zabicie Crystal Kingsley sprawą zarówno racjonalną jak i przyjemną. To, co mówię, załatwiłoby motywy. A teraz przechodzimy do środków i okoliczności.

Okazja nadarzyła się rychło. Pokłóciła się z Billem, a on pojechał się upić. Znała swojego Billa, wiedziała, jak długo będzie poza domem. Musiała się upewnić, czy starczy jej czasu. W przeciwnym wypadku cała sprawa wzięłaby w łeb. Musiała zapakować swoje rzeczy i wywieźć je samochodem do Jeziora Szopów i ukryć je tam, ponieważ te rzeczy musiały zniknąć. Musiała stamtąd wrócić na piechotę. Musiała zamordować Crystal Kingsley, ubrać ją w swoje ubranie i utopić ją w jeziorze. A to wszystko zajmowało czas. Co do samego morderstwa, przypuszczam, że ją utopiła albo zamroczyła czymś i utopiła w wannie w tym domu. To byłoby logiczne i proste. Była pielęgniarką i wiedziała, jak postępować z nieboszczykami. Umiała pływać — wiemy od Billa, że była bardzo dobrą pływaczką. A martwe ciało tonie. Potrzebowała je tylko skierować na głęboką wodę w to miejsce, gdzie jej było potrzeba. Nie jest to zadanie ponad siły kobiety umiejącej pływać. Ukryła ciało, ubrała się w sukienkę Crystal Kingsley, spakowała te z jej rzeczy, na które miała ochotę, wsiadła do samochodu Crystal Kingsley i odjechała. A w San Bernardino wpadła na swego pierwszego znajomego — Lavery'ego.

Lavery znał ją jako Muriel Chess. Nie mamy dowodów ani podstaw, by przypuszczać, że znał ją jako kogoś innego. Widział ją tutaj i prawdopodobnie znowu tutaj jechał, kiedy ją spotkał. Ona tego wcale nie chciała. Wprawdzie znalazłby on tu tylko zamknięty dom, ale mógłby może rozmawiać z Billem, a do jej planu należało to, żeby Bill nie wiedział na pewno, czy stąd wyjechała. Gdyby miał tę pewność, w razie znalezienia ciała mógłby je zidentyfikować. A więc zawinęła się koło Lavery'ego, a to nie było zbyt trudne. Jeśli cokolwiek wiemy pewnego o Lavery'm, to właśnie to, że nigdy nie potrafił darować żadnej kobiecie. Im więcej, tym lepiej. Był łatwy dla takiej przystojnej dziewczyny jak Mildred Haviland. A więc zaczęła z nim romansować i zabrała go z sobą. Zabrała go do El Paso i stąd wysłała telegram, o którym Lavery nic nie wiedział. Wreszcie wrócił z nią do Bay City. Prawdopodobnie nie mogła temu zapobiec. On chciał wrócić do domu. A ona nie mogła go zbyt daleko puścić od siebie. Bo Lavery był dla niej niebezpieczny. Tylko Lavery mógł zniszczyć te pozory, że Crystal Kingsley opuściła swój domek nad jeziorem. Gdyby poszukiwania za Crystal Kingsley się zaczęły, musiałyby one dojść do Lavery'ego i od tej chwili jego życie nie byłoby warte złamanego centa. Jeśli by nawet nie uwierzono jego pierwszym zaprzeczeniom, co rzeczywiście się stało, gdyby opowiedział całą historię, dano by jej wiarę, ponieważ można było sprawdzić fakty. No i zaczęły się poszukiwania i natychmiast Lavery został zastrzelony w swojej łazience, zaraz po moich odwiedzinach. To by wyjaśniło prawie wszystko, z wyjątkiem faktu, że ona wróciła do domu następnego rana. Mordercy bardzo często postępują w ten sposób. Ona mówiła, że zabrał jej pieniądze, ale w to nie wierzę. Bardziej prawdopodobne jest iż przypuszczała, że on miał trochę własnych

ukrytych pieniędzy, albo że na chłodno będzie mogła wykończyć robotę i upewnić się, że wszystko jest w porządku i wszystko wskazuje we właściwym kierunku. A może po prostu tak, jak powiedziała — żeby wnieść do środka gazety i mleko. Każdy z tych motywów jest prawdopodobny. Wychodziła już stamtąd, kiedy ja wszedłem, a ona odegrała komedię, która zmusiła mnie do milczenia.

Patton zapytał:

—Kto ją zabił, synu ? Jak się orientuje, nie uważasz, że to Kingsley to zrobił.

Spojrzałem na Kingsleya i powiedziałem:

—Pan podobno nie rozmawiał z nią przez telefon. Co z panną Fromsett ? Czy ona była przekonana, że rozmawiała z pana żoną ?

Kingsley potrząsnął głową.

—Wątpię. Ją trudno oszukać w taki sposób. Powiedziała tylko, że głos mojej żony wydawał się jej bardzo zmieniony i sztuczny. Nie miałem wtedy podejrzeń. Nie miałem podejrzeń, póki nie przyjechałem tutaj. Gdy wszedłem tutaj w nocy, poczułem, że coś jest nie w porządku. Było tu za czysto i za porządnie. Crystal nie zostawiłaby domu w takim stanie. W całej sypialni byłyby porozrzucane sukienki, niedopałki papierosów w całym domu, butelki i kieliszki w kuchni. Byłoby pełno nieumytych naczyń, mrówek i much. Myślałem, że żona Billa nie mogłaby zrobić tego w tym właśnie dniu. Była za bardzo zajęta tą kłótnią z Billem, a potem została zamordowana czy popełniła samobójstwo. Myślałem o tym dość chaotycznie, ale nie doszedłem do żadnych wniosków.

Patton wstał z fotela i wyszedł na ganek. Wrócił wycierając usta chusteczką. Usiadł znowu bardziej na lewej stronie, ponieważ po drugiej stronie miał kaburę. Popatrzył w zamyśleniu na Degarmo. Degarmo stał oparty o ścianę, jak skamieniały. Prawa jego ręka ze zgiętymi palcami zwisała nadal u boku.

Patton rzekł:

—Jeszcze nie słyszałem — kto zabił Muriel. Czy to jest część tego pokazu, czy też coś, co trzeba jeszcze rozwiązać ?

Odpowiedziałem:

—Ktoś kto myślał, że trzeba ją zabić. Ktoś, kto ją kochał i nienawidził. Ktoś, kto był w zbyt wielkim stopniu policjantem, żeby pozwolić jej uciec po dokonaniu kolejnych morderstw, ale nie był w wystarczającym stopniu policjantem, by ją zaaresztować i pozwolić, by cała historia wyszła na jaw. Ktoś taki, jak Degarmo.

Degarmo wyprostował się, odsunął od ściany i uśmiechnął się blado, jego prawa ręka wykonała szybki ruch i błysnął w niej rewolwer. Trzymał go ręką zgiętą w przegubie, tak, że lufa wycelowana była w podłogę przed nim. Mówił do mnie, ale na mnie nie patrzył.

—Nie myślę, że ma pan broń — powiedział. — Patton ma rewolwer, ale nie wydaje mi się, żeby potrafił go dość szybko wydostać i użyć. Może ma pan trochę dowodów, żeby uzasadnić ostatecznie przypuszczenie albo może to nie jest takie ważne, żeby się pan miał tym kłopotać ?

—Trochę dowodów mam — oświadczyłem. — Niewiele. Ale będzie ich więcej. Ktoś stał za zieloną zasłoną w Granadzie przeszło pół godziny i stał tak cicho, jak tylko potrafi stać policjant na czatach. Ktoś, kto miał pałkę policyjną. Ktoś, kto nie patrząc na tył mojej głowy wiedział, że mnie uderzono. Mówił pan o tym Krótkiemu, pamięta pan ? Ktoś, kto wiedział, że nieżywa kobieta również dostała cios pałką, aczkolwiek prawie nie było śladu, a nie

wydaje się, by w tym czasie zdołał pan już dość dokładnie obejrzeć zwłoki, aby to odkryć. Ktoś, kto zerwał z niej sukienkę i poszarpał jej ciało w jakiejś sadystycznej nienawiści, jaką mężczyzna pańskiego typu może czuć dla kobiety, która urządziła mu małe prywatne piekło. Ktoś, kto ma krew i kawałki naskórka pod paznokciami właśnie w tej chwili, w wystarczającej ilości, żeby ekspert mógł je zbadać. Założę się, że nie pozwoli pan Pattonowi spojrzeć na paznokcie pańskiej prawej ręki, Degarmo.

Degarmo uniósł nieco rewolwer i uśmiechnął się. Szerokim, bladym uśmiechem.

—A jak wiedziałem, gdzie ją znaleźć? — spytał.

—Almore ją widział — wchodzącą czy wychodzącą z domu Lavery’ego. To go tak zdenerwowało i dlatego wezwał pana, gdy zobaczył, że się kręcę w pobliżu. A jak wysłedził pan jej mieszkanie, tego nie wiem dokładnie. Ale nie widzę w tym nic trudnego. Może się pan ukrył w domu Almore’a i śledził za nią albo pojechał w ślad za Lavery’em. Dla policjanta jest to po prostu sprawa rutyny.

Degarmo kiwnął głową i przez chwilę stał rozmyślając w milczeniu. Twarz miał ponurą, ale w jego metalicznie niebieskich oczach tliła się iskierka rozbawienia. Pokój był gorący i duszny od nieszczęścia, na które już się dłużej nie da poradzić. Wydawało się, że Degarmo czuje to w mniejszym stopniu niż którykolwiek z nas.

—Chcę stąd wyjść — odezwał się w końcu. — Może nawet niezbyt daleko, ale żaden wiejski policjant nie położy na mnie ręki. Są jakieś zastrzeżenia?

Patton powiedział spokojnie:

—Nie da się zrobić, synu. Wiesz, że muszę cię zatrzymać. Nic z tego wszystkiego nie zostało udowodnione, ale nie mogę pozwolić ci wyjść.

—Ty masz taki ładny, wielki brzuch, Patton. Ja jestem dobrym strzelcem. Wyobrażasz sobie, że mnie zatrzymasz?

—Usiłuję to sobie wyobrazić — powiedział Patton i poprawił sobie włosy pod zsuniętym na tył kapeluszem. — Jeszcze sobie tego całkiem nie wyobraziłem. Nie chcę dziur w moim brzuszku. Ale nie mogę pozwolić, żeby ktoś robił ze mnie małpę na moim własnym terenie.

—Puść go pan — powiedziałem. — On nie wydobędzie się z tych gór. Dlatego go tutaj przywiozłem.

Patton zauważył rzeczowo:

—Ktoś mógłby zostać ranny przy jego aresztowaniu. To nie byłoby w porządku. Jeśli już tak trzeba, w takim razie to jest mój obowiązek.

Degarmo uśmiechnął się.

—Z ciebie jest przyjemny chłopak, Patton — rzekł. — Patrz, chowam znowu rewolwer i zaczynamy od początku. Do tego też jestem dobry.

Wsadził rewolwer pod pachę. Stał ze zwisającymi rękami, zadzierając nieco podbródek, obserwując. Patton żuł delikatnie, utkwivszy swe blade oczy w bystrych oczach Degarmo.

—Ładnie wpadłem — żalił się. — W żadnym razie nie jestem taki szybki jak ty. Tylko nie chcę wyglądać na tchórza. — Spojrzał na mnie smutno. — Dlaczego, u diabła, musiałeś go tutaj sprowadzić? To przecież wszystko nie mój interes. Teraz patrz, jak się wkopałem.

Głos jego brzmiał smutkiem i zmieszaniem, a raczej słabością.

Degarmo cofnął głowę do tyłu i roześmiał się. I w chwili gdy się śmiał, jego prawa ręka skoczyła do rewolweru.

Nie widziałem żeby Patton się poruszył, jednak cały pokój zatrzęsł się od huku jego pogranicznego Colta.

Ręka Degarmo odskoczyła w bok. Ciężki Smith and Wesson został wyrwany z jego dłoni i trzasnął o sosnową ścianę z tyłu. Degarmo potrząsnął swoją bezwładną ręką i spojrzał na nią ze zdumieniem w oczach.

Patton wstał z wolna. Wolno przeszedł przez pokój, jednym kopnięciem wtrącił rewolwer pod fotel i spojrzał na Degarmo ze smutkiem. Degarmo wyssał krople krwi ze swojej dłoni.

— Daleś mi for — powiedział Patton ze smutkiem. — Nie powinieneś dawać for człowiekowi takiemu jak ja. Strzelałem z rewolweru dłużej, niż ty żyjesz na świecie, synu.

Degarmo skinął mu głową, wyprostował się i ruszył ku drzwiom.

— Nie rób tego — nalegał Patton łagodnie.

Degarmo szedł dalej. Stał przy drzwiach i pchnął siatkę. Spojrzał na Pattona, a jego twarz była teraz bardzo blada.

— Wychodzę — rzekł. — Tylko w jeden sposób możesz mnie zatrzymać. Cześć, tłuściochu !

Patton nawet nie drgnął. Degarmo wyszedł. Jego buty zastukały ciężko na ganku, a potem na stopniach. Podszedłem do okna i wyjrzałem. Patton nadal się nie ruszał. Degarmo zszedł ze schodów i szedł po małej grobli.

— Jest już na grobli — powiedziałem. — Czy Andy ma broń ?

— Nie wyobrażam sobie, żeby jej użył, jeśli ma — powiedział Patton łagodnie. — Nie będzie miał żadnego powodu, żeby jej użyć.

— Niech to diabli — mruknąłem.

Patton westchnął.

— Nie powinien ze mną w ten sposób postąpić. Ładnie zagrał. Musiałem mu się zrewanżować. On jest młodszy i poniekąd słabszy. Trudno.

— To zabójca — powiedziałem.

— On nie jest tego rodzaju zabójcą — rzekł Patton. — Zamknąłeś swój wóz ?

Kiwnąłem głową.

— Andy idzie z drugiego końca grobli — powiedziałem. — Degarmo go zatrzymał, rozmawia z nim.

— Możliwe, że zabierze samochód Andy'ego — mówił Patton smutno.

— Niech to diabli — zakląłem znowu. Spojrzałem na Kingsleya trzymał głowę w dłoniach i patrzył na podłogę.

Znowu zwróciłem się o okna. Degarmo nie było już widać, był poza wzniesieniem. Andy znajdował się w połowie grobli. Szedł z wolna, od czasu do czasu oglądał się przez ramię. Nagle doleciał nas warkot ruszającego samochodu. Andy spojrzał na dom, następnie zawrócił i zaczął biec po grobli.

Dźwięk motoru zamierał w oddali. Gdy go już prawie nie było słychać, Patton rzekł: — Tak, myślę, że musimy wrócić do biura i trochę potelefonować.

Kingsley wstał nagle, wyszedł do kuchni wrócił z butelką whisky. Nalał sobie solidną porcję i wypił ją na stojąco. Pomachał ręką i wyszedł ciężko z pokoju. Słyszałem, jak trzasnęły sprężyny jego łóżka.

Ja i Patton wyszliśmy spokojnie z domku.

Patton skończył już właśnie rozmowy mające na celu zablokowanie szosy, gdy dał się słyszeć telefon sierżanta dyżurnego ochrony wojskowej przy tamie Jeziora Pumpy. Wyszliśmy i wsiedliśmy do wozu Pattona, a Andy jechał bardzo szybko drogą nad brzegiem jeziora, przez wieś i dalej do wielkiej tamy. Żołnierze wskazywali nam z grobli w to miejsce, gdzie jeep sierżanta stał przy baraku dowództwa.

Sierżant machnął nam ręką, ruszył jeepem, a my jechaliśmy za nim dwieście stóp wzdłuż szosy, do miejsca, gdzie kilku żołnierzy stało na krawędzi kanionu spoglądając w dół. Zatrzymało się tu kilka wozów i tłum ludzi zgrupował się wokół żołnierzy. Sierżant wysiadł z jeepa, a Patton, Andy i ja wysiedliśmy z urzędowego wozu i podeszliśmy do sierżanta.

—Facet nie zatrzymał się przed posterunkiem — mówił sierżant z rozgoryczeniem w głosie. — O mało nie rozjechał wartownika. Wartownik w środku tamy musiał odskoczyć szybko, żeby go nie potracił samochodem. Ten chłopak przy końcu miał dosyć. Krzyknął na gościa, żeby stanął. Ten jechał dalej.

Sierżant żuł gumę i spoglądał na kanion.

—Są rozkazy, żeby strzelać w takim wypadku — powiedział. — Wartownik strzelił. — Wskazał na krzaki na brzegu kanionu. — On zleciał tamtędy.

Sto stóp niżej, na dnie wąwozu obok ogromnej granitowej skały leżał rozbity mały samochód. Był prawie przewrócony do góry kołami, opierając się lekko o skałę. Kręciło się tam trzech mężczyzn. Podnieśli nieco wóz, żeby coś spod niego wyciągnąć.

Coś, co niedawno było człowiekiem.